

# Agatha Christie

## Pięć małych świnek

(Przełożyła: Izabella Kulczycka—  
Dąmbska)

# Wstęp

## Karla Lemarchant

Herkules Poirot patrzył z zaciekawieniem i uznaniem na młodą osobę, która weszła do jego gabinetu.

Otrzymany od niej przedtem list niczym się nie wyróżniał, zawierał tylko prośbę o widzenie, bez najmniejszej wzmianki o tym, co ta wizyta ma na celu. Był krótki i rzeczowy, jedynie zdecydowany charakter pisma zdradzał, że autorka jest osobą młodą i

energiczną.

I oto stała przed nim wysoka, smukła, bardzo młoda. Chyba niedawno skończyła dwadzieścia lat. Ten typ kobiety, za którą oglądają się mężczyźni. Dobrze skrojony drogi kostium, wytworne futro. Pięknie osadzona głowa, szerokie czoło, kształtny delikatny nos i zdecydowany podbródek uzupełniały obraz. Wyczuwało się w niej pełnię życia i to właśnie, w większym stopniu niż uroda, stanowiło dominującą cechę jej powierzchowności.

Zanim weszła do gabinetu, Herkules Poirot czuł się człowiekiem starym, teraz jakby nagle odmłodniał, wstąpiła

w niego nowa energia, rzeźkość. Podchodząc, aby ją powitać, spostrzegł, że jej ciemnoszare oczy również obserwują go uważnie i badawczo. Usiadła i wzięła papierosa, którym ją poczęstował. Przez kilka chwil siedziała w milczeniu, zaciągając się i wciąż wpatrując się w Poirota poważnym, skupionym wzrokiem.

— Trzeba to rozstrzygnąć, prawda?  
— spytał łagodnie Poirot.

— Przepraszam, co pan powiedział?  
— drgnęła zdumiona.

Głos miała miły, jakby leciutko zachrypnięty.

— Pani się zastanawia, czy jestem zwykłym szarlatanem, czy też człowiekiem, jakiego pani trzeba. Zgadłem?

— Rzeczywiście, coś w tym rodzaju — odpowiedziała z uśmiechem. — Bo widzi pan, panie Poirot... pan wygląda zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam...

— W dodatku jestem stary, prawda? Starszy, niż pani przypuszczała?

— Tak... i to także. — Zawahała się chwilę. — Jak pan widzi jestem zupełnie szczerą. Bo ja szukam... ja chciałabym kogoś najlepszego.

— Niech pani będzie spokojna. Jestem najlepszy!

— Nie jest pan skromny... — rzekła Karla — ale mimo to skłonna jestem panu uwierzyć.

— Niech pani pamięta, że mięśnie nie rozstrzygają w życiu o wszystkim — odpowiedział spokojnie Poirot. — Nie potrzebuję się schylać, żeby mierzyć calówką ślady stóp, zbierać niedopałki papierosów i badać przydeptane kępki trawy. Wystarczy mi tylko usiąść w fotelu i myśleć. O, to! — Tu stuknął się palcem w jajowatą głowę — To działa!

— Wiem o tym — odparła Karla — i dlatego wybrałam pana. Bo widzi pan,

chcę, żeby dokonał pan rzeczy  
niezwykłej!

— To bardzo obiecujące — rzekł  
Poirot, a w spojrzeniu jego odmalowała  
się życzliwość i zachęta.

— Właściwie mam na imię Karolina,  
a nie Karla — powiedziała,  
zaczerpnąwszy głęboko tchu. — Tak  
samo jak moja matka — umilkła na  
chwilę, po czym mówiła dalej.

— I chociaż, odkąd sięgam pamięcią,  
nazywałam się Lemarchant, to to także  
nie jest moje prawdziwe nazwisko. W  
rzeczywistości nazywam się Crale.

Herkules Poirot zmarszczył czoło,

potem szepnął jakby do siebie:

— Crale... Crale... coś sobie przypominam...

— Mój ojciec był malarzem. Nawet bardzo znanym malarzem. Niektórzy mówią, że był wielkim artystą. Ja w każdym razie jestem tego zdania.

— Amyas Crale? — zapytał Poirot.

— Tak. A moją matkę, Karolinę Crale, skazano za to, że go zabiła.

— Aha! Już sobie przypominam! Ale jak przez mgłę. Byłem wtedy za granicą. To było już dawno...



— Tak. Przed szesnastu laty. — Karla zbladła, oczy jej błyszczały jak rozżarzone węgle. — Czy pan rozumie? Sądono ją i skazano! Nie powieszono jej tylko dlatego, że były pewne okoliczności łagodzące, ograniczono więc karę do dożywotniego więzienia. Ale już w rok po procesie umarła w więzieniu. Rozumie pan? Wszystko minęło... przeszło... wszystko się skończyło.

— A więc? — spytał cicho Poirot. Dziewczyna zacisnęła kurczowo ręce. Potem zaczęła mówić, wolno, z lekkim wahaniem, ale i ze szczególnym naciskiem:

— Musi pan zrozumieć... dokładnie

zrozumieć, jaki to ma związek ze mną. Kiedy się to wszystko działo, miałam pięć lat. Byłam za mała, żeby zdawać sobie z czegokolwiek sprawę. Pamiętam, oczywiście, mego ojca i matkę; pamiętam też, że z domu wyjechałam nagle, gdzieś na wieś, gdzie były świnki i miła, tęga gospodyni. Wszyscy byli tam dla mnie bardzo dobrzy, ale patrzyli na mnie jakoś dziwnie, jakby ukradkiem. Czułam oczywiście, jak to zwykle dzieci, że coś jest nie w porządku, ale nie wiedziałam, o co chodzi. A potem płynęłam gdzieś okrętem. To było niesłychanie ciekawe. Podróż trwała długo, wiele dni, aż wreszcie przybyliśmy do Kanady, gdzie przyjechał po mnie wuj Szymon. Potem

mieszkałam z nim i jego żoną, ciotką Ludwiką, w Montrealu. Kiedy się dopytywałam o mamusię i tatusia, zawsze mi odpowiadali, że niedługo przyjadą. A potem... potem zapomniałam o wszystkim, wiedziałam tylko, że moi rodzice nie żyją, chociaż nie pamiętam, żeby mi ktoś o tym wyraźnie powiedział. Bo już nigdy o nich nie myślałam. Było mi bardzo dobrze, czułam się zupełnie szczęśliwa. Wuj Szymon i ciotka Ludwika byli dla mnie bardzo dobrzy, miałam w szkole mnóstwo przyjaciółek i koleżanek i zapomniałam zupełnie, że nie nazywałam się dawniej Lemarchant. Ciotka Ludwika powiedziała mi, że to jest moje kanadyjskie nazwisko, co mi

się wtedy wydawało zupełnie naturalne. To było po prostu moje nazwisko na Kanadę, ale jak już mówiłam, z biegiem czasu zapomniałam, że miałam kiedyś inne.

Karla podniosła wyzywająco głowę i ciągnęła dalej:

— Proszę mi się dobrze przyjrzeć. Gdyby mnie pan spotkał na ulicy czy w towarzystwie, pomyślałby pan sobie: oto młoda dziewczyna, która nie ma żadnych trosk! Bo rzeczywiście, mam spory majątek, jestem idealnie zdrowa, dość przystojna i mogę cieszyć się życiem. Kiedy skończyłam dwadzieścia lat, nie było na świecie młodej dziewczyny, z którą bym się zgodziła

zamienić. Wkrótce jednak zaczęłam zadawać różne pytania. O matkę, o ojca... kim oni byli? Czym się zajmowali? I tak musiałabym się w końcu dowiedzieć... Wujostwo powiedzieli mi prawdę. Musieli, bo osiągnąwszy pełnoletność, miałam prawo samodzielnie rozporządzać swoim majątkiem. A poza tym, widzi pan, był ten list. List, który matka napisała do mnie przed śmiercią.

Przy tych słowach Karla zmieniła się, jakby przygasła. Oczy jej nie płonęły już jak rozżarzone węgle, lecz stały się podobne do ciemnych, otulonych mgłą jezior.

— Wtedy to właśnie dowiedziałam się całej prawdy... że moją matkę skazano za zabójstwo. To było... okropne. Muszę panu powiedzieć coś jeszcze. Byłam zaręczona. Powiedziano nam, że ze ślubem musimy poczekać do mojej pełnoletności. Kiedy się dowiedziałam prawdy, zrozumiałam, dlaczego.

Poirot poruszył się na krześle i odezwał się po raz pierwszy:

— A jak zareagował na tę wiadomość pani narzeczony?

— John? Nie przejął się tym wcale. Powiedział, że to nie ma dla niego żadnego znaczenia. On i ja, to po prostu

John i Karla, a przeszłość nie istnieje.

Pochyliła się do przodu.

— Jesteśmy w dalszym ciągu zaręczeni. Ale mimo wszystko uważam, że to jednak ma znaczenie, przynajmniej dla mnie. Ale i dla Johna z pewnością także. Nie chodzi o przeszłość, ale o przyszłość. — Zaciśnęła dłonie. — Widzi pan, chcemy mieć dzieci. Oboje tego chcemy. I nie chcielibyśmy obserwować naszych dorastających dzieci z nieustannym lękiem.

— Czy nie zdaje pani sobie sprawy, że każdy człowiek ma wśród swoich przodków takich czy innych gwałtowników albo przestępców,

słowem, ludzi złych?

— Pan nie rozumie. Oczywiście, że tak. Ale na ogół nie wie się o tym. A my wiemy. To jest zbyt bliskie. I czasem... Czasem chwytam spojrzenie Johna. Takie szybkie spojrzenie, jeden błysk. Przypuśćmy, że będziemy małżeństwem i pokłócimy się... I pochwycę takie spojrzenie... i zrozumieć, że on się zastanawia.

— W jaki sposób zginął pani ojciec?  
— zapytał Poirot.

— Został otruty — odpowiedziała dobitnie.

— Rozumiem — rzekł Poirot.



Zapadło milczenie.

Wreszcie Karla powiedziała spokojnym, rzeczowym tonem:

— Cieszę się, że pan jest mądry i wie, że to jednak ma znaczenie i co to za sobą pociąga. Nie stara się pan załatać sprawy pocieszającymi frazesami.

— Rozumiem to wszystko bardzo dobrze. Jednego tylko nie mogę pojąć: mianowicie, czego pani sobie ode mnie życzy.

— Chcę wyjść za Johna! — odpowiedziała z prostotą Karla Lemarchant. — I wyjdę! Chcę poza tym mieć co najmniej dwie córki i dwóch

synów. A pan musi mi to umożliwić!

— Chce pani, żebym porozmawiał z pani narzeczonym? — Ach, nie! Cóż za głupstwa mówię! Pani oczekuje ode mnie czegoś zupełnie innego. Proszę mi więc szczerze powiedzieć co pani ma na myśli.

— Niech mnie pan posłucha, drogi panie Poirot, i niech mnie pan dobrze zrozumie. Zwróciłam się do pana po to, żeby pan przeprowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa.

— Czyżby pani miała na myśli...

— Właśnie to. Zabójstwo pozostaje zabójstwem bez względu na to, czy je

popołniono wczoraj, czy przed szesnastu  
laty.

— Ależ, droga pani...

— Chwileczkę. Pan jeszcze nie wie  
wszystkiego. Jest jeszcze jeden bardzo  
ważny punkt.

— A mianowicie?

— Moja matka była niewinna.

Herkules Poirot potarł nos.

— Nnnno tak... oczywiście —  
mruknał po chwili.

— Rozumiem, że...

— Nie, tu nie chodzi o sentymenty. Ale jest list. Matka zostawiła przed śmiercią adresowany do mnie list, który miałam otrzymać po dojściu do pełnoletności. Zostawiła go z jednego wyłącznie powodu. Po to, żebym mogła być zupełnie pewna. Tylko tyle w nim było. Pisała, że ona nie popełniła tego, o co ją oskarżono, że jest niewinna, że zawsze mam być tego pewna.

Herkules Poirot patrzył w zamyśleniu na młodą, pełną życia twarz dziewczyny, która wpatrywała się w niego z takim przejęciem. Wreszcie powiedział powoli:

— *Tout de meme...*[1]

— Nie, moja matka nie była taka — uśmiechnęła się Karla. — Pan myśli, że skłamała, że to było po prostu takie sentymentalne kłamstwo? — Pochyliła się do przodu. — Proszę mnie posłuchać, panie Poirot. Są rzeczy, które dzieci podświadomie doskonale rozumieją. Pamiętam moją matkę. Może to wspomnienie jest trochę zamglone, ale jednak wyraźnie sobie przypominam, jakiego rodzaju była człowiekiem. Nigdy nie kłamała — mam tu na myśli właśnie takie kłamstwa z litości. Wizyta u dentysty czy drzazga w palcu, czy coś podobnego. Prawda była dla niej naturalnym odruchem. Może jej tak bardzo głęboko nie kochałam, ale zawsze ślepo jej wierzyłam. I wierzę

nadal. Jeżeli mówi, że nie zabiła mego ojca, to znaczy, że nie zabiła. Powtarzam, że to nie była osoba, która by w obliczu śmierci wypisywała jakieś uroczyście kłamstwa.

Poirot wolno, jakby z ociąganiem, pochylił głowę.

Karla mówiła dalej:

— Dlatego też ja mogę spokojnie wyjść za Johna. Wiem, że wszystko jest w porządku. Ale on nie wie. Uważa za rzecz naturalną, że wierzę w niewinność mojej matki. Więc chcę to raz na zawsze wyjaśnić. I pan to musi zrobić!

— Założywszy nawet, że to, co pani

mówi, jest prawdą — powiedział powoli Poirot — przecież minęło już szesnaście lat!

— Ach, ja wiem, że to nie będzie łatwa sprawa. Ale tylko pan jeden potrafi tego dokonać.

— Pani mnie bierze pod włos, *mademoiselle*? — rzekł Poirot, a w oczach jego zabłyśły figlarne ogniki.

— Dużo o panu słyszałam — odpowiedziała Karla. — O tym, co pan potrafi zrobić i w jaki sposób. Pan kładzie przede wszystkim nacisk na psychologię, prawda? A ta przecież nie ulega zmianie z biegiem czasu. Rzeczy materialne, oczywiście, już minęły... te

niedopałki papierosów, ślady stóp, wydeptana trawa. Tych rzeczy już pan nie znajdzie. Ale może pan zbadać wszystkie fakty, porozmawiać z ludźmi, którzy wtedy tam byli. Wszyscy jeszcze żyją. A wtedy...wtedy, jak to pan powiedział na początku, usiądzie pan sobie w fotelu i zacznie myśleć. I odtworzy pan, co się naprawdę stało...

Herkules Poirot wstał i przyglądał wąsy.

— *Mademoiselle*, jestem głęboko zaszczycony — rzekł. — Postaram się usprawiedliwić zaufanie, którym mnie pani darzy. Zajmę się tą sprawą. Zbadam wypadki, które się rozegrały szesnaście lat temu i wykryję prawdę.



Karla wstała. Oczy jej rozbłysły, zdołała jednak powiedzieć tylko dwa słowa:

— To dobrze.

Herkules Poirot pokiwał wymownie palcem.

— Jeszcze chwileczkę! Powiedziałem, że wykryję prawdę. Ale musi pani wiedzieć, że będę bezstronny. Nie przyjmuję do wiadomości twierdzenia, że pani matka była niewinna. A jeżeli się okaże, że jednak była winna — to co wtedy?

Karla dumnie odrzuciła głowę w tył.

— Jestem jej córką. Chcę znać prawdę!

— Więc *en avant*[2] — rzekł Poirot.

— Chociaż właściwie nie to powinienem powiedzieć. Wprost przeciwnie: *en arriere*...[3]

# Część I

# Rozdział pierwszy

## Obrońca

— Czy sobie przypominam sprawę Crale'ów? — spytał sir Montague Depleach. — Oczywiście. Pamiętam doskonale. Ona, bardzo przystojna kobieta, chociaż, niestety, niezrównoważona. Żadnego opanowania. Ale czemu mnie pan o to pyta? — dodał, zerkając z ukosa na Herkulesa Poirot a.

— Interesuje mnie ta sprawa.

— Nie bardzo to taktowne z pańskiej strony, drogi panie — rzeki Depleach, ukazując zęby w swym słynnym „wilczym uśmiechu”, który robił podobno tak niesłychane wrażenie na świadkach. — Nie należała ona, niestety, do moich sukcesów. Nie udało mi się uzyskać wyroku uniewinniającego.

— Wiem o tym.

Sir Montague wzruszył ramionami.

— Rzecz prosta, nie byłem wtedy takim doświadczonym obrońcą jak dzisiaj — rzekł. — Mimo to sądzę, że zrobiłem wszystko, co leżało w ludzkiej mocy. Ale trudno wiele zrobić, jeżeli się

nie czuje współudziału... Tyle osiągnęliśmy, że złagodzone wyrok do dożywotniego więzienia. Mnóstwo szacownych żon i matek złożyło petycję o ułaskawienie. Oskarżona budziła powszechne współczucie.

Rozparł się wygodnie w fotelu i wyciągnął przed siebie długie nogi. Twarz jego przybrała wyraz skupienia i namysłu.

— Gdyby go była zastrzeliła, albo nawet zasztyletowała, byłbym jakoś z tego wybrnął. Ale trucizna? Nie, z trucizną nie można żartować! To rzecz drażliwa, bardzo drażliwa.

— Na czym opierała się obrona? —

spytał Herkules Poirot. Znał już sprawę gruntownie z dawnych roczników prasy, które zdążył do tej pory przejrzeć, nie widział jednak nic złego w tym, że zagra wobec sir Montague'a rolę zupełnie nieświadomego.

— Na samobójstwie. Tylko tego można się było chwycić. Ale nie wyszło. Crale nie był typem samobójcy. Czy pan go znał? Nie? Otóż to był taki zawadiaka, gość z temperamentem. Wielki kobieciarz, piwosz i tak dalej. Cenił sobie wszelkie rozkosze doczesne i używał życia na całego. Trudno wmówić sądowi przysięgłych, że tego rodzaju człowiek nagle usiadł i najspokojniej popełnił samobójstwo. To

się nie trzymało kupy. Nie! Od początku czułem, że zająłem straconą pozycję. A ona ani krzty mi nie pomogła. Od pierwszej chwili, kiedy zaczęła zeznawać, wiedziałem, że sprawa jest przegrana. Nie próbowała się wcale bronić. Ale z drugiej strony, jeżeli się nie pozwoli klientowi zeznawać, sąd przysięgłych wyciąga z tego faktu nieprzychylnie dla niego wnioski.

— Czy pan to właśnie miał na myśli, wspominając przed chwilą o braku współdziałania ze strony pani Crale? — spytał Poirot.

— Tak jest, drogi panie. My, obrońcy nie jesteśmy przecież magikami. Bitwa jest w połowie wygrana albo przegrana



zależnie od wrażenia, jakie oskarżony wywrze na przysięgłych. Znam moc wypadków, kiedy przysięgli ogłaszali werdykt wręcz przeciwny podsumowaniu sędziego. „Zrobił to i szkoda gadania” — powiadali. Albo znów: „Nie, ten człowiek nie mógł zrobić czegoś podobnego, nikt nam tego nie wmówi!” A Karolina Crale nawet nie próbowała podejmować jakiegokolwiek walki.

— Jak pan sądzi, dlaczego?

Sir Montague znów wzruszył ramionami.

— Niech mnie pan o to nie pyta. Rzecz oczywista, że kochała tego faceta.

Załamala się kompletnie, kiedy oprzytomniała i pojęła, co zrobiła. Myślę, że nie otrzásnęła się już po tym przeżyciu.

— A więc według pańskiej opinii była winna?

Depleach drgnął zaskoczony i odpowiedział:

— Ee... hm... myślałem, że uważamy to obaj za przesądzone.

— Czy kiedykolwiek przyznała się panu do winy?

Pytanie to wyraźnie zgorszyło Depleacha.

— Oczywiście, że nie. Mamy swój kodeks, proszę pana. Zakładamy zawsze, że nasz klient jest niewinny. Ale jeżeli pan tak się interesuje tym procesem, to wielka szkoda, że nie może pan pogadać ze starym Mayhew. To jego firma zleciła mi obronę. Stary Mayhew mógłby panu powiedzieć o wiele więcej. Niestety, rozstał się już z tym światem. Jest, co prawda, młody George Mayhew, ale on w owych czasach był jeszcze młodym chłopcem. To już stare dzieje, proszę pana, stare dzieje!

— Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Ale i tak mam szczęście, że pan tak dużo z tych czasów pamięta. Ma pan doskonałą pamięć.

Uwaga ta pochlebiła Depleachowi.

— Cóż — bąknął — musi się pamiętać główne zarysy, proszę pana. Zwłaszcza, jeżeli w grę wchodzi najwyższy wymiar kary. No, i rzecz prosta, proces pani Crale był szeroko komentowany przez całą prasę. Sprawy miłosne i w ogóle. Dziewczyna zamieszana w tę historię była bardzo oryginalnym typem. Wyrafinowana, twarda sztuka.

— Proszę mi wybaczyć moją zbytnią może natarczywość, ale chciałbym jeszcze raz usłyszeć od pana, że pan nie miał nigdy wątpliwości co do winy Karoliny Crale — spytał Poirot.

Depleach wzruszył ramionami.

— Mówiąc szczerze, jak mężczyzna z mężczyzną — sędzę, że nie można mieć co do tego wątpliwości. Tak, jestem pewien, że była winna.

— A jakie były przeciwko niej konkretne dowody?

— Niesłuchanie obciążające. A więc przede wszystkim — pobudki. Państwo Crale od wielu lat żyli ze sobą jak pies z kotem. Nieustanne kłótnie i awantury. Crale wiecznie miał jakieś miłostki. Taki już był. Ona, na ogół biorąc, nieźle to znosiła. Wiele mu wybaczała, kładąc te wybryki na karb jego artystycznego temperamentu. A trzeba przyznać, że był

z niego naprawdę pierwszorzędnym malarzem. Jego obrazy wzrosły potem niesłychanie w cenie. Osobiście nie przepadam za tym rodzajem malarstwa — wszystko brzydkie, brutalne, ale dobre, niewątpliwie dobre. No więc, jak już mówiłem, były tam od czasu do czasu nieporozumienia na tle kobiet. Pani Crale nie należała do tych żon, co to cierpią i milczą. W rezultacie stała się kłótnie i awantury. W końcu jednak zawsze do niej wracał, a wszystkie miłości, prędzej czy później, mijały. Ale ta ostatnia historia była trochę innego rodzaju, widzi pan. Chodziło o młodą dziewczynę, zaledwie dwudziestoletnią. Nazywała się Elza Greer i była jedyną córką jakiegoś

bogatego przedsiębiorcy z Yorkshire. Posiadała znaczny majątek i była osobą bardzo zdecydowaną. Wiedziała, czego chce. A chciała Amyasa Crale'a. Namówiła go, żeby malował jej portret, chociaż z zasady nie był portrecistą i nie robił takich banalnych portretów pań z towarzystwa, zatytułowanych: „Pani Iks Ypsilon w różowej sukni i perłach”, ale malował akty. Wątpię, czy kobiety chętnie mu pozowały, bo ich nie oszczędzał. Zdecydował się jednak namalować portret panny Greer i skończyło się na tym, że zakochał się po uszy. Miał już wtedy pod czterdziestkę i był od dawna żonaty. Dojrzał więc całkowicie do tego, żeby zgłupieć dla jakiejś smarkuli. Była nią właśnie Elza

Greer. Szalał za nią i postanowił uzyskać rozwód i ożenić się z Elzą. Ale Karolina nie miała zamiaru dać mu rozwodu. Groziła mu zemstą. Dwie osoby słyszały, jak mu groziła, że jeżeli nie zerwie z tą dziewczyną, to go zabije. A mówiła to nie na żarty! W przeddzień katastrofy byli na herbacie u sąsiada, pana Blake'a. Pan Blake zabawiał się zbieraniem ziół i fabrykowaniem domowych leków. Między jego różnymi naparami ziołowymi była także cykuta, wyciąg z szaleju. Przy herbacie rozmawiano o tej roślinie i jej trujących właściwościach.

Nazajutrz Blake zauważył, że z jego butelki z cykutą ubyła prawie połowa.



Przeraził się oczywiście. Butelkę z resztkami cykuty znaleziono później w pokoju pani Crale, ukrytą na dnie szuflady.

Herkules Poirot poruszył się niespokojnie.

— Mógł ją tam podrzucić ktoś inny.

— Och! Przyznała się policji, że to ona ukradła truciznę. Bardzo nierozsądnie, rzecz prosta, ale wtedy nie miała jeszcze adwokata, który by nią pokierował. Kiedy ją zapytano, szczerze przyznała, że to ona zabrała truciznę.

— W jakim celu?

— Twierdziła, że chciała odebrać sobie życie. Nie potrafiła wytłumaczyć, jak to się stało, że butelka była prawie pusta i dlaczego nie wykryto na niej żadnych innych odcisków palców, prócz jej własnych. To był dowód bardzo obciążający. Dopuszczała fakt, że Amyas Crale popełnił samobójstwo. Ale gdyby był zażył cykuty z butelki ukrytej w jej pokoju, to przecież byłyby na niej także odciski i jego palców.

— Słyszałem, że truciznę podano mi w piwie?

— Tak jest. Pani Crale sama wyjęła butelkę z lodówki i zaniósła ją własnoręcznie do ogrodu, gdzie Amyas malował. Nalała piwa do szklanki i

przyglądała się, jak pił. Wszyscy poszli potem na lunch, zostawiając go samego w ogrodzie. Crale często nie przychodził na posiłki, kiedy był zajęty pracą. Potem pani Crale i guwernantka znalazły go w ogrodzie. Już nie żył. Według jej opowiadania, w piwie, które mu naląa, nie było nic szkodliwego. Naszą teorią natomiast było, że Crale poczuł nagle tak głębokie wyrzuty sumienia, że sam wlał sobie truciznę. Wszystko, oczywiście, dyrdymałki. On nie był tego rodzaju typem, a odciski palców zupełnie ją pogrążyły.

— Czy znaleziono na butelce odciski jej palców?

— Nie, nie znaleziono. Znaleziono jedynie jego odciski, które zresztą były sfabrykowane. Trzeba bowiem panu wiedzieć, że guwernantka poszła wezwać doktora, a pani Crale tymczasem została przy zwłokach. I wtedy właśnie musiała zetrzeć odciski swoich palców z butelki i szklanki i przycisnąć w to miejsce jego palce. Udawała, widzi pan, że nie miała nawet w ręku butelki z piwem. No, ale to się na nic nie zdało. Stary prokurator Rudolph miał z tym niezłą zabawę. Przeprowadził na sali sądowej doświadczenie dowodzące niezbicie, że nikt nie byłby w stanie trzymać butelki w tej pozycji! Rzecz prosta, że usiłowaliśmy dowieść za wszelką cenę,

że to możliwe, że w chwili agonii ręce Crale'a mogły się w ten sposób wykręcić. Ale mówiąc szczerze, nasze argumenty były niezbyt przekonujące.

— Widocznie cykutę wiano do piwa, zanim pani Crale zaniósła butelkę do ogrodu — zauważył Poirot.

— W butelce nie było śladów trucizny. Jedynie w szklance.

Depleach umilkł. Jego szeroka, przystojna twarz zmieniła się nagle. Gwałtownym ruchem odwrócił się do Poirota i spytał:

— Hola, panie Poirot! Do czego pan zmierza?

— Jeżeli Karolina Crale była niewinna, to w jaki sposób cykuta dostała się do piwa? Obrona twierdziła w swoim czasie, że Amyas Crale sam ją tam wlał, ale pan powiada, że to w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, z czym się, nawiasem mówiąc, zgadzam. Crale nie był typem samobójcy. Jeżeli zatem Karolina Crale tego nie zrobiła, musiał to zrobić kto inny.

— Tam do licha, człowieku! — wyjąkał Depleach, zacinając się niemal z przejęcia. — Niechże pan da spokój nieboszczykom! Toć to już sprawa miniona i pogrzebana od tylu lat! Oczywiście, że Karolina była winna. Gdyby pan ją wtedy widział, sam byłby

pan o tym najgłębiej przekonany. Było to wprost wypisane na jej twarzy. Powiedziałbym nawet, że wyrok sprawił jej ulgę. Nie bała się wcale. Ani cienia nerwowości. Pragnęła tylko, żeby proces jak najprędzej się skończył. Bardzo dzielna kobieta, doprawdy!

— A jednak — zauważył Poirot — przed śmiercią zostawiła list, który miał być wręczony córce z chwilą, gdy skończy dwadzieścia jeden lat. W liście tym przysięga, że była niewinna.

— Ba! Nic w tym nie ma dziwnego — odrzekł sir Montague Depleach. — Pan czy ja na jej miejscu zrobilibyśmy to samo.

— Jej córka twierdzi, że Karolina nie była tego typu kobietą!

— Córka twierdzi! Phi! A cóż ona może o tym wiedzieć? Mój drogi panie Poirot, w okresie procesu córka była małym dzieckiem. Ileż ona mogła mieć? Cztery, pięć lat? Zmieniono jej nazwisko i wysłano z Anglii do jakichś krewnych. Cóż może z tego pamiętać?

— Dzieci wykazują czasem doskonałą znajomość ludzi — zauważył Poirot.

— Bardzo być może. Ale nie wiadomo, czy tak właśnie jest w naszym wypadku. Córka chce oczywiście wierzyć, że jej matka była niewinna. Niech więc dalej wierzy! Cóż to komu



szkodzi?

— Ale, niestety, ona żąda dowodów.

— Dowodów, że Karolina Crale nie zabiła swego męża?

— Tak jest.

— No, więc ich nie zdobędzie — oświadczył Depleach.

— Tak pan sądzi?

Znakomity adwokat spojrział z namysłem na rozmówcę.

— Panie Poirot, zawsze uważałem pana za uczciwego człowieka — rzekł.

— Ale co pan właściwie robi? Stara się pan zarobić pieniądze, grając na uczuciach jakiejś dziewczyny?

— Nie zna pan tej dziewczyny. Jest niezwykła. Odznacza się niespotykaną siłą charakteru.

— Tak, mogę sobie wyobrazić, że córka Amyasa i Karoliny Crale'ów może być silna. Ale o co jej chodzi?

— Chce znać prawdę.

— Hm... Obawiam się, że ta prawda będzie dla niej ciężko strawna. Doprawdy, kochany Poirot, sędzę, że tu nie może być wątpliwości. Pani Crale zabiła swego męża...

— Daruje mi pan, drogi przyjacielu, ale muszę się osobiście o tym upewnić.

— Nie mam pojęcia, co więcej może pan zrobić. Niech pan sobie przeczyta sprawozdania prasowe z procesu. Humphrey Rudolph występował jako oskarżyciel publiczny. Już nie żyje. Zaraz, zaraz! Kto był jego zastępcą? Aha, młody Fogg, zdaje mi się. Tak, Fogg. Może pan z nim pogadać. A poza tym żyją jeszcze ludzie, którzy byli świadkami całej historii. Wątpię jednak, czy będą zachwyceni, że odgrzebuje pan te dawne sprawy. Ale chyba uda się panu coś niecoś z nich wydobyć. Pan potrafi owinać każdego wokół palca.

— Ach tak. Osoby w to zamieszane.

To bardzo ważne. Pamięta pan może, kto to był?

Depleach zastanowił się.

— Chwileczkę... To już kawał czasu. Prawdę powiedziawszy, wchodziłoby tu w grę tylko pięć osób, oczywiście, nie licząc służby, dwojga oddanych staruszków. Byli piekielnie wystraszeni i nie wiedzieli o niczym. Nie sposób ich podejrzewać.

— Więc pięć osób. Proszę mi coś o nich opowiedzieć.

— Cóż, przede wszystkim Filip Blake. Był najlepszym przyjacielem Crale'a i znał go chyba od dziecka.

Podczas tragedii bawił w ich domu. Ten żyje. Spotykam go nawet na golfie od czasu do czasu. Mieszka w St. Georges Hill. Makler giełdowy. Gra na giełdzie z dużym szczęściem. Ostatnio może za bardzo przytył.

— Doskonale. Następny?

— Poza tym był jeszcze starszy brat Blake'a. Obywatel ziemski, wielki domator.

Coś zaświtało w mózgu Poirota. Usiłował stłumić ten sygnał, nie powinien przecież stale myśleć o dziecinnych wierszykach. W ostatnich latach stawało się to już wprost obsesją. A jednak dzwoneczek nie przestawał

dzwonić: *Jedna Świnka na targ  
biegała, druga świnka w domu  
siedziała...*

— Siedział dużo w domu, tak? —  
mruknął.

— Właśnie o nim panu  
opowiedziałem. Miał bzika na punkcie  
ziół i różnych traw leczniczych. Taki  
amator–zielarz. To jego mania. Zaraz,  
zaraz, jak to on się nazywał? Takie  
jakieś imię z literatury. O, już wiem!  
Meredith. Meredith Blake. Nie mam  
pojęcia, czy jeszcze żyje.

— Kto jeszcze?

— Jeszcze? No, cóż? Przyczyna całej

katastrofy. Ta dziewczyna, Elza Greer.

— *Trzecia świnka mięsko zajadała*  
— szepnął Poirot.

Depleach spojrział na niego ze zdziwieniem.

— O, niewątpliwie! Bestyjka była dość żarłoczna, to znaczy sprytna i bezwzględna. Od tego czasu zdążyła już mieć trzech mężów. Jest stałą klientką sądu do spraw rozwodowych. Nic sobie z tego nie robi. W dodatku każda zmiana jest zmianą na lepsze. Nazywa się teraz lady Dittisham. Proszę wziąć do ręki pierwszy lepszy numer „Tatlera”, a z pewnością ją pan tam znajdzie.

— A pozostałe dwie osoby?

— Jeszcze była guwernantka. Nie pamiętam, niestety, jak się nazywała. Miła kompetentna osoba. Thompson czy Jones, coś w tym rodzaju. No i wreszcie dziewczynka, przyrodnia siostra Karoliny Crale. Mogła mieć wtedy najwyżej piętnaście lat. Cieszy się teraz pewnym rozgłosem. Wykopuje różne rzeczy z ziemi i bada prehistorię! Nazywa się Warren. Angela Warren. Dzisiaj to dość groźna młoda osoba. Spotkałem ją gdzieś ostatnio.

— A więc to nie ta mała świnka, co kwiczała: *kwi! kwi! kwi!*

Sir Montague Depleach spojrział na



Poirota nieco podejrzliwie. Po chwili powiedział oschle:

— Miała w życiu powody, żeby kwiczeć: *kwi! kwi!* Jest zeszpecona, uważa pan. Ma głęboką bliznę przez cały policzek. Bo... ale pan sam się pewno o wszystkim dowie.

Poirot wstał.

— Bardzo panu dziękuję, był pan doprawdy bardzo dla mnie uprzejmy. Jeżeli pani Crale nie zamordowała swego męża...

Depleach przerwał mu:

— Ależ zamordowała, drogi panie,

zamordowała! Niech mi pan wierzy.

Poirot jednak mówił dalej, nie zwracając uwagi na słowa mecenasa.

— ...to, biorąc logicznie, zbrodni musiała dokonać jedna z tych pięciu osób.

— Przypuszczam, że któraś z nich mogła jej dokonać — rzekł z powątpiewaniem Depleach — ale nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby tę zbrodnię popełnić. Absolutnie żadnego powodu! Prawdę mówiąc, jestem przekonany, że żadna z nich tego nie zrobiła. I niech pan to sobie wybije z głowy, drogi panie.

Ale Herkules Poirot tylko uśmiechnął się i potrząsnął głową.

# Rozdział drugi

## Prokurator

— Winna bez wątpienia! —  
stwierdził krótko pan Fogg.

Herkules Poirot patrzył w zamyśleniu na gładko wygoloną, szczupłą twarz prawnika.

Quentin Fogg, prokurator JKM, był typem całkowicie odmiennym od sir Montague'a Depleacha. Depleach posiadał jakąś moc, magnetyzm. Miał sugestywną, despotyczną nieco

indywidualność. Zawdzięczał swoje sukcesy szybkiej i dramatycznej zmianie taktyki. Przystojny, uroczy światowiec potrafił w jednej chwili przedzierzgnąć się w wilkołaka, odsłaniającego zęby w szyderczym uśmiechu, czyhającego na zgubę przeciwnika.

Quentin Fogg był szczupły, blady, całkowicie pozbawiony tak zwanej indywidualności. Zadawał pytania spokojnie i beznamiętnie, za to jednak niezmordowanie. Jeżeli Depleacha można by porównać do rapieru, to Fogg był świdrem. Wiercił wytrwale i uporczywie. Nie osiągnął nigdy wielkiej sławy, ale był pierwszorzędnym prawnikiem. Zazwyczaj wygrywał

swoje sprawy.

Herkules Poirot przyglądał mu się zamyślony.

— A więc takie pan odniósł wrażenie? — spytał po chwili.

Fogg. skinął stanowczo głową.

— Trzeba ją było widzieć na ławie oskarżonych — rzekł. — Stary Humphie Rudolph (bo to on oskarżał) po prostu starł ją na miazgę, mówię panu!

Milczał chwilę, a potem dodał nieoczekiwanie:

— Mówiąc prawdę, to trafiła mu się

gratka!

— Nie jestem pewien, czy pana zrozumiałem... — rzekł Poirot.

Fogg ściągnął delikatnie zarysowane brwi, pogładził wysmukłymi palcami wygoloną górną wargę.

— Jakby to wyrazić? — powiedział.  
— To takie bardzo angielskie powiedzonko. Może najlepiej określiłbym to jako „pograżanie tonącego”. Czy pan rozumie, co mam na myśli?

— Istotnie, jak pan powiedział, to bardzo angielskie powiedzonko, ale chyba pana rozumiem. Bo zwykle, czy to

w Centralnym Sądzie Karnym, czy na boiskach w Eton, czy wreszcie na terenach łowieckich, Anglik lubi dawać swej przyszłej ofierze tak zwane sportowe szanse.

— O to właśnie chodzi! Otóż w tym wypadku oskarżona nie miała żadnych szans. Humphie Rudolph robił z nią, co chciał. Przewód rozpoczął się od przesłuchania oskarżonej przez obrońcę, Depleacha. Zachowywała się w czasie tego przesłuchania grzecznie jak młoda panienska na oficjalnej wizycie. Odpowiadała na pytania Depleacha, jakby wyuczyła się ich na pamięć. Sformułowane doskonale, wypowiedziane bezbłędnie, ale



absolutnie nieprzekonujące. Nauczono ją, co ma mówić, i posłusznie to powtarzała. Depleach nic temu nie był winien. Stary szarlatan grał swą rolę znakomicie, ale — jak w każdym dialogu, wymagającym udziału dwóch aktorów — sam nie mógł dać rady. Bo ona nie starała się wcale grać. Cała ta scena wywarła na ławie przysięgłych jak najgorsze wrażenie. No, a potem wstał stary Humphie!... Widział go pan chyba? Jego śmierć to wielka strata. Uniósł nieco togeę, zakołysał się w tył i w przód i uderzył! Podchodził ją to z tej, to z tamtej strony i za każdym razem wpadała w pułapkę. Zmusił ją do tego, żeby uznała swoje poprzednie zeznania za niedorzeczne, żeby przeczyła sama

sobie. Brnęła coraz głębiej i głębiej. Wreszcie zakończył, jak to on zwykle. Powiedział z wielkim przekonaniem, bardzo sugestywnie: „Pani Crale, twierdzę, że całe pani opowiadanie o skradzeniu cykuty w celu samobójczym to wierutne kłamstwo. Wzięła ją pani po to, żeby otruć męża, który zamierzał panią porzucić dla innej, i tę truciznę podała pani mężowi świadomie i rozmyślnie”. A ona spojrzała tylko na niego. Taka śliczna kobieta, subtelna, pełna wdzięku, i powiedziała: „Och, nie, nie, nie zrobiłam tego”. Trudno było o coś banalniejszego, mniej przekonującego. Widziałem, że Depleach wierci się niespokojnie na krześle. Wiedział już, że sprawa jest

przegrana.

Fogg urwał, a potem mówił dalej:

— A jednak... Czy ja wiem? Może to było najmądrzejsze, co mogła zrobić. Zaapelowała do rycerskości, do tej rycerskości tak ściśle związanej z okrutnymi sportami, z powodu których większość cudzoziemców uważa nas, Anglików, za takich hipokrytów. Cała ława przysięgłych, cały sąd, wszyscy czuli, że ta kobieta nie ma najmniejszej szansy. Nie potrafiła nawet walczyć o własne życie. A już na pewno nie potrafiła stawić czoła takiemu staremu wydze jak Humphie. To słabe, nieprzekonujące: „och, nie, nie, nie zrobiłam tego” było wzruszające, po

prostu wzruszające. Bo przecież była zgubiona. Tak, pod pewnym względem to było jeszcze najlepsze, co mogła zrobić. Narada przysięgłych nie trwała dłużej niż pół godziny, a wyrok brzmiał: „Winna, z zaleceniem łaski”.

— Poza tym pani Crale wygrywała przez kontrast z tą drugą kobietą, z Elzą Greer. Przysięgli od pierwszej chwili niechętnie się do niej ustosunkowali. Ale ona nic sobie z tego nie robiła. Niezwykle przystojna, nowoczesna, bezwzględna. Wszystkie kobiety obecne na sali widziały w niej typową niszczycielkę ogniska domowego. Dopóki tego rodzaju dziewczęta włączą się po świecie, żadna rodzina nie jest

bezpieczna. Dziewczyny z diabelskim seksapilem, a przy tym zupełnie amoralne. Żadnych względów na prawa żon i matek. Muszę jeszcze przyznać, że wcale siebie nie oszczędzała. Była szczerą, zdumiewająco szczerą. Zakochała się w Amyasie Crale'u, a on w niej, i bez cienia skrupułów usiłowała go odebrać prawowitej małżonce. Podziwiałem ją do pewnego stopnia. Dziewczyna miała odwagę. Podczas przesłuchiwania jej Depleach zastosował kilka ostrych chwytów, ale zniosła wszystko bez zmrużenia oka. Miała przeciw sobie całą salę, nie wyłączając sędziego. Pamiętam, że to był stary Avis. Ma niemało grzechów na sumieniu, ale kiedy zasiada jako

przewodniczący sądu i wkłada urzędową tokę, staje się zaciekle obrońcą moralności. Jego podsumowanie przewodu w procesie przeciwko Karolinie Crale było pełne wyrozumiałości. Rzecz jasna, nie mógł zmienić faktów, podkreślił jednak z dużym naciskiem moment prowokacji i tym podobne okoliczności łagodzące.

— A czy nie poparł teorii samobójstwa, którą wysunęła obrona? — spytał Poirot.

Fogg potrząsnął głową.

— Ta teoria nie miała najmniejszych podstaw. Nie chcę uchybić Depleachowi, robił, co mógł. Był

doprawdy wspaniały! Naszkicował wzruszający portret człowieka o bujnym temperamencie, wielkim sercu, opętanego gwałtowną namiętnością do młodej dziewczyny, dręczonego wyrzutami sumienia, ale niezdolnego do oporu. Potem opamiętanie, wstręt do samego siebie, skrucha w stosunku do żony i dziecka i wreszcie nagła decyzja, żeby z tym wszystkim skończyć. Honorowe wyjście. Mówię panu, to było wspaniałe przemówienie! Słowa Deplecha wyciskały łzy z oczu. Widziało się wprost tego biedaka, targanego namiętnością, w gruncie rzeczy uczciwego i porządnego człowieka. Efekt był wstrząsający. Ale kiedy przemówienie się skończyło, cały

czar prysł. Trudno było połączyć w wyobraźni tę mityczną postać z prawdziwym Amyasem Crale'em. Wszyscy zbyt dobrze go znali. To nie był człowiek tego typu. Depleach zresztą nie mógł przytoczyć na poparcie swych słów żadnych dowodów. Ja, na przykład, osobiście uważałem Crale'a za człowieka niemal zupełnie pozbawionego sumienia. To był bezwzględny, samolubny, niefrasobliwy egoista. Jeżeli miał jakąś moralność, to tylko w sztuce. Jestem pewien, że nie namalowałby nigdy niechlujnego, marnego kiczu bez względu na to, jaka mogłaby być pobudka. Ale poza tym był stuprocentowym mężczyzną, kochającym życie. Samobójstwo? O, nie!



— Może więc to nie był najszczęśliwszy pomysł obrony?

Fogg wzruszył sceptycznie ramionami.

— A cóż innego można było wymyślić? Trudno przecież siedzieć z założonymi rękami i oświadczyć z góry, że sprawa jest przesądzona i prokurator ma tylko udowodnić winę oskarżonej. Zbyt wiele było dowodów. Sama się przyznała do tego, że to ona wzięła truciznę. Więc mieliśmy środki, pobudki i okazję, słowem — wszystko.

— A czy nikt nie próbował dowieść, że to wszystko było sztucznie spreparowane?

— Ależ ona prawie do wszystkiego się przyznała! A poza tym to było zbyt nieprawdopodobne. Jeżeli dobrze rozumiem, ma pan na myśli, że to ktoś inny otruł Crale'a i zaaranżował wszystko tak, że podejrzenia padły na żonę?

— A pan wyłącza tę możliwość?

— Chyba tak — odpowiedział wolno Fogg. — Zakłada pan istnienie jakiegoś tajemniczego X. Ale gdzie mamy go szukać?

— Oczywiście, że w kole najbliższych — odpowiedział Poirot. — Mogło w tym brać udział tylko pięć osób, prawda?

— Pięć?... Zaraz, zastanówmy się! Stary niedołęga ze swoimi preparatami ziołowymi. Niebezpieczne zamiłowania, ale on sam był bardzo miły. Ogromnie roztargniony. Nie widzę go jako Iksa! Potem ta dziewczyna, ale ta wyprawiałaby chętnie na tamten świat raczej Karolinę, ale nigdy Amyasa. Potem ten makler giełdowy — najlepszy przyjaciel Crale'a. Takie rzeczy zdarzają się w powieściach kryminalnych, ale nie w życiu. Nie bardzo w to wierzę. A poza tym już chyba nikt? Ach, tak! Jeszcze ta dziewczynka, przyrodnia siostra Karoliny. Jej jednak nie można brać w rachubę. Mielibyśmy więc czworo.

— Zapomniał pan o guwernantce —  
podsunął Poirot.

— Ach, tak, rzeczywiście  
zapomniałem o guwernantce!  
Guwernantki to biedne stworzenia,  
zawsze się o nich zapomina. Chociaż  
muszę powiedzieć, że tę właśnie  
przypominam sobie trochę. Kobieta w  
średnim wieku, nieładna, doskonale  
znająca swój fach. Być może jakiś  
psychiatra wysunąłby tezę, że żywiła  
grzeszną namiętność do Crale'a i  
dlatego go zamordowała. Niewyżyta  
stara panna! Ale to na nic, po prostu w  
to nie wierzę. O ile pamiętam, wcale nie  
była typem patologicznym.

— Od tego czasu upłynęło już wiele

wody.

— Tak, zdaje się, że piętnaście czy szesnaście lat. Trudno wymagać ścisłości od mojej pamięci.

— Ależ wprost przeciwnie, pan doskonale wszystko pamięta — zapewnił Poirot. — Przyznam, że mnie to zdumiewa. Bo pan to wszystko widzi, prawda? Opowiada pan tak, jak gdyby miał cały obraz przed oczami.

— Tak, ma pan rację — rzekł powoli Fogg. — Widzę to wszystko przed sobą zupełnie wyraźnie.

— Chciałbym, drogi przyjacielu, żeby pan sobie uprzytomnił, dlaczego pan

widzi to wszystko tak wyraźnie.

— Dlaczego? — Fogg zastanowił się nad tym pytaniem. Jego wrażliwa inteligentna twarz ożywiła się. — Tak, rzeczywiście. Dlaczego tak to pamiętam?

— Kto stoi panu tak żywo przed oczami? — spytał Poirot. — Świadkowie? Obrońca? A może przewodniczący sądu? Oskarżona przed trybunałem?

— Tak, właśnie ją widzę tak wyraźnie — odpowiedział cicho Fogg. — Trafił pan w sedno. Będę ją zawsze widział. Dziwna rzecz ten romantyzm. Bo ona miała w sobie coś romantycznego. Nie

wiem nawet, czy była piękna w ścisłym tego słowa znaczeniu. Nie była już bardzo młoda, wyglądała na bardzo zmęczoną, miała podkrążone oczy. Ale cały dramat, całe zainteresowanie skupiło się wokół jej postaci. A przecież była na sali obecna jakby tylko połowicznie. Odchodziła gdzieś daleko, daleko. Tu zostawało tylko jej ciało: spokojne, skupione, z lekkim, uprzejmym uśmiechem na ustach. Była cała jak gdyby w półtonach, pan rozumie — światła i cienie. A mimo to miała w sobie więcej życia od tamtej drugiej, od tej dziewczyny o wspaniałej figurze i pięknej twarzy, obdarzonej brutalną młodą siłą. Podziwiałem Elżę Greer za jej odwagę, za to, że tak dzielnie

walczyła, że potrafiła stawić czoło swym dręczycielom i nie załamała się ani na chwilę. Ale Karolinę Crale podziwiałem za co innego. Za to, że nie walczyła, że usunęła się w swój własny świat cieni i świateł. Nie doznała porażki, bo nie brała wcale udziału w walce.

Fogg milczał przez jakiś czas.

— Jednego jestem pewien — rzeki wreszcie. — Ona kochała człowieka, którego zabiła. Kochała go tak bardzo, że połowa jej istoty umarła razem z nim...

Prokurator JKM Fogg przerwał i przetaił chusteczką okulary.



— Mój Boże! — westchnął. — Zdaje mi się, że mówię dziwne rzeczy! Byłem w owym czasie bardzo młodziutkim, ambitnym chłopcem. Takie historie wywierają wówczas wrażenie. Mimo to dzisiaj jeszcze twierdzę, że Karolina Crale była niezwykłą kobietą. Nigdy jej nie zapomnę. Nie, nigdy jej nie zapomnę.

# Rozdział trzeci

## Młody adwokat

George Mayhew był w rozmowie ostrożny i pełen rezerwy.

Owszem, przypomina sobie proces, ale bardzo niewyraźnie. Sprawę prowadził jego ojciec — on sam miał wówczas zaledwie dziewiętnaście lat. Tak jest, proces narobił wiele hałasu, bo Crale był bardzo znaną osobistością. Jego obrazy były znakomite, rzeczywiście, znakomite. Dwa z nich są obecnie w Tate Gallery. Chociaż to

niczego nie dowodzi.

Pan Poirot zechce mu darować, ale doprawdy nie rozumie, czemu pan Poirot interesuje się tą sprawą. Ach, tak, córka! Rzeczywiście? Naprawdę? W Kanadzie? Zawsze mu się zdawało, że wysłano ją do Nowej Zelandii.

George Mayhew rozkrochmalił się trochę.

Tak, to niełatwa rzecz dla młodej panny, najgłębiej jej współczuję. Byłoby niewątpliwie lepiej, gdyby nigdy nie dowiedziała się prawdy. Ale nie czas na żale, skoro już się tak stało. Córka chce znać prawdę? Ale cóż tu jest jeszcze do zbadania? Są przecież sprawozdania z

procesu, on osobiście niewiele może do nich dodać.

Nie, co do winy pani Crale nie ma chyba wątpliwości, choć było sporo okoliczności łagodzących. Ci artyści to ludzie trudni w pożyciu. O ile mu wiadomo, Crale zawsze miał jakieś romanse, nie z tą, to z inną.

Pani Crale była przypuszczalnie zaborcza i ambitna, nie mogła się z tym wszystkim pogodzić. W dzisiejszych czasach by się po prostu z nim rozwiodła i zapomniała o wszystkim. W końcu dodał ostrożnie:

— Zaraz... hm... Zdaje mi się, że obecna lady Dittisham była wówczas tą

trzecią?

Poirot odpowiedział, że o ile mu wiadomo, chodziło rzeczywiście o nią.

— Gazety wywlekają od czasu do czasu tę sprawę — rzekł Mayhew. — Lady Dittisham rozwodziła się kilkakrotnie. Wie pan zapewne, że to bardzo bogata dama. Zanim wyszła za mąż za Dittishama, była żoną pewnego słynnego podróżnika. Jest wciąż mniej lub więcej na widoku publicznym. Przypuszczam, że lubuje się w rozgłosie.

— A może tylko ma słabość do ludzi sławnych?

Myśl ta zaskoczyła widocznie pana

Mayhewa; przyjął ją z niejakim powątpiewaniem.

— Hm... być może... Tak, sędzę, że to możliwe. Zdawało się, że rozważa starannie tę hipotezę.

— Czy pańska firma przez długi czas zajmowała się sprawami majątkowymi pani Crale? — spytał Poirot. George Mayhew potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Reprezentowała je firma Jonathan & Jonathan. Ale w owych zupełnie wyjątkowych okolicznościach pan Jonathan uważał, że nie może występować jako doradca pani Crale, i prosił nas — to jest mojego ojca — żeby przejął sprawę. Powinien pan

odwiedzić starego pana Jonathana. Usunął się wprawdzie z czynnego życia — ma ponad siedemdziesiąt lat — ale doskonale znalazł rodzinę Crale'ów od kilku pokoleń i będzie mógł panu powiedzieć znacznie więcej ode mnie. Bo ja w gruncie rzeczy nie mogę panu powiedzieć prawie nic. Byłem wtedy jeszcze chłopcem i w owym czasie bodajże nie widziałem jeszcze nigdy sali sądowej.

Poirot wstał, a George Mayhew, również wstając, dodał:

— Być może chciałby pan porozmawiać z naszym najstarszym pracownikiem, Edmundsem. Pracował już wtedy w naszej firmie i bardzo się

całą sprawą interesował.

Edmunds cedził powoli słowa, w oczach jego błyskała prawnicza ostrożność. Dopiero po pewnym czasie Poirot nakłonił go do rozmowy.

— Hm... owszem, pamiętam proces pani Crale — a potem dodał surowym tonem: to była haniebna sprawa! Badał przez chwilę wzrokiem Herkulesa Poirota.

— Ale to już za dawne dzieje, aby się na nowo w nich grzebać — rzeki wreszcie.

— Wyrok sądowy nie zawsze jest ostatecznym zakończeniem.



Edmunds wolno skinął kwadratową głową.

— Tak, co to, to racja.

— Pani Crale pozostawiła córkę — ciągnął dalej Poirot.

— Aha, tak. Pamiętam, że była córka. Zdaje się, że wysłano ją do krewnych za granicę, prawda?

— Córka jest głęboko przekonana, że jej matka była niewinna.

— To tak się rzeczy mają? — zauważył Edmunds, podnosząc krzaczaste brwi.

— Czy mógłby pan przytoczyć jakieś fakty, które by usprawiedliwiały to jej przekonanie? — zapytał Poirot.

Edmunds zastanowił się, po czym potrząsnął głową.

— Uczciwie mówiąc: nie. Podziwiałem panią Crale. Nie wiem, co robiła, ale to była dama! W przeciwieństwie do tej drugiej. Tamta to dziwka! Nic więcej... Bezczelna prostytutka! I nie umiała tego ukryć! Ale pani Crale to była osoba na poziomie.

— A jednak morderczyni?

Edmunds zmarszczył się, a po chwili powiedział tonem znacznie żywszym niż

dotychczas:

— Nad tym właśnie codziennie się zastanawiałem. Siedziała na ławie oskarżonych taka spokojna i łagodna. „Nigdy nie uwierzę w jej winę” — powtarzałem sobie w duchu. Ale z drugiej strony, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli, trudno też było znaleźć inne wytłumaczenie. Ta cykuta nie mogła przecież dostać się przypadkiem do piwa, ktoś ją musiał tam wlać. A jeżeli nie pani Crale, to kto?

— Tak — odpowiedział Poirot — kto? Oto jest pytanie!

Starcze, przenikliwe oczy znowu spojrzały na niego badawczo.

— Więc taką ma pan hipotezę?

— A co pan sam o tym myśli?

Minęło kilka chwil, nim usłyszał odpowiedź Edmunda:

— Nic wtedy na to nie wskazywało, absolutnie nic.

— Czy byt pan na sali podczas procesu? — zapytał Poirot.

— Codziennie.

— I słyszał pan zeznania świadków?

— Tak jest.

— Może pana coś uderzyło w ich zeznaniach? Coś nienaturalnego? Jakaś nieszczerłość?

— Pyta pan, czy ktoś z nich kłamał? — spytał Edmunds bez ogródek. — Czy komuś z nich zależało na tym, żeby panią Crale skazano na śmierć? Bardzo pana przepraszam, ale to melodramatyczny pomysł.

— Ale może jednak zechce się pan nad tym chwilę zastanowić — nalegał Poirot, wpatrując się intensywnie w przenikliwe, przymrużone oczy i skupioną twarz starego urzędnika. Edmunds potrząsnął ze smutkiem głową.

— Ta panna Greer — rzekł — była

rzeczywiście bardzo rozgoryczona i żądna zemsty. Powiedziałbym, że w pewnych swych zeznaniach przebrała miarkę. Ale chodziło jej przecież o żywego Crale'a, nie jej było po umarłym. Owszem, na pewno chciała, żeby powieszono panią Crale, ale tylko dlatego, że śmierć sprzątnęła jej sprzed nosa upragnionego mężczyznę. Przypominała rozjuszona tygrysyca. Ale, jak powiadam, chodziło jej o żywego Crale'a. Pan Filip Blake także był przeciw pani Crale — był do niej bardzo uprzedzony i zeznając mówił o niej wszystko, co mógł najgorszego. Ale muszę go bronić i rozumiem, że jako najlepszy przyjaciel Crale'a musiał mieć takie, a nie inne nastawienie. Jego brat,

Meredith Blake... bardzo słaby świadek. Niepewny, wahający się. Miało się wrażenie, że nie wie, co ma odpowiedzieć. Widziałem już w sądzie wielu takich świadków. Wygląda na to, że kłamia, chociaż mówią w gruncie rzeczy szczerą prawdę. Meredith Blake nie chciał powiedzieć nic ponad to, co musiał. Toteż prokurator używał na nim, jak mógł. Meredith Blake należał do ludzi, których łatwo speszyć. Bo na przykład ta guwernantka spisywała się doskonale. Nie traciła słów po próżnicy i na wszystko odpowiadała zwięźle i jasno. Słuchając jej, trudno się było zorientować, po czyjej jest stronie. Miała głowę na karku. Energiczna kobieta!

Umilkł na chwilę, a potem dodał:

— Wcale bym się nie zdziwił, gdyby w gruncie rzeczy wiedziała o tej sprawie znacznie więcej, niż zeznała!

— Ja bym też się nie zdziwił — potaknął Herkules Poirot.

Spojrzał bystro na pomarszczoną, mądrą twarz Alfreda Edmunda. Była zupełnie spokojna i obojętna, ale Herkules Poirot zaczął się zastanawiać, czy słowa starego urzędnika nie zawierały jakiejś ukrytej wskazówki.



# Rozdział czwarty

## Stary prawnik

Pan Kaleb Jonathan mieszkał w Essex. Po kurtuazyjnej wymianie listów pan Poirot otrzymał zaproszenie utrzymane w tonie niemal królewskim, aby przyjechał go odwiedzić i zechciał zanocować. Stary dżentelmen był najwidoczniej osobistością o zdecydowanym charakterze. Po nudnawym, mdłym młodym Mayhew, pan Jonathan robił wrażenie kielicha wina z własnego rocznika.

Miał indywidualny sposób traktowania tematu i było już dobrze po północy, gdy siedzieli, pociągając stary wonny koniak i pan Jonathan wreszcie się rozkrochmalił. Oceniał należycie kurtuazję pana Poirota, który nie starał się go przynaglać do wynurzeń. Teraz z własnej woli skłonny był porozmawiać o rodzinie Crale'ów.

— Nasza firma — zaczął — znała rodzinę Crale'ów od wielu pokoleń. Znałem osobiście Amyasa Crale'a i jego ojca, Ryszarda, a nawet przypominam sobie jeszcze dziada, Enocha Crale'a. Wszyscy byli ziemianami, bardziej interesowali się końmi niż ludźmi. Jeździli konno doskonale, lubili kobiety

i nie zawracali sobie głowy myśleniem. Traktowali wszelkie myślenie nieufnie. Ale żona Ryszarda Crale'a była wielką intelektualistką, miała więcej intelektu niż rozsądku. Bardzo poetyczna i muzykalna, grywała nawet na harfie. Słabego zdrowia, wyglądała niezwykle malowniczo, leżąc na szezlongu. Uwielbiała Kingsleya i dlatego nadała swemu synowi imię Amyas. Ojciec zrywał się na to, ale w końcu ustąpił. To mieszane pochodzenie wyszło Amyasowi na dobre. Po słabowitej matce odziedziczył żyłkę artystyczną, po ojcu pasję życia i egoizm. Wszyscy Crale'owie byli na wskroś egoistami — i nie uznawali niczyjego zdania poza własnym.

Pukając delikatnymi palcami w poręcz fotela, staruszek zerknął chytrze spod oka na Herkulesa Poirota.

— Może się mylę, odniosłem jednak wrażenie, że interesują pana przede wszystkim problemy psychologiczne. Czy tak?

— Istotnie, to mnie najbardziej interesuje we wszystkich zagadnieniach, które mam do rozwiązania — przyznał Poirot.

— Rozumiem to... dostać się jakby pod skórę przestępcy. Jakież to pasjonujące! Nasza firma nie zajmowała się nigdy sprawami kryminalnymi, nie mogliśmy więc prowadzić sprawy pani

Crale, gdyby nawet etyka prawnicza pozwoliła nam na to. Ale firma Mayhew stanęła na wysokości zadania. Mayhewowie zaangażowali Depleacha jako obrońcę. Nie wykazali tym może specjalnej pomysłowości, ale w każdym razie był to obrońca drogi i, oczywista, bardzo efektowny. Nie przewidzieli tylko, że Karolina nie zechce zagrać roli, którą dla niej przygotował. Karolina Crale nie miała w sobie nic z efekciarstwa.

— Jaka właściwie była? — spytał Poirot. — Tego właśnie najbardziej chciałbym się dowiedzieć.

— Tak, naturalnie. Jak to się stało, że popełniła zbrodnię? Oto najistotniejsze

pytanie. Znałem ją jeszcze jako pannę. Nazywała się wtedy Karolina Spalding i była nieszczęśliwą istotą, przy tym niesłychanie żywą. Matka jej wcześniej owdowiała i Karolina była do niej bardzo przywiązana. Potem pani Spalding wyszła powtórnie za mąż. Przyszło na świat drugie dziecko. Tak—tak... to bardzo smutne, bardzo bolesne. Taka dziecinna, niepohamowana w zazdrości!

— Była zazdrosna?

— Piekielnie! Zaszedł nawet na tym tle pewien godny pożalowania wypadek, biedna dziewczyna bardzo sobie to później wyrzucała. No, ale zdarzają się

tego rodzaju rzeczy, człowiek nie potrafi nad sobą zapanować. Opanowanie przychodzi wraz z dojrzałością.

— Cóż się stało? — spytał Poirot.

— Skrzywdziła to dziecko, to niemowlę. Cisnęła w nie przyciskiem. Dziecko straciło wzrok w jednym oku i zostało na całe życie zeszpecone. — Pan Jonathan głęboko westchnął i mówił po chwili dalej: — Może pan sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarło pytanie na ten temat podczas przewodu. — Pokiwał głową. — Nasuwało to podejrzenie, że Karolina Crale jest kobietą o nieposkromionym temperamencie. A tymczasem tak nie było. Nie, to była nieprawda.

Umilkł, a potem ciągnął dalej:

— Karolina Spalding często przyjeżdżała w odwiedziny do Alderbury. Doskonale jeździła konno i była bardzo odważna. Ryszard Crale przepadał za nią. Oddawała też liczne drobne przysługi pani Crale, była zręczna i łagodna. Pani Crale także bardzo ją lubiła. Dziewczyna nie czuła się szczęśliwa w domu, tu natomiast było jej bardzo dobrze. Przyjaźniła się z siostrą Amyasa, Dianą Crale. Filip i Meredith Blake, chłopcy z sąsiedztwa, byli częstymi gośćmi w Alderbury. Filip był zawsze wstrętnym, chciwym na pieniądze chłopcem. Muszę przyznać, że



nigdy go specjalnie nie lubiłem. Mówiono mi jednak, że potrafi doskonale opowiadać i że ma opinię oddanego, wiernego przyjaciela. Meredith to takie, jak to się mówi, „ciepłe kluski”. Lubił botanikę i motylki, obserwował ptaki i zwierzęta. Dzisiaj to się nazywa studiować przyrodę. Ach, mój Boże! Wszyscy młodzi sprawili zawód rodzicom. Żadne nie odziedziczyło ich zamiłowali do polowania, do strzelania, do rybołówstwa. Meredith wolał obserwować ptaki i zwierzęta, niż do nich strzelać. Filip zdecydowanie wolał miasto niż wieś i zajął się interesami, chcąc jak najprędzej dorobić się majątku. Diana wyszła za męża, ale nie za

żadnego dżentelmena: on był tak zwanym oficerem czasu wojny. A Amyas, silny, piękny, męski Amyas, został nagle malarzem. Przysięgłbym, że to spowodowało udar, na który umarł pan Ryszard Crale.

Niedługo potem Amyas ożenił się z Karoliną Spalding. Kłócili się i zawsze darli z sobą koty, ale niewątpliwie było to małżeństwo z miłości. Byli w sobie zakochani do szaleństwa. Uczucie to nie gasło, ale Amyas odziedziczył wszelkie cechy Crale'ów, więc i bezwzględny egoizm. Kochał wprawdzie Karolinę, ale absolutnie się z nią nie liczył. Robił, co chciał. Moim zdaniem kochał ją taką miłością, do jakiej w ogóle był zdolny,

ale na pierwszym miejscu stawiał swoją sztukę. I powiedziałbym, że żadna kobieta w jego życiu nie mogła rywalizować ze sztuką. Owszem, miał wiele miłostek, kobiety były mu natchnieniem, ale skoro już przestały go interesować, porzucał je bez najmniejszych skrpułów. To nie był człowiek sentymentalny ani romantyk, o nie! Ale trzeba przyznać, że nie był także na wskroś zmysłowy. Jedyną kobietą, o którą dbał w życiu, była z pewnością jego żona. Ona to czuła i dlatego na wiele rzeczy patrzyła przez palce. Był doskonałym malarzem. Karolina wiedziała o tym i szanowała jego talent. Robił różne wypadki miłosne, ale zawsze wracał — zazwyczaj z jakimś nowym

obrazem. Mogło to trwać jeszcze długie lata, gdyby nie trafił na Elzę Greer. Bo Elza Greer... — Jonathan nie dokończył, pokiwał tylko znacząco głową.

— A co było z Elza Greer? — spytał Poirot.

— Biedne dziecko... biedne dziecko — rzekł niespodziewanie Jonathan.

— Taki pan ma do niej stosunek? — zapytał Poirot.

— Może to dlatego, że jestem stary — odpowiedział Jonathan — ale powiem panu, że w bezbronności młodych jest coś, co mnie wzrusza do łez. Młodość jest taka wrażliwa, taka łatwa do

zranienia. A przy tym taka bezwzględna,  
taka pewna siebie... Taka  
wspaniałomyślna i wymagająca.

Stary prawnik wstał i podszedł do  
półki z książkami. Wyjął jeden z tomów,  
otworzył go, przerzucił kilka kartek i  
zaczął czytać głośno:

*Dwa słowa, drogi, a  
potem naprawdę*

*Dobranoc. Jeśli twa  
miłość uczciwa,*

*a twym zamiarem  
małżeństwo, to jutro*

*przez kogoś, kogo ci  
przyślę, mi donieś,*

*gdzie, kiedy chciałbyś  
dopełnić obrzędu,*

*a cały los swój u stóp  
twoich złożę*

*i za mym panem pójdę na  
kraj świata[4]*

— Tak słowami Julii przemawia miłość w połączeniu z młodością — powiedział. — Żadnej powściągliwości, żadnych niedomówień ani tak zwanej dziewiczej wstydlivosti.

Odwaga, dążenie do celu, bezwzględna siła młodości! Szekspir dobrze wiedział, co to młodość. Julia wybiera Romea... Desdemona chce Otella. Młodzi nie wiedzą, co to zwątpienie, co to strach, co pycha.

— Więc do pana Elza Greer przemawiała słowami Julii? — spytał zamyślony Poirot.

— Tak. Była rozpieszczonym dzieckiem szczęścia. Młoda, piękna, bogata. Spotkała swego mężczyznę: chciała go mieć. No, ale to nie był młody Romeo, tylko żonaty, niemłody malarz. Elza Greer nie miała żadnego kodeksu moralnego, który by ją powstrzymywał, wyznawała jedynie

kodeks nowoczesnej młodzieży: „Bierz z życia, ile zdołasz, wszak żyjemy tylko raz!”

Tu westchnął, odchylił się w fotelu i znowu zaczął pukać palcami w poręcz.

— Zaborcza Julia. Młoda, okrutna, lecz niesłuchanie wrażliwa, bezbronna. Śmiało stawia wszystko na jedną kartę i pozornie wygrywa. A potem w ostatniej chwili wkracza na scenę śmierć i ta żywa, radosna, płomienna Elza także umiera. Zostaje mściwa, zimna, twarda kobieta i tylko z całej mocy nienawidzi tej drugiej, której ręka popełniła zbrodnię.

Pan Jonathan zmienił ton.



— Do licha! Popadam w melodramat!  
... A więc pozostaje twarda, młoda  
kobieta o równie twardym poglądzie na  
świat. Niezbyt interesujący charakter.  
„Biało—różowa młodości, namiętna,  
blada...” Odejmiemy to i cóż nam  
pozostanie? Dość przeciętna młoda  
niewiasta, szukająca innego bohatera  
naturalnej wielkości, którego mogłaby  
postawić na opróżnionym piedestale.

— A gdyby Amyas Crale nie był  
słynnym artystą... — zaczął Poirot.

— Otóż to, otóż to — potaknął gorąco  
pan Jonathan. — Trafnie pan to ujął.  
Dzisiejsze Elzy to wielbicielki sławnych  
ludzi. Mężczyzna musi czegoś dokonać,  
musi być kimś. Ale Karolina Crale

mogłaby się była równie dobrze zakochać w urzędniku bankowym czy — agencie towarzystwa ubezpieczeń. Karolina kochała Amyasa Crale'a — mężczyznę, nie Amyasa Crale'a — wielkiego malarza. Karolina nie była wulgarna, natomiast Elza Greer, owszem. Ale Elza była młoda i piękna, i — dla mnie — niezmiernie wzruszająca.

Herkules Poirot kładł się spać mocno zamyślony. Fascynowało go zagadnienie psychologiczne.

Dla Edmunda, urzędnika biura prawnego, Elza Greer była zwykłą dziwką, niczym więcej.

Dla starego pana Jonathana była

odwieczną Julią.

A Karolina Crale?

Każdy widział ją inaczej. Montague Depleach pogardzał nią za jej defetyzm, za uległość wobec losu. Dla młodego Fogga była uosobieniem romantyzmu. Edmunds widział w niej przede wszystkim wielką damę. Pan Jonathan wyraził się o niej jako o osobie o gwałtownym, burzliwym temperamencie.

Jaka by się wydala jemu, Poirotowi?

Czuł, że od trafnej odpowiedzi na to pytanie zależy powodzenie jego misji.

Dotychczas jednak żadna z osób, z którymi rozmawiał, najwyraźniej nie wątpiła wcale, że Karolina Crale — bez względu na inne jej cechy — była morderczynią.

# Rozdział piąty

## Inspektor policji

Były inspektor policji. Hale, pykał w zamyśleniu fajkę.

— To dziwny pomysł, panie Poirot —  
rzekł wreszcie.

— Tak, być może, że dość niezwykły  
— przyznał ostrożnie Poirot.

— Widzi pan — ciągnął Hale — to  
działo się tyle lat temu.

Herkules Poirot był przygotowany, że nieraz jeszcze usłyszy to zdanie, powiedział więc łagodnie:

— To utrudnia sprawę, rzecz prosta.

— Grzebanie się w przeszłości — zastanawiał się Hale. — Żeby chociaż był w tym jakiś cel...

— Owszem, cel jest.

— Mianowicie?

— Można dochodzić prawdy dla samej satysfakcji jej wykrycia — rzekł Poirot. — Ja właśnie to mam na celu. A poza tym niech pan nie zapomina o tej młodej damie.

Hale skinął głową.

— Owszem, jeżeli chodzi o nią, to doskonale ją rozumiem. Ale — niech mi pan daruje, panie Poirot — panu nie brak przecież pomysłowości. Może pan zmyślić dla niej jakąś historyjkę...

— Nie zna pan tej młodej damy — odparł Poirot.

— Proszę pana! Człowiek z pańskim doświadczeniem...

Poirot wyprostował się i rzeki z godnością:

— *Mon cher*,<sup>[5]</sup> jestem, być może, mistrzowskim kłamcą — pan

przynajmniej zdaje się tak sądzić — ale takie postępowanie byłoby, moim zdaniem, w najwyższym stopniu nieetyczne. Mam swoje zasady.

— Przepraszam, nie chciałem pana urazić. Ale byłoby to, że tak powiem, kłamstwo w dobrej sprawie.

— Nie jestem tego pewien.

— Tak, kiedy młoda, śliczna dziewczyna, która ma właśnie wyjść za mąż, dowiaduje się, że jej matka popełniła morderstwo, musi to być dla niej okropny cios. Na pana miejscu poszedłbym do niej i powiedział, że koniec końców to było samobójstwo. Niech pan powie, że pokpił sprawę



Depleach, a pan nie ma najmniejszej wątpliwości, że Crale świadomie zażył truciznę!

— Ależ wprost przeciwnie, mam mnóstwo wątpliwości! Nie wierzę ani przez chwilę, że Crale odebrał sobie życie. Czy pan dopuszcza taką ewentualność?

Hale wolno pokręcił głową.

— A widzi pan! Nie, muszę dowiedzieć się prawdy. Jakieś mniej lub bardziej prawdopodobne kłamstwo mi nie wystarczy.

Hale odwrócił się i spojrzał na Poirota. Jego kwadratowa czerwona

twarz stała się jeszcze bardziej czerwona, a nawet jeszcze bardziej kwadratowa.

— Mówi pan o prawdzie — rzekł. — Chciałbym, aby pan zrozumiał, że naszym zdaniem w procesie Karoliny Crale ustaliliśmy faktyczny stan rzeczy.

— Pańska wypowiedź ma dla mnie ogromne znaczenie — rzekł Poirot. — Znam pana jako uczciwego i zdolnego człowieka. Więc proszę, niech mi pan powie całkiem szczerze, czy nigdy nie wątpił pan ani przez chwilę w winę pani Crale?

Odpowiedź inspektora nastąpiła bardzo szybko:

— Ani przez chwilę, panie Poirot. Okoliczności najwyraźniej wskazywały na nią, a dalsze fakty ustalone w toku śledztwa jeszcze nas w tym przekonaniu utwierdziły.

— Czy mógłby pan opowiedzieć mi z grubsza, jakie były obciążające ją dowody?

— Oczywiście. Po otrzymaniu pańskiego listu przejrzałem akta sprawy. — Wyciągnął z kieszeni notes. — Wynotowałem sobie tutaj wszystkie zasadnicze fakty.

— Bardzo panu dziękuję, drogi panie. Zamieniam się w słuch.

Hale odchrząknął. Głos jego przybrał urzędową intonację:

— Osiemnastego września po obiedzie, czyli dokładniej mówiąc o godzinie 14,45, do inspektora Conwaya zatelefonował doktor Andrzej Faussett. Doktor zawiadomił inspektora, że pan Amyas Crale z Alderbury zmarł nagle i że w związku z okolicznościami towarzyszącymi tej śmierci oraz zeznaniami bawiącego wówczas w Alderbury gościa, pana Blake'a, sprawą powinna się zająć policja.

Inspektor Conway w towarzystwie sierżanta policji i lekarza udał się natychmiast do Alderbury. Tam już czekał na niego dr Faussett, który

natychmiast zaprowadził go na miejsce, gdzie znajdowały się zwłoki pana Crale'a tak, jak go śmierć zaskoczyła.

Pan Crale malował w małym, ogrodzonym ze wszystkich stron ogródku, który nosił nazwę „Bateria”, ponieważ roztaczał się z niego widok na morze, a przy balustradzie ustawiona była miniaturowa armatka. Ogródek znajdował się w odległości niespełna czterech minut drogi od domu. Pan Crale nie wrócił do domu na lunch, ponieważ pragnął wykorzystać pewną grę światła na kamiennych płytach, czego w późniejszych godzinach nie udałoby mu się osiągnąć. Znajdował się więc w ogródku sam i malował. Jak wynikało z

zeznań świadków, nie było w tym nic  
niezwykłego, bo nie zawsze stosował  
się do godzin posiłków. Niekiedy  
posyłano mu kilka kanapek, ale  
najczęściej wolał, by mu nie  
przeszkadzano. Ostatnimi osobami, które  
go widziały przy życiu, były panna Elza  
Greer (mieszkająca podówczas w domu  
Crale'ów) i pan Meredith Blake, bliski  
sąsiad. Obie wyżej wymienione osoby  
wróciły razem do domu i udały się z  
resztą mieszkańców na lunch. Po lunchu  
podawano na tarasie czarną kawę. Po  
kawie pani Crale oświadczyła, że  
pójdzie zobaczyć, jak tam Amyasowi  
idzie. Guwernantka, panna Cecylia  
Williams, wstała i poszła razem z nią.  
Szukała swetra swej wychowanki, panny

Angoli Warren, siostry pani Crale, który mała gdzieś zarzuciła. Panna Williams sądziła, że może dziewczynka zostawiła go na plaży.

Ruszyły więc obie razem. Dróżka biegła w dół, przez mały lasek do furtki ogródka. Można było z niej wejść do ogródka albo iść dalej aż do plaży.

Panna Williams poszła na plażę, a pani Crale weszła do ogródka. Ale niemal w tej samej chwili pani Crale krzyknęła i panna Williams zawróciła spiesznie. Pan Crale siedział na ławce, nie dając znaku życia.

Na prośbę pani Crale guwernantka pospieszyła natychmiast do domu, żeby

weszać doktora. Po drodze spotkała jednak pana Mereditha Blake'a i zleciła mu swoje zadanie, sama zaś powróciła do pani Crale, przypuszczając, że może jej być potrzebna. W kwadrans później zjawił się doktor Faussett. Stwierdził od razu, że pan Crale nie żyje już od jakiegoś czasu — przypuszczał, że zgon musiał nastąpić między godziną pierwszą a drugą. Nie było żadnych oznak, podług których można by ustalić przyczynę śmierci, ani śladu jakiegokolwiek rany, a ciało znajdowało się w najzupełniej naturalnej pozycji. Niemniej jednak doktorowi Faussettowi, który doskonale znał stan zdrowia pana Crale'a i wiedział, że nie cierpiał on na żadną chorobę, sprawa wydała się



podejrzana. Ponadto w tym właśnie momencie pan Filip Blake złożył Faussetowi pewne oświadczenie.

Tu inspektor Hale przerwał i zaczerpnął tchu, jak gdyby miał przystąpić do „rozdziału drugiego”.

— Pan Blake powtórzył później swoje oświadczenie inspektorowi Conwayowi. Brzmiało ono następująco: Krytycznego ranka telefonował do niego jego brat, pan Meredith Blake, zamieszkały w Handcross Manor, odległym o półtorej mili od majątku Crale’ów. Pan Meredith Blake był amatorem—chemikiem albo może, ściślej mówiąc, zielarzem. Wszedłszy tego ranka do laboratorium, pan Meredith

Blake spostrzegł ze zdumieniem, że butelka, zawierająca wyciąg z szaleju, prawie pełna dnia poprzedniego, jest obecnie niemal pusta. Zaniepokojony tym faktem, poradził się telefonicznie brata, co robić. Pan Filip Blake powiedział mu, żeby natychmiast przyjechał do Alderbury celem osobistego omówienia sprawy. Pan Filip wyszedł na spotkanie brata, po czym obaj wrócili do Alderbury. Nie zdecydowali jednak, co należy przedsięwziąć, i odłożyli sprawę do ponownego rozważenia po lunchu.

W trakcie dalszych dochodzeń inspektor Conway ustalił następujące fakty: poprzedniego popołudnia pięć

osób udało się z Alderbury do Handcross Manor na herbatę. Byli to państwo Crale'owie, panna Angela Warren, panna Elza Greer i pan Filip Blake. Przy herbacie pan Meredith Blake miał obszerny wykład na temat zielarstwa, po czym zaprowadził gości do swego laboratorium. Przy tej okazji mówił o niektórych lekarstwach — jednym z nich była właśnie cykuta, wyciąg z szaleju. Tłumaczył jej właściwości, ubolewał, że znikła teraz z oficjalnego spisu leków, i nadmienił, iż małe dawki tego wyciągu dają doskonałe rezultaty przy kokluszu i astmie. W dalszym ciągu podkreślił trujące właściwości ziela i odczytał gościom fragment dzieła jakiegoś Greka,

opisujący działanie trucizny.

Inspektor Hale przerwał, nabił fajkę i przeszedł do „rozdziału trzeciego”:

— Główny inspektor policji, pułkownik Frere, powierzył śledztwo mnie. Wynik sekcji nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do przyczyny śmierci. O ile się orientuję, cykuta nie zostawia żadnych wyraźnych śladów po śmierci, lekarze jednak wiedzieli, czego szukać, w rezultacie więc wykryto znaczne ilości tej trucizny, i stwierdzono, że została zażyta na dwie lub trzy godziny przed zgonem. Na stoliku, przy którym siedział pan Crale, znajdowała się pusta szklanka i pusta butelka po piwie. Poddano je dokładnej

analizie i znaleziono ślady cykuty w szklance, natomiast nie było jej w butelce. Z zadawanych pytań dowiedziałem się, że chociaż w altanie w ogródku stała skrzynka piwa i szklanki, na wypadek, gdyby pan Crale poczuł pragnienie podczas pracy, tego właśnie przedpołudnia pani Crale przyniosła z domu butelkę piwa zmrożonego w lodówce. Pan Crale był zaabsorbowany malowaniem, kiedy pani Crale przyniosła piwo, a panna Greer pozowała mu do portretu, siedząc na balustradzie. Pani Crale otworzyła butelkę, nalała piwa do szklanki i podała mężowi, który stał przed sztalugami. Wypił jednym haustem — taki miał zwyczaj, jak to ustaliłem.

Potem skrzywił się, odstawił szklanę na stolik i powiedział: „Wszystko mi się dzisiaj wydaje obrzydliwe”. Panna Greer roześmiała się i powiedziała:

— To pewno wątroba”. Na to pan Crale dodał: „Ale piwo przynajmniej było zimne”.

Hale urwał znowu, a Poirot spytał:

— O której godzinie to było?

— Mniej więcej kwadrans po jedenastej. Pan Crale nie przerywał pracy. Jak twierdzi panna Greer, skarżył się potem na sztywność stawów i burczał, że się pewno nabawił reumatyzmu. Ponieważ jednak niechętnie

się przyznawał do fizycznych dolegliwości, starał się zapewne nie okazywać, że się źle czuje. To jego gniewne żądanie, żeby wszyscy poszli na lunch i zostawili go samego, było moim zdaniem bardzo dla niego charakterystyczne.

Poirot skinął głową, inspektor Hale zaś ciągnął dalej:

— Crale został tedy sam w ogródku. Przypuszczalnie usiadł zaraz na ławce, chcąc odpocząć. Po chwili nastąpił paraliż mięśni, a ponieważ nie było natychmiastowej pomocy — zgon.

Poirot ponownie skinął głową, a Hale ciągnął dalej:

— Zastosowałem zwykłą procedurę. Stwierdzenie faktów nie nastęrczało trudności. Poprzedniego dnia doszło do ostrej wymiany słów między panią Crale a panną Greer. Ta ostatnia wyliczała bezczelnie zmiany w ustawieniu mebli, które wprowadzi, kiedy zamieszka tu na stałe. Pani Crale spytała, co chce przez to powiedzieć, na co tamta odpowiedziała: „Nie udawaj, że nie rozumiesz, Karolino. Przypominasz strusia chowającego głowę w piasek. Wiesz przecież doskonale, że się kochamy z Amyasem i mamy zamiar się pobrać”. Wtedy pani Crale powiedziała: „Nic o tym nie wiem”, a panna Greer odparła: „To się teraz dowiedziałaś!” Na to pani Crale zwróciła się do męża,



który wszedł właśnie do pokoju, z pytaniem: „Amyasie, czy to prawda, że się żenisz z Elzą?”

— Cóż odpowiedział pan Crale? — spytał zaciekawiony Poirot.

— Zwrócił się podobno do panny Greer i wrzasnął: „Po co, u diabła, paplesz?! Czy nie masz dość oleju w głowie, żeby trzymać język za zębami?!” Panna Greer odpowiedziała: „Uważam, że Karolina powinna znać prawdę”. „Czy to prawda, Amyasie?”, powtórzyła pani Crale, a on, nie patrząc na nią, odwrócił się i mruknął coś pod nosem. Powtórzyła więc jeszcze raz: „Mów głośniej, muszę wiedzieć”. Wtedy on odpowiedział: „Tak, to prawda, ale nie

chcę o tym teraz mówić”. Potem wybiegł z pokoju, a panna Greer powiedziała: „Widzisz?” i dodała, że Karolina nie powinna zachowywać się jak pies ogrodnika, bo to się na nic nie zda. Muszą postępować jak ludzie rozsądni. Wyraziła też nadzieję, że Karolina i Amyas pozostaną nadal przyjaciółmi.

— A co na to pani Crale?

— Według zeznań świadków roześmiała się. Potem rzekła: „Po moim trupie, Elzo!” Poszła ku drzwiom, a panna Greer zawołała za nią: „Co to znaczy?” Pani Crale odwróciła się i powiedziała: „Prędzej zabiję Amyasa, niż oddam go tobie!” — Hale urwał. —

Obciążający materiał, co? — spytał.

— Tak — odpowiedział zamyślony Poirot. — Kto słyszał to wszystko?

— W pokoju znajdowali się wtedy panna Williams i Filip Blake. Czuli się bardzo głupio.

— Czy ich relacje o tej scenie się pokrywają?

— Prawie całkowicie, bo trudno znaleźć dwu świadków, którzy by tę samą rzecz pamiętali identycznie. Pan chyba najlepiej o tym wie, panie Poirot.

Poirot kiwnął głową. Po chwili zamyślenia rzekł:

— Tak... tak... To będzie interesujące... — urwał, nie kończąc zdania.

Hale opowiadał dalej:

— Zarządziłem rewizję w domu. W pokoju sypialnym pani Crale w dolnej szufladzie pod zimowymi pończochami znalazłem małą buteleczkę z napisem: „Jaśmin”. Była pusta. Zbadałem odciski palców. Były na niej tylko odciski palców pani Crale. Analiza wykazała lekkie ślady olejku jaśminowego i resztki silnego roztworu cykuty. Ostrzegłem panią Crale i pokazałem jej butelkę. Odpowiedziała od razu. Twierdziła, że była niesłychanie przygnębiona. Po wysłuchaniu objaśnień

Mereditha Blake'a o właściwościach trucizny, wśliznęła się powtórnie do laboratorium, wylała perfumy jaśminowe, które miała w torebce, i napełniła buteleczkę roztworem cykuty. Na moje pytanie, dlaczego to zrobiła, odpowiedziała: „Nie chcę mówić o pewnych sprawach więcej niż to konieczne, mogę tylko powiedzieć, że doznałam silnego wstrząsu. Mąż mój zamierzał opuścić mnie dla innej kobiety. Gdyby się tak miało stać, nie chciałabym dłużej żyć... Dlatego wzięłam tę truciznę”.

Hale znowu przerwał.

— Ostatecznie, to zupełnie

prawdopodobne — wtrącił Poirot.

— Być może, ale nie bardzo zgadza się z tym, co zeznawali świadkowie. Poza tym następnego dnia rozegrała się nowa scena. Filip Blake słyszał jedną część rozmowy, a panna Greer inną. Rozmowa toczyła się między państwem Crale'ami w bibliotece. Blake znajdował się wtedy w holu i słyszał kilka zdań, panna Greer zaś siedziała na tarasie pod otwartym oknem biblioteki i słyszała znacznie więcej.

— I cóż mówiono w bibliotece?

— Pan Blake słyszał, jak pani Crale mówiła: „Ty i twoje baby! Zamordowałabym cię. Przyjdzie taki

dzień, że to zrobię!”

— Żadnej wzmianki o samobójstwie?

— Absolutnie żadnej. Nic. Nic takiego w rodzaju, na przykład: „Jeżeli tak, to się zabiję”. Zeznania panny Greer były bardzo podobne. Według jej słów pan Crale powiedział: „Bądźże rozsądna, Karolino. Kocham cię i zawsze będę ci dobrze życzył. Tobie i dziecku. Ale ożenię się z Elzą. Umówiliśmy się przecież, że nie będziemy się nawzajem krępować”, na co pani Crale odpowiedziała: „Doskonale! Ale pamiętaj, że cię ostrzegłam!” On odpowiedział: „Co to znaczy?” A ona: „To znaczy, że cię kocham i nie chcę cię stracić. Prędzej

cię zabiję, niż pozwolę, żebyś odszedł do tej dziewczyny”.

Poirot poruszył się na krześle i rzekł;

— Wydaje mi się, że panna Greer bardzo niemądrze postąpiła, poruszając w ogóle tę sprawę. Pani Crale mogła przecież odmówić mężowi rozwodu.

— Co do tego również mieliśmy pewne wyjaśnienia — rzekł Hale. — Pani Crale zwierzała się panu Meredithowi Blake’owi, który był jej starym, wypróbowanym przyjacielem. Pełen rozterki odbył nawet na ten temat rozmowę z panem Crale’em. Działo się to poprzedniego popołudnia. Pan Blake usiłował w sposób delikatny przemówić



do sumienia przyjacielowi, podkreślił, że on osobiście będzie zrozpaczony, jeśli małżeństwo Crale'ów się rozbije. Podkreślił też, że panna Greer jest bardzo młoda, a stawanie przed sądem w sprawie rozwodowej może mieć dla tak młodej dziewczyny fatalne następstwa. Pan Crale odpowiedział ze śmiechem (musiał być z niego nie lada cynik): „Elza ani myśli stawać przed sądem. Nie będzie o tym wcale mowy. Załatwimy to w zwykły sposób”.

— W takim razie wybuch panny Greer świadczyłby o wielkiej nierozwadze — wtrącił Poirot.

— Pan wie, jakie są kobiety! — odrzekł inspektor. — Muszą skakać

sobie do oczu. Tak czy owak, sytuacja musiała być niełatwa. Dziwię się tylko, że pan Crale mógł do tego dopuścić. Jak twierdzi pan Meredith Blake, chodziło mu przede wszystkim o to, żeby skończyć portret. Czy pan z tego coś rozumie?

— Owszem, drogi panie, chyba tak.

— Bo ja nic! Ten człowiek po prostu sam ściągnął na siebie nieszczęście...

— Był pewnie bardzo zły na swoją młodą przyjaciółkę o scenę, którą zrobiła.

— O, tak. Meredith Blake mówił o tym. Jeżeli musiał skończyć ten portret,

to nie rozumiem, czemu nie zrobił po prostu kilku fotografii, mógłby przecież z nich malować dziewczynę. Znam jednego faceta, który maluje akwarelą różne widoczki. On zawsze tak robi.

— Nie. Rozumiem Crale'a jako artystę. Musi pan sobie uprzytomnić, drogi przyjacielu, że w owym czasie portret był dla Crale'a wszystkim — nic poza tym nie miało znaczenia. Choćby jak najprędzej chciał poślubić tę dziewczynę, obraz był na pierwszym miejscu. Dlatego też pragnął, aby podczas jej pobytu nie doszło do żadnych wyjaśnień na ten temat. Z dziewczyną, oczywiście, rzecz się miała inaczej. Kobiety zawsze stawiają miłość

na pierwszym miejscu.

— Któż tego nie wie! — westchnął inspektor Hale.

— Ale mężczyźni — ciągnął Poirot — a zwłaszcza artyści, to inna sprawa.

— Sztuka! — rzekł pogardliwie inspektor. — Cała ta gadanina o sztuce! Nigdy nie mogłem tego zrozumieć i chyba nigdy już nie zrozumiem! Trzeba było panu widzieć ten obraz. Wszystko na nim było brązowe, śnił mi się nawet. Co gorsza, odbiło się to na moim wzroku. Zdawało mi się, że wszystkie balustrady, ściany i tak dalej, są krzywe. I kobiety także.

Poirot uśmiechnął się.

— Składa pan nieświadomie hołd sztuce Amyasa Crale'a — powiedział.

— Co też pan mówił! Dlaczego malarz nie może malować czegoś, na co miło jest popatrzeć. Po co za wszelką cenę szukać brzydoty...

— Niektórzy z nas, *mon cher*, znajdują piękno w najdziwniejszych formach!

— Dziewczyna była bardzo ładna, ani słowa! — rzekł Hale. — Nie miała na sobie prawie nic prócz szminki. W ogóle sposób ubierania się dzisiejszych dziewcząt to szczyt nieprzyzwoitości. A

proszę pamiętać, że to wszystko było szesnaście lat temu, dzisiaj nikt już na to nie zwraca uwagi. Ale wtedy... no, przyznam się, że byłem zgorszony. Spodnie i jakaś koszulka z dużym wycięciem, a poza tym dosłownie nic!

— Pan, jak widzę, doskonale zapamiętał sobie te szczegóły — rzucił półgłosem Poirot. Inspektor Hale zaczerwienił się.

— Opisuję panu po prostu moje ówczesne wrażenia — rzekł surowo.

— Oczywiście, oczywiście — uspokoił go skwapliwie Poirot, po czym zapytał: — Więc głównymi świadkami oskarżenia w procesie pani Crale byli

Filip Blake i Elza Greer?

— Tak jest. Oboje byli bardzo wrogo do niej nastawieni. Ale prokurator powołał także na świadka guwernantkę i jej zeznania przeważały szalę. Guwernantka była całkowicie po stronie pani Crale, gotowa była bronić jej jak lwica. Ale jako osoba z gruntu uczciwa, zeznała tylko prawdę, nie starając się nic zniekształcić ani zatuszować.

— A Meredith Blake?

— Biedny pan Blake był niesłychanie przygnębiony tą całą historią, no, i nic dziwnego! Wyrzucał sobie manię zielarską, a sędzia również mu ją wytykał. Cykuta i sole AE notowane są

w cedule trucizn. Usłyszał kilka bardzo przykrych uwag. Był przyjacielem obu stron : wszystko to bardzo głęboko go dotknęło, pomijając już fakt, że jako spokojny i solidny ziemianin unikał rozgłosu i nie lubił, by nazwisko jego było na ustach wszystkich.

— A czy młodsza siostra pani Crale też zeznawała?

— Nie, to nie było potrzebne. Nie było jej przy tym, kiedy pani Crale groziła mężowi, i nie mogła nam opowiedzieć nic takiego, czego nie moglibyśmy się dowiedzieć od innych. Owszem, widziała, jak pani Crale wyjęła z lodówki butelkę piwa i, oczywiście, obrona mogłaby ją powołać



na świadka, że pani Crale zaniosiła butelkę prosto do ogrodu, nic przy niej nie manipulując. Ale to było niepotrzebne, bo w butelce nie znaleziono żadnych śladów cykuty.

— Ale jakim sposobem pani Crale udało się wlać truciznę do szklanki w obecności tamtych dwóch osób?

— Przede wszystkim te osoby wcale na nią nie zwracały uwagi. Innymi słowy: pan Crale malował, patrząc wyłącznie na płótno i na model. A panna Greer pozowała, odwrócona plecami do pani Crale i wpatrywała się w jakiś punkt powyżej ramienia Crale'a.

Poirot skinął głową na znak, że

rozumie.

— Jak powiadam, żadne z nich nie patrzyło na panią Crale. Miała truciznę w takiej pipetce, wie pan, jakich się dawniej używało do napełniania wiecznych piór. Znaleźliśmy ją potłuczoną na dróżce prowadzącej do domu.

— Pan ma na wszystko odpowiedź — mruknął Poirot.

— Ależ, panie Poirot! Bądźmy bezstronni! Pani Crale grozi mężowi, że go zabije. Kradnie truciznę z laboratorium. Pusta buteleczka zostaje znaleziona w jej pokoju i nie ma na niej innych odcisków palców prócz jej

własnych. Rozmyślnie zanosি mężowi mrożone piwo do ogrodu, co jest dziwne, jeżeli się zważy, że właściwie ze sobą nie rozmawiali.

— Bardzo ciekawa okoliczność. Zwróciłem już na nią uwagę.

— Otóż właśnie. Tym się zdradziła. Czemu zrobiła się nagle taka uprzejma? Crale skarży się na dziwny smak piwa, a cykuta ma przykry smak. Pani Crale urządza wszystko tak, że to ona sama znajduje zwłoki i wysyła guwernantkę do telefonu. Po co? Po to, żeby móc wytrzeć szklanekę i butelkę, a potem odcisnąć na nich palce męża. Potem już śmiało może powiedzieć, że mąż popełnił samobójstwo pod wpływem

wyrzutów sumienia. Historyjka jej zdaniem zupełnie wiarygodna.

— Tak, nie było to zbyt mądrze pomyślane.

— Istotnie. Moim zdaniem ona w ogóle nie myślała. Nienawiść i zazdrość wszystko jej przesłoniły. Myślała tylko o tym, żeby go zabić. A potem, kiedy już było po wszystkim, kiedy zobaczyła, że mąż nie żyje, przypuszczalnie oprzytomniała nagle, zdała sobie sprawę, że popełniła zbrodnię i że za zbrodnię grozi kara śmierci... I w rozpaczy chwyciła się jedynego wytłumaczenia, jakie jej przyszło do głowy — samobójstwa.

— Wszystko, co pan mówi, jest bardzo logiczne, niewątpliwie logiczne — rzekł Poirot. — Istotnie, mogła tak rozumować.

— Z jednej strony można by to nazwać zabójstwem z premedytacją, z drugiej jednak nie — powiedział Hale. — Mnie osobiście się zdaje, że nie obmyśliła sobie tego wcześniej, a po prostu pchnęła ją do tego jakaś ślepa siła.

— Ciekawe... — szepnął Poirot.

Hale spojrział na niego badawczo.

— Czy udało mi się pana przekonać, panie Poirot, że to była zupełnie jasna

sprawa? — zapytał.

— Prawie. Chociaż może nie na sto procent. Jest tu kilka bardzo dziwnych punktów...

— Czy może pan podać jakieś inne rozwiązanie, które dałoby się udowodnić?

Zamiast odpowiedzi Poirot spytał:

— A co robiły tego dnia wszystkie inne zamieszane w sprawę osoby?

— Zapewniam pana, że zbadaliśmy wszystko. Nie darowaliśmy nikomu. Żadna z osób zainteresowanych nie posiadała alibi w pełnym tego słowa

znaczeniu, bo zawsze o nie trudno w wypadku otrucia. Morderca może przecież dzień przedtem dać ofierze truciznę w jakiejś kapsułce, powiedzieć, że to jest środek na niestrawność i że trzeba go zażyć przed obiadem, a potem wyjeżdża na drugi koniec Anglii.

— Ale pan nie przypuszcza, że w tym wypadku tak było?

— Pan Crale nie cierpiał na niestrawność. A w każdym razie nie widzę tu podobnej możliwości. Co prawda, pan Meredith Blake gorąco zalecał wszystkim napary swej fabrykacji, ale nie przypuszczam, żeby pan Crale dat się na nie namówić. Gdyby nawet tak było, to z pewnością

dużo by na ten temat mówił i dowcipkował. A poza tym, dlaczego pan Blake miałby zabić pana Crale'a? Wszystko przemawia za tym, że byli ze sobą w jak najlepszych stosunkach, jak zresztą wszyscy inni. Pan Filip Blake był przecież jego najlepszym przyjacielem. Panna Greer kochała się w nim, panna Williams zapewne potępiała jego postępowanie, ale potępienie moralne nie prowadzi jeszcze do trucia. Mała panna Warren często się z nim kłóciła, była w trudnym wieku, zdaje się, że miała tego roku wstąpić do szkoły, ale on ją bardzo lubił, a i ona jego także. Ponadto w domu Crale'ów otaczano ją specjalną troskliwością i miłością. Słyszał pan może z jakiego



powodu? Kiedy była mała, pani Crale okaleczyła ją w napadzie furii. To także dowodzi, jak bardzo nieopanowaną osobą była pani Crale, prawda? Rzucić się na dziecko i oszpecić je na całe życie!

— Może to też dowodzić — rzekł Poirot zamyślony — że Angela Warren mogła żywić głęboką i uzasadnioną urazę do Karoliny Crale.

— Owszem, ale nie do Amyasa Crale'a. Pani Crale zresztą była niezmiernie oddana swej młodszej siostrze. Po śmierci rodziców wzięła ją do siebie i, jak powiadam, traktowała ją bardzo serdecznie, podobno ją nawet okropnie rozpieszczała. Dziewczynka

była niezmiernie przywiązana do siostry. Trzymano ją z dala od całego procesu i starano się jak najbardziej oszczędzić jej uczucia i właśnie pani Crale najbardziej na to nalegała. Ale dziewczynka była bardzo przygnębiona i błagała, żeby jej pozwolono odwiedzić siostrę w więzieniu. Karolina jednak nie chciała się na to zgodzić. Twierdziła, że to mogłoby zostawić dziewczynce uraz na całe życie. Postarała się, żeby Angelę wysłano do szkoły za granicę. — Hale zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Panna Warren wyrosła na bardzo wybitną osobę. Podróżniczka i badaczka. Odczyty w Królewskiej Akademii Geograficznej i tak dalej.

— I nikt jej nie wypomina procesu siostry?

— No, po pierwsze Angela nosi inne nazwisko. Nawet panieńskie nazwiska miały różne. Były z jednej matki, ale z różnych ojców. Pani Crale była z domu Spalding.

— Czy ta panna Williams była guwernantką córki Crale'ów czy tylko Angeli Warren?

— Angeli. Dziecko miało bonę, ale zdaje się, że panna Williams miała z nią codziennie jakieś lekcje.

— A gdzie było wtedy dziecko?

— Pojechała z boną do niejakiej lady Tressillian. To była wdowa, która straciła dwie córeczki i była bardzo przywiązana do małej.

— Rozumiem — wtrącił Poirot. Hale zaś mówił dalej:

— Jeżeli idzie o to, co robiły inne osoby w dniu zabójstwa, to mogę to panu dokładnie podać. Panna Greer po śniadaniu siedziała na tarasie w pobliżu okna biblioteki. I wtedy właśnie, jak już panu mówiłem, słyszała kłótnię państwa Crale'ów. Następnie poszła razem z Crale'em do ogrodu, gdzie mu pozowała aż do lunchu, z krótkimi tylko przerwami dla rozprostowania mięśni.

Filip Blake został po śniadaniu w domu i też słyszał urywki kłótni. Po odejściu Crale'a z panną Greer czytał gazetę aż do chwili, kiedy brat do niego zatelefonował. Po tym telefonie poszedł na plażę na spotkanie brata. Później szli razem ścieżką wiodącą obok ogródka. Panna Greer szła właśnie tamtędy do domu po sweter, bo zrobiło się jej chłodno, a pani Crale była z mężem i rozmawiali o wyjeździe Angeli do szkoły.

— O, zapewne już się pogodzili.

— No nie, bynajmniej. Crale podobno krzyczał wprost na nią. Był zły, że zawraca mu głowę domowymi sprawami. Mam wrażenie, że Karolina

chciała omówić wszystko na wypadek rozwodu.

Poirot skinął potakująco głową.

Hale ciągnął dalej:

— Bracia zamienili kilka słów z Amyasem. Potem wróciła panna Greer i usiadła do pozowania, a Crale wziął pędzle do ręki, chcąc się najwidoczniej pozbyć braci Blake'ów. Zrozumieli to i odeszli w stronę domu. Ale, ale! Właśnie podczas ich bytności w ogrodzie Amyas powiedział, że piwo w altanie jest ciepłe i żona obiecała przysłać mu z lodówki zimne.

— Aha!

— Właśnie: aha! Zrobiła się nagle słodka jak miód. Bracia poszli do domu i usiedli na tarasie. Pani Crale i Angela Warren przyniosły im tam piwa. Później Angela poszła się kąpać, a Filip Blake udał się razem z nią.

Meredith Blake poszedł na polankę znajdującą się tuż nad ogródkiem. Usiadł tam na ławce i widział stąd siedzącą na balustradzie pannę Greer, i słyszał jej głos i głos Crale'a. Cały czas zastanawiał się nad sprawą cykuty. Wciąż był niespokojny i nie wiedział, co właściwie ma robić. Elza Greer dostrzegła go i skinęła mu ręką. Kiedy uderzył gong na lunch, Meredith Blake zszedł do ogrodu i razem z Elzą wrócił

do domu. Zauważył wtedy, że Crale wygląda jakoś dziwnie, nie przywiązywał jednak do tego większej wagi. Crale nigdy na nic nie chorował, nikt więc nie mógł sobie wyobrazić, że to możliwe. Z drugiej zaś strony miewał napady furii lub depresji, kiedy praca mu nie szła tak, jak by chciał. W takich razach pozostawiano go samemu sobie, starano się jak najmniej z nim rozmawiać i tak właśnie postąpili Meredith Blake i Elza.

Jeżeli chodzi o innych, to służba zajęta była pracą domową i przygotowywaniem lunchu. Panna Williams część przedpołudnia spędziła w pokoju szkolnym na poprawianiu



zeszytów. Potem wyszła na taras z jakąś robótką. Angela Warren prawie całe przedpołudnie spędziła w ogrodzie. Wdrapywała się na drzewa, coś tam zajadała — jak to piętnastoletni podłotek. Śliwki, kwasie jabłka, twarde gruszki i tym podobne paskudztwa. W końcu wróciła do domu i, jak wspomniałem, poszła w towarzystwie Filipa Blake'a na plażę, żeby się wykapać przed lunchem.

Inspektor Hale zamilkł na moment.

— Cóż — rzucił po chwili zaczepnie — czy widzi pan w tym coś podejrzanego?

— Absolutnie nic — odpowiedział

Poirot.

— No, proszę!

W tych dwu słowach zawarta była treść całych tomów.

— Mimo to jednak — powiedział Poirot — muszę się sam upewnić. Chcę...

— Co zamierza pan zrobić?

— Odwiedzę tę całą piątkę i posłucham, co każda z zainteresowanych osób mi powie.

Inspektor westchnął melancholijnie i rzekł:

— Człowieku, pan ma bzika! Żadne z tych opowiadań nie będzie się zgadzało z innymi. Czy nie może pan pojąć tego elementarnego faktu? Nie ma dwóch osób, które by w identyczny sposób pamiętały jakieś zdarzenie. A w dodatku po tylu latach! Ależ usłyszysz pan pięć różnych opowiadań o pięciu różnych morderstwach!

— Właśnie na to liczę — odpowiedział Poirot. — Będzie to dla mnie niezmiernie wymowne.

# Rozdział szósty

## Jedna świnka na targ biegała...

Filipa Blake'a łatwo można było poznać z opisu mecenasa Montague'a Depleacha. Zamożny, sprytny, jowialny mężczyzna z lekką skłonnością do tycia.

Herkules Poirot umówił się z nim na godzinę szóstą trzydzieści w sobotę. Filip Blake właśnie skończył partię golfa, wygrywając od partnera pięć funtów szterlingów. Był więc

usposobiony przyjaźnie do świata.

Herkules Poirot objaśnił mu pokrótce cel swej wizyty. Nie zdradzał tym razem zbytniego zamiłowania do prawdy. Oświadczył panu Blake'owi, że zamierza napisać cykl książek o głośnych procesach.

Filip Blake zmarszczył brwi i rzekł:

— Wielki Boże, po co się w tym grzebać?

Herkules Poirot wzruszył ramionami. Przybrał dziś swój najbardziej kontynentalny sposób bycia. Chodziło mu o to, aby rozmówca traktował go z pewnym lekceważeniem, ale zarazem z

pobłażliwością.

— Publiczność tego żąda. Rozumie pan... publiczność. Połyka po prostu tego rodzaju rzeczy.

— Hieny — rzekł Filip Blake.

Powiedział to jednak z humorem, nie z niesmakiem i obrzydzeniem, które okazałby ktoś bardziej wrażliwy. Herkules Poirot odpowiedział, wzruszając ramionami:

— Taka już jest natura ludzka. Pan i ja, na przykład, jako ludzie znający świat, nie żywimy złudzeń co do naszych bliźnich. Większość z nich to nieźli ludzie, ale na pewno nie trzeba ich

idealizować.

— Dawno już straciłem złudzenia — odparł rubasznie Blake.

— Ale za to, jak słyszałem, potrafi pan świetnie opowiadać anegdoty.

— O! — Oczy Blake'a zamigotały. — Czy to pan zna?

Poirot roześmiał się w odpowiednim miejscu. Anegdota była niezbyt budująca, ale zabawna.

Filip Blake rozparł się wygodnie w fotelu, a oczy jego zwęziły się z ukontentowaniem. Herkules Poirot pomyślał raptem, że Blake wygląda

teraz zupełnie jak zadowolona świnka.

Świnka. *Jedna Świnka na targ  
biegała...*

Co to za człowiek ten Filip Blake? Zdawałoby się, że nie ma żadnych trosk. Zamożny, zadowolony, żadnych wyrzutów sumienia, niepotrzebnych reminiscencji z przeszłości, których by żałował, żadnych przykrych wspomnień. Nie, nic podobnego. Dobrze wypasiona świnka, która poszła na targ i osiągnęła doskonałą cenę...

Ale niegdyś może Filip Blake był czymś więcej? Musiał być w młodości bardzo przystojny. Może oczy trochę za małe i za blisko osadzone — ale poza



tym to był na pewno dobrze zbudowany, przystojny młodzieniec. Ile może mieć teraz lat? Na oko wyglądał na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu. Więc w chwili śmierci Crale'a miał pod czterdziestkę. Musiał być wtedy poważniejszy, mniej pochłaniało go zaspokajanie doraźnych zachcianek. Może więcej wymagał od życia, a otrzymywał mniej...

— Rozumie pan moje położenie, prawda? — rzucił Poirot.

— Nie, przyznaję, że absolutnie nie rozumiem! — Makler wyprostował się w fotelu, spojrzenie jego stało się znów bystre i przebiegłe. — Dlaczego właśnie pan? Przecież pan nie jest literatem?

— Ściśle biorąc — nie. Jestem detektywem.

Poirot nigdy w życiu jeszcze nie wypowiedział chyba tych słów z większą skromnością.

— Oczywiście, oczywiście, wszyscy o tym wiemy. Słynny Herkules Poirot.

W głosie Blake'a brzmiała jednak leciutka drwina. Filip Blake był Anglikiem do szpiku kości, nie mógł brać na serio jakiegoś tam cudzoziemca. Do swoich kompanów powiedziałby o nim: „Nieszkodliwy kabotyn. Cóż, kobiety dają się pewnie nabierać na jego pretensjonalne miny”.

I chociaż Poirotowi chodziło właśnie o to, aby Blake przybrał w stosunku do niego tę ironiczno–protekcijną postawę, poczuł teraz, że go to jednak irytuje. Ten człowiek, ten syty biznesmen, nic sobie nie robił z Poirota! To skandal!

— Pochlebia mi to ogromnie — powiedział nieszczerze — że tak mnie pan dobrze zna. Proszę mi wierzyć, że sukcesy, które udało mi się odnosić w życiu, polegały przede wszystkim na znajomości odwiecznych psychologicznych pobudek ludzkiego postępowania. I od tej strony zabójstwa interesują dzisiaj świat. Dawniej zbrodnię otaczała raczej atmosfera romantyzmu. Słynne morderstwa

ujmowano pod jednym tylko kątem, a mianowicie związanej z nimi historii miłosnej. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Ludzie z zainteresowaniem czytają, że doktor Crippen dlatego zamordował żonę, że była duża, tęgą kobietą, gdy tymczasem on był mały i niepozorny, co wytworzyło w nim kompleks niższości. Czytają o jakiejś innej słynnej zbrodniarce, że zabiła, bo ojciec ostro się do niej odezwał, kiedy miała trzy lata. Jak powiadam, dzisiaj interesują nas pobudki zbrodni.

Filip Blake odpowiedział z lekkim ziewnięciem:

— Moim zdaniem pobudki zbrodni w większości wypadków są oczywiste.

Zwykle chodzi o pieniądze.

— Ależ, drogi panie, pobudki nigdy nie powinny być oczywiste. W tym sedno! — wykrzyknął Poirot.

— I tu właśnie zaczyna się pańska rola?

— I tu właśnie, jak pan powiada, zaczyna się moja rola! Zaproponowano mi, żebym opisał na nowo pewne dawne sprawy kryminalne pod kątem psychologii. A psychologia zbrodniarzy to moja specjalność. Przyjąłem więc propozycję.

Filip Blake roześmiał się.

— Przypuszczam, że to rzecz bardzo lukratywna? — spytał.

— Tuszę, że tak... oczywiście.

— Gratuluję! A teraz może zechce mi pan powiedzieć, co to ma wspólnego ze mną?

— Ależ oczywiście. Chodzi o sprawę Karoliny Crale.

Filip Blake nie zdradził zdziwienia. Zamyślił się tylko.

— Tak, naturalnie, sprawa Karoliny Crale... — powiedział wreszcie.

— Mam nadzieję, że rozmowa na ten

temat nie sprawia panu przykrości? — zapytał szybko Poirot.

— Ach, jeżeli o to chodzi... — Filip Blake wzruszył ramionami. — Nie warto złościć się o coś, jeżeli się nie może temu przeszkodzić. Sprawa Karoliny Crale jest publiczną własnością. Każdemu wolno o niej pisać. Mój sprzeciw na nic się nie zda. Mimo to jednak muszę się panu przyznać, że myśl ta jest dla mnie bardzo przykra. Amyas Crale był jednym z moich najlepszych przyjaciół. Bardzo mi nieprzyjemnie, że całą tę obrzydliwą sprawę będzie się znów rozgrzebywać. Ale trudno, to się zdarza, trudno!

— Jest pan filozofem.

— Nie, nic podobnego. Po prostu jestem zbyt doświadczony, żebym miał bić głową o mur. Przypuszczam, że pan zrobi to dyskretniej od wielu innych.

— W każdym razie będę się starał opisać to wszystko subtelnie i z dużym umiarem — rzekł Poirot.

Filip Blake roześmiał się głośno, ale śmiech ten nie był wcale wesoły.

— Nie mogę się powstrzymać od śmiechu, kiedy mówi pan takie rzeczy.

— Zapewniam pana, że sprawa ta mnie naprawdę interesuje. Nie jest to dla mnie zagadnienie czysto materialne.



Pragnę rzeczywiście zrekonstruować przeszłość, odczuć i zobaczyć tamte wydarzenia, zajrzeć poza oczywiste fakty, za kulisy i wyobrazić sobie myśli i uczucia osób działających.

— Wątpię, czy znajdzie pan jakieś ukryte tajemnice — odpowiedział Blake. — Wszystko było najzupełniej jasne i oczywiste. Żywiołowa, kobieca zazdrość — oto wszystko!

— Ciekaw byłbym niezmiernie, panie Blake, pańskich ówczesnych reakcji na tę sprawę.

Twarz Blake'a pociemniała.

— Reakcje! Reakcje! — zawołał z

nagłym uniesieniem. — Niech pan nie używa takich pedantycznych zwrotów! Myśli pan, że po prostu stałem i reagowałem! Pan widocznie nie rozumie, że mojego przyjaciela, powtarzam panu, mojego przyjaciela zamordowano, otruto! I gdybym działał szybciej, mógłbym go uratować!

— W jaki sposób, proszę pana?

— Zaraz panu powiem. Przypuszczam, że zna pan zasadnicze fakty, że czytał pan o nich.

Poirot skinął potakująco.

— Doskonale. A więc pewnego ranka zatelefonował do mnie mój brat

Meredith. Był okropnie wzburzony. Zauważył brak jednego ze swoich piekielnych wywarów, a w dodatku ten wywar to była śmiertelna trucizna. Co zrobiłem? Powiedziałem, żeby do mnie przyszedł, to porozmawiamy i zdecydujemy razem, co należy zrobić. „Zdecydujemy, co zrobić!” Nie mogę teraz wprost zrozumieć, jak mogłem być takim osłem! Powinienem był się od razu zorientować, że nie ma chwili do stracenia. Powinienem był natychmiast pójść do Amyasa i ostrzec go. Powinienem był powiedzieć mu tak: „Karolina buchnęła jeden z trujących ekstraktów Mereditha — ty i Elza musicie się mieć na baczności”. — Blake wstał i zaczął nerwowo chodzić

po pokoju. — Człowieku! Sądzi pan, że w myślach nie wracałem do tego bez końca? Bo przecież wiedziałem. Mogłem go uratować, a tymczasem zwlekałem, czekając na Meredith! Dlaczego nie miałem dość rozsądku, żeby rozumieć, że Karolina nie będzie miała żadnych skrupułów i nie będzie się wahać. Wzięła tę truciznę po to, żeby jej użyć, i to przy pierwszej sposobności. Nie będzie czekać, aż Meredith spostrzeże kradzież. Doskonale wiedziałem, wiedziałem z całą pewnością, że Amyasowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. I nie zrobiłem nic, żeby go ratować!

— Mam wrażenie, że pan sobie

nieśluszenie robi wyrzuty, proszę pana. Nie miał pan przecież tak wiele czasu.

Blake przerwał mu:

— Czasu? Miałem mnóstwo czasu!... I miałem mnóstwo możliwości. Mogłem ostrzec Amyasa, jak już wspomniałem, ale istniało pewne ryzyko, że mi nie uwierzy. Nie należał do ludzi, którzy wierzą, że grozi im niebezpieczeństwo. Wyśmiałyby mnie tylko. I w gruncie rzeczy Amyas nie zdawał sobie sprawy, jaka diaboliczna była z Karoliny! Ale mogłem przecież pójść do niej. Mogłem powiedzieć: „Wiem, co knujesz. Znam twoje plany. Ale jeżeli Amyas albo Elza umrą otruci cykutą, to ciebie powieszają!” To by ją powstrzymało. Wreszcie

mogłem się zwrócić do policji! Och! Ile rzeczy można było zrobić — a zamiast tego dałem się zasugerować powolnymi, ostrożnymi metodami Mereditha... „musimy się upewnić... musimy to omówić, stwierdzić z całą pewnością, kto to mógł zrobić” — i tym podobne brednie! Niech go licho! Stary dureń. Nigdy w życiu nie powziął szybkiej decyzji. Szczęśliwie się dla niego złożyło, że jako najstarszy syn odziedziczył majątek i mógł mieszkać na wsi. Gdyby spróbował kiedykolwiek dorobić się pieniędzy, straciłby wszystko co do grosza!

— A pan osobiście nie miał najmniejszej wątpliwości, kto skradł

truciznę? — spytał Poirot.

— Oczywiście, że nie! Wiedziałem od razu, że to Karolina. Widzi pan, znałem ją bardzo dobrze.

— To bardzo ciekawe. Chciałbym się właśnie dowiedzieć, co to była za osoba.

Filip Blake odrzekł ostro:

— W każdym razie nie była skrzywdzonym niewiniątkiem, jakim wydawała się publiczności podczas procesu!

— Więc jaka właściwie była?

Blake usiadł znowu.

— Naprawdę chciałby pan wiedzieć?

— zapytał poważnym tonem.

— Bardzo bym chciał.

— A więc Karolina była istotą na wskroś zdeprawowaną. Musi pan jednak pamiętać, że miała wiele uroku. Miała tę słodycz obojętności, która wprowadza ludzi w błąd. Sprawiała wrażenie kobiety kruchej i bezbronnej, budziła w mężczyznach rycerskie uczucia. Czasem, kiedy czytam historyczne książki, wyobrażam sobie, że taka właśnie musiała być Maria Stuart. Zawsze pełna słodyczy. nieszczęśliwa, obdarzona nieodpartym urokiem, i w gruncie rzeczy



zimna, wyrachowana intrygantka, która na chłodno uplanowała zabójstwo Darnleya i której uszło to bezkarnie. Karolina była taka sama — zimna i wyrachowana. Miała przy tym usposobienie piekielnicy.

Nie wiem, czy słyszał pan o tym, bo to nie było istotne dla procesu, ale charakterystyczne dla niej, co zrobiła kiedyś swojej małej siostrze? Zawsze była z niej zazdrośnica. Matka jej wyszła po raz drugi za mąż i całą miłość i troskę przelała na młodszą córkę, Angelę. Karolina nie mogła tego znieść. Usiłowała pewnego razu zabić dziecko żelaznym drążkiem, rozbić mu po prostu głowę. Na szczęście cios nie był

śmiertelny. Ale co to za potworność!

— Tak, to prawda.

— Otóż taka była Karolina naprawdę. Zawsze musiała być pierwsza, nie mogła wprost znieść myśli, żeby ktoś mógł być przed nią. A poza tym drzemał w niej zimny, egoistyczny demon, który, rozbudzony, mógł ją popchnąć aż do morderstwa. Sprawiała wrażenie osoby impulsywnej, w rzeczywistości jednak była zimna i wyrachowana. Jeszcze jako panna, odwiedzając Alderbury, rozważyła możliwości każdego z nas i ułożyła plan działania. Nie posiadała żadnego własnego majątku. Ja nie wchodziłem nigdy w grę — jako młodszy syn musiałem sam przebijać się

przez życie. Śmieszne, gdy pomyślę, że dziś mógłbym kupić i Mereditha, i Crale'a, gdyby żył! Przez pewien czas zastanawiała się nad Meredithem, ale w końcu wybrała Amyasa. Amyas miał odziedziczyć Alderbury, a chociaż posiadłość ta nie przynosiła wielkich dochodów, Karolina orientowała się, że jego talent malarski jest czymś zgołą rewelacyjnym. Postawiła więc na niego, licząc, że talent ten przyniesie też znaczne powodzenie materialne. Wygrała. Amyas dość szybko zyskał powszechne uznanie. Nie był tak zwanym „modnym” malarzem, ale uznano jego geniusz, a jego obrazy cieszyły się wielkim popytem. Czy pan widział jakieś jego płótna? Mam tutaj

jedno, proszę zobaczyć.

Poprowadził Poirota do jadalni i wskazał na ścianę po lewej stronie.

— Proszę, to jest Amyas.

Poirot przyglądał się obrazowi w milczeniu. Poczł na nowo zdumienie i podziw, że ktoś mógł do tego stopnia nasycić obiekt najzupełniej konwencjonalny czarem własnej osobowości. Wazon z różami na politurowanym mahoniowym stole. Oklepany temat, stary jak świat. W jaki więc sposób Amyas sprawił, że jego róże płonęły tak bujnym, wyuzdanym niemal życiem? Politurowany blat stołu drżał, odbijając to życie. Jak

wytłumaczyć sobie niepokój, który budził ten obraz? Bo był niewątpliwie niepokojący. Proporcje stołu wzburzyłyby z pewnością inspektora Hale'a, narzekałby też, że nigdy w życiu nie widział róż takiego kształtu i koloru. A potem przez długi czas dziwiłby się, czemu nie podobają mu się róże, które widzi w ogrodach, a okrągłe mahoniowe stoły irytowałyby go z niewiadomego powodu.

Poirot westchnął i powiedział półgłosem:

— Tak, tu jest wszystko.

Blake zaprowadził gościa z powrotem do gabinetu.

— Nigdy się nie znałem na sztuce — mruknął. — Nie wiem, czemu tak lubię patrzeć na ten obraz, ale lubię. On jest — tam do licha! — on jest dobry!

Poirot energicznie skinął głową.

Blake poczęstował gościa papierosem i sam też zapalił.

— I ten człowiek — powiedział Blake — który namalował te róże, który namalował *Kobietę z cocktailem* .. zadziwiająca, bolesne *Narodziny*, ten człowiek zginął w rozkwicie bujnego twórczego życia z ręki mściwej, podłej kobiety...! Może pan pomyśli, że jestem zgorzkniały albo uprzedzony do Karoliny — ciągnął dalej. — Karolina

miała bez wątpienia wiele uroku. Sam mu uległem. Ale wiedziałem zawsze, od samego początku, co kryje się za tymi pozorami. To była zła kobieta, panie Poirot. Okrutna, złośliwa i zaborcza!

— A jednak mówiono mi, że pani Crale doznała wiele goryczy w pożyciu małżeńskim.

— Owszem, ale też opowiadała o tym na prawo i na lewo! Wiecznie ta poza męczennicy! Biedny Amyas! Pożycie małżeńskie było dla niego nieustannym piekłem, a raczej stałoby się piekłem, gdyby nie był człowiekiem wyjątkowym. Widzi pan, zawsze miał swoją sztukę! Ona była jego ucieczką. Kiedy malował, nic go nie obchodziło, zapominał o

Karolinie, o tych bezustannych awanturach i kłótniach. Bo nigdy tydzień nawet nie minął bez jakiejś straszliwej awantury o to lub owo. Karolina wyżywała się w tym, kłótnie były dla niej jakby środkiem podniecającym. Stanowiły ujście dla jej temperamentu. Potrafiła nagadać najgorszych, najboleśniejszych rzeczy, a potem mruzczała z zadowolenia jak kotka. Ale jego to kosztowało dużo zdrowia. Pragnął spokoju, zacisznego, pogodnego życia. Inna rzecz, że człowiek jego pokroju nie powinien się w ogóle żenić. Amyas nie był stworzony do małżeństwa. Człowiek tego pokroju może mieć romanse, ale nie wolno mu się z nikim wiązać. Wszelkie więzy



muszą go krępować i ciążyć mu.

— Czy zwierzał się panu z tego?

— Hm... Wiedział, że jestem mu bardzo oddany. Dawał mi czasem coś niecoś do zrozumienia, choć nigdy się nie skarżył, to nie leżało w jego charakterze. Powiadał tylko niekiedy: „Niech diabli porwą wszystkie baby!” Albo: „Nigdy się nie żęń, mój stary! Zdążysz zakosztować piekła na tamtym świecie”.

— A czy wiedział pan o jego romansie z panną Greer?

— O, tak, a w każdym razie domyślałem się tego. Amyas opowiadał

mi, że poznał cudowną dziewczynę. Nigdy jeszcze takiej nie spotkał. Nie zwróciłem na to wtedy specjalnej uwagi. Amyas wciąż spotykał jakieś kobiety „zupełnie niepodobne do innych”. Zazwyczaj już po miesiącu, gdyby pan o takiej kobiecie wspomniał, spojrzalby na pana ze zdumieniem i nie miałby pojęcia, o kim pan mówi. Ale Elza Greer rzeczywiście była inna: zrozumiałem to, kiedy przyjechałem z wizytą do Alderbury. Wzięła go, proszę pana, i trzymała mocno w garści. Jadł jej po prostu z ręki jak baranek.

— Więc Elza Greer też się panu nie podobała?

— Tak jest. Nie podobała mi się.

Była zbyt zaborcza. Ona też chciała posiadać Crale'a z duszą i ciałem. Ale mimo wszystko byłaby chyba odpowiedniejszą żoną dla Amyasa niż Karolina. Gdyby już go była pewna, być może dałaby mu większą swobodę. Albo też znudziłby się jej może i porzuciłaby go dla kogo innego. A dla Amyasa byłoby najlepiej, gdyby w ogóle uwolnił się od kobiet!

— Ale on, zdaje się, wcale tego nie chciał?

Filip Blake odpowiedział z westchnieniem:

— Niestety, ten głupiec zawsze wikłał się w jakieś afery miłosne. A jednak w

gruncie rzeczy kobiety nie miały dla niego wielkiego znaczenia. Tylko dwie kobiety wywarły jakiś wpływ na jego życie: Karolina i Elza.

— A czy kochał dziecko? — spytał Poirot.

— Angelę? O, wszyscyśmy bardzo lubili Angelę. Taka była żywa i wesoła! Zawsze gotowa do figłów. Co za urwanie głowy miała z nią ta nieszczęsna guwernantka! Owszem, Amyas bardzo lubił Angelę, ale mała czasem posuwała się za daleko i Amyas bywał zły. Lecz wtedy wkraczała Karolina. Zawsze brała stronę Angeli i to doprowadzało Amyasa do furii. Nie znosił, kiedy Karolina sprzymierzała się

z Angełą przeciwko niemu. Pewną rolę odgrywała tu wzajemna zazdrość. Amyas był zazdrosny o to, że Karolina zawsze stawiała Angełę na pierwszym miejscu i gotowa była zrobić dla niej wszystko. Angela znów była zazdrosna o Amyasa i buntowała się przeciwko jego apodyktycznym tonom. To on zdecydował, że Angela ma pojechać na jesieni do szkoły i dziewczynka była o to wściekła. Nie chodziło jej, jak sądzę, o sam fakt wyjazdu do szkoły, bo miała nawet na to ochotę, ale wściekał ją despotyczny sposób, w jaki Amyas rozstrzygnął sprawę. Przez zemstę płatała mu wciąż złośliwe figle. Pamiętam, że raz włożyła mu do łóżka dziesięć ślimaków. Na ogół biorąc,

musiałem przyznać Amyasowi rację. Czas już był, żeby ją wzięto w karby. Panna Williams była doskonałą guwernantką, ale nawet ona przyznawała się czasem, że nie może sobie z Angelą poradzić.

Blake umilkł. Korzystając z tej przerwy, Poirot rzekł:

— Pytając, czy Amyas kochał dziecko, miałem na myśli jego własne dziecko, jego córkę.

— Ach, mówi pan o małej Karolinie? ... O, tak! To była ulubienica wszystkich. Amyas chętnie się z nią bawił, kiedy był w dobrym humorze. Ale jeżeli pan sądzi, że miłość do małej

mogłaby go odwieść od poślubienia Elzy, to się pan grubo myli. Nie kochał jej aż tak bardzo.

— A czy Karolina Crale bardzo kochała córeczkę?

Po twarzy Filipa przebiegi skurcz.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że była złą matką — odparł. — Nie, stanowczo nie mogę tego powiedzieć. I to jedyne...

— Tak? Słucham pana, panie Blake?

Filip Blake dokończył powoli i jakby z bólem:

— To jedyne, co mnie naprawdę martwi w tej całej sprawie: myśl o tym dziecku. Jaki tragiczny cień padł na jej dzieciństwo! Wysłano ją za granicę do zameżnej kuzynki Amyasa. Mam nadzieję, szczerze mam nadzieję, że ci krewni zdołali ukryć prawdę przed małą.

Poirot potrząsnął głową.

— Prawda, drogi panie Blake — powiedział — ma tę właściwość, że wypływa na wierzch. Nawet po wielu latach.

— Nie jestem tego pewien — mruknął makler.



Poirot mówił dalej:

— I właśnie w imię prawdy chcę pana o coś prosić.

— O co?

— Chciałbym pana prosić, żeby pan zechciał opisać dokładnie wszystko, co zaszło w owych dniach w Alderbury. To znaczy chciałbym, żeby opisał mi pan to zabójstwo i towarzyszące mu okoliczności.

— Ależ, drogi panie! Po tylu latach? To będzie okropnie nieścisle.

— Niekoniecznie.

— Ależ z pewnością!

— Nie, bo przede wszystkim z upływem lat pamięć zachowuje sprawy zasadnicze, odrzucając nieistotne szczegóły.

— Chodzi panu tylko o ogólny szkic?

— Bynajmniej. Chodzi mi o dokładny opis każdego wydarzenia i każdej rozmowy, jakie pan pamięta.

— A jeżeli pamiętam je błędnie?

— Może pan w każdym razie przytoczyć to, co i jak pan sobie przypomina. Oczywiście będą pewne luki, ale na to nie ma rady.

Blake spojrział na gościa z zaciekawieniem.

— Ale po co to wszystko? Akta śledztwa odtworzą panu wszystko znacznie dokładniej.

— Nie, panie Blake. Rozpatrujemy teraz sprawę pod kątem psychologii. Nie chodzi mi o nagie fakty. Chodzi mi o wybór faktów dokonany przez pana. O tym wyborze zadecyduje czas i pańska pamięć. Mogą się tam znaleźć jakieś drobne wydarzenia, jakieś słowa, których na próżno bym szukał w aktach śledztwa. Jakieś fakty i słowa, o których pan nigdy przedtem nie wspominał, uważając je, być może, za nieważne albo dlatego, że wołał pan o nich nie

mówić.

— Czy to moje sprawozdanie będzie opublikowane? — spytał ostro Blake.

— Nie, z całą pewnością. Jest wyłącznie do mojej wiadomości. Dopomoże mi wysnuć ze sprawy własne wnioski.

— I bez mojej zgody nie opublikuje pan nawet fragmentów?

— Przyrzekam to panu.

— Hm... — rzekł Blake — widzi pan, panie Poirot, jestem człowiekiem bardzo zajęтым.

— Rozumiem, że narażam pana na fatygę i stratę czasu. Będę szczęśliwy, jeśli ustalimy za to honorarium... oczywiście w granicach rozsądku.

Nastąpiła chwila milczenia. Potem Filip Blake rzekł nagle:

— Nie, jeżeli to zrobię, zrobię to za darmo.

— A czy zrobi pan?

Filip Blake rzekł tonem ostrzeżenia:

— Proszę pamiętać, że absolutnie nie odpowiadam za dokładność mojej pamięci.

— To się rozumie samo przez się.

— W takim razie — rzekł Blake — przyznam się, że zrobię to chętnie. Czuję, że jestem to w jakimś stopniu winien Amyasowi Crale'owi.

# Rozdział siódmy

## Druga świnka w domu siedziała...

Herkules Poirot nigdy nie zanieczywał szczegółów, więc obmyślił starannie sposób, w jaki ma zwrócić się do Meredith Blake'a. Był pewien, że Meredith Blake jest typem zupełnie odmiennym od brata. Zaskoczenie nie da tu dobrych rezultatów. Należy raczej działać powoli.

Poirot zdawał sobie sprawę, że

istnieje tylko jeden sposób dostania się do twierdzy Mereditha Blake'a: trzeba się zaopatrzyć w odpowiednie polecenia. A polecenia te muszą mieć charakter towarzyski, nie zawodowy. Szczęśliwym trafem Herkules Poirot podczas swej długoletniej kariery zdobył sobie przyjaciół we wszystkich częściach Anglii, a hrabstwo Devonshire nie było wyjątkiem. Zasiadł do biurka, aby sprawdzić, jakie możliwości ma w Devonshire. W rezultacie stwierdził, że zna dwie osoby, będące znajomymi czy też przyjaciółmi pana Mereditha Blake'a. Przybył tedy do niego uzbrojony w dwa listy; jeden od lady Mary Lytton-Gore, arystokratycznej wdowy o skromnych funduszach, osoby



żyjącej w kompletnym odosobnieniu; drugi od emerytowanego admirała, którego rodzina mieszkała w Devonshire od czterech pokoleń.

Meredith Blake przyjął pana Poirota z pewnym zdziwieniem. Nieraz odczuwał ostatnio, że świat zmienił się mocno od czasów jego młodości. Tam do licha! Dawniej prywatni detektywi to byli naprawdę prywatni detektywi, których się wynajmowało do pilnowania podarunków podczas uroczystości ślubnych, osobnicy, do których się z pewnym zażenowaniem zwracano, jeżeli się miało do czynienia z jakąś nieczystą sprawą i trzeba było zbadać ją dokładniej. Ale miał oto przed sobą list

lady Mary Lytton–Gore:

*Herkules Poirot jest moim dawnym i cenionym przyjacielem. Bardzo proszę, żeby postarał się mu pan pomóc.*

A przecież lady Mary Lytton–Gore nie była, stanowczo nie była tego rodzaju kobietą, jaką można by kojarzyć z pojęciem prywatnego detektywa. Admirał Cronshaw zaś pisał:

*Bardzo zacny człowiek, niezwykle*

*porządny. Będę panu wdzięczny, jeżeli mu pan pomoże. W dodatku nie znudzi się pan z nim na pewno — opowie panu moc ogromnie ciekawych historii.*

I oto miał teraz tego człowieka przed sobą. Doprawdy, typ zupełnie niemożliwy! Fatalnie ubrany. Buty zapinane na guziki! I te nieprawdopodobne wąsy! Absolutnie nie w guście jego, Mereditha Blake'a. Nie wyglądał na to, żeby polował, czy w ogóle uprawiał jakieś sporty. Słowem — cudzoziemiec.

Herkules Poirot czytał te wszystkie jego myśli z lekkim rozbawieniem.

Trzeba podkreślić, że w miarę jak pociąg zbliżał się do Devonshire, ciekawość Poirota wzrastała. Rozmyślał, że ujrzy wkrótce na własne oczy miejsce, gdzie rozegrała się owa dawno zapomniana tragedia.

Tu właśnie, w Handcross Manor, mieszkali dwaj młodzi bracia. Odwiedzali Alderbury, żartowali, grali w tenisa i przyjaźnili się z młodym Crale'em i dziewczyną imieniem Karolina. Stąd owego fatalnego ranka Meredith wyruszył do Alderbury. Szesnaście lat minęło od tego czasu. Herkules Poirot przyglądał się ciekawie stojącemu przed nim mężczyźnie, który przywitał go uprzejmie, lecz z wyraźnym

zażenowaniem.

Tak go sobie właśnie wyobrażał. Meredith Blake i wyglądu przypominał każdego angielskiego ziemianina i ograniczonych funduszach, spędzającego wiele czasu na powietrzu. Wytarta stara tweedowa marynarka; ogorzała, miła twarz mężczyzny w średnim wieku; spłowiałe niebieskie oczy, usta zdradzające słabość charakteru, półukryte pod wąsami. Herkules Poirot stwierdził, że Meredith Blake stanowi przeciwieństwo swego brata. Mówił niepewnie, z wahaniem i myślał najwidoczniej dość powoli. Zdawało się, iż tempo jego życia osłabło z biegiem lat, gdy tymczasem tempo życia

jego brata znacznie wzrosło.

Jak się Poirot domyślił, Meredith był człowiekiem, z którym nie należało działać pośpiesznie. Rozleniwiający tryb życia angielskiego ziemiaństwa wszedł mu w krew. Wyglądał znacznie starzej od brata, chociaż z tego, co mówił pan Jonathan, wynikało, że różnica ich wieku wynosiła zaledwie dwa lata.

Herkules Poirot pochlebiał sobie, że umie postępować i tego rodzaju ludźmi ze „starej szkoły”. Nie próbował wcale uchodzić za Anglika. Nie, powinien wystąpić tu jako cudzoziemiec szczerze i otwarcie i uzyskać wspaniałomyślne przebaczenie tego faktu: „Oczywiście, ci

cudzoziemcy nie umieją się zachować. Na przykład podają rękę na powitanie co dzień rano. Ale mimo wszystko to porządny chłop...”

Poirot starał się wyrzeć takie właśnie wrażenie. rozmawiano chwilę dość ostrożnie o lady Mary Lytton–Gore i o admirałe Cronshawie. Wymieniono poza tym kilka innych nazwisk. Na szczęście Poirot znał czyjegoś kuzyna i spotkał kiedyś jeszcze czyjąś szwagierkę. Po chwili dostrzegł cieplejszą iskierkę w oczach pana Blake’a. Ten cudzoziemiec zna jednak właściwych ludzi.

Zręcznie, chytrze Poirot skierował

rozmowę na cel swej wizyty. Dostrzegłszy naturalny odruch niechęci gospodarza, postarał się go szybko udobruchać. Ta książka będzie niestety napisana! — Panna Crale — czyli panna Lemarchant, jak się obecnie nazywa — prosiła go, żeby zredagował tę historię najdyskretniej. Na nieszczęście fakty są już własnością szerokiego ogółu. Ale można je przecież tak przedstawić, aby nie ranić niczyich uczuć. Poirot napomknął, że kiedyś już udało mu się wpłynąć w sposób dyskretny na usunięcie drastycznych ustępów z pewnego pamiętnika.

Meredith Blake zaczerwienił się z gniewu. Ręka jego drżała, gdy nabijał



fajkę. Potem powiedział, zacinając się z lekka:

— To ohydne! Po co odgrzebywać stare sprawy? Sz—sz—szesnaście lat temu... Czemu nie zostawić tego w spokoju?

Poirot wzruszył ramionami.

— Zupełnie się z panem zgadzam. Ale co począć! Publiczność domaga się tego rodzaju książek. A każdy ma prawo pisać o znanych, stwierdzonych zbrodniach i dowolnie je komentować.

— Moim zdaniem to haniebne.

— Niestety — powiedział Poirot —

żyjemy w takich czasach... Zdziwiłby się pan, panie Blake, gdyby pan wiedział, w ilu przypadkach udało mi się, powiedzmy, złagodzić różne przykre publikacje. Pragnę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby oszczędzić uczucia panny Crale.

— Mała Karla! — rzekł Meredith Blake. — To maleństwo!... A dzisiaj dorosła panna!... Trudno po prostu uwierzyć.

— Tak, znam to. Jak ten czas leci, prawda?

Meredith Blake westchnął.

— Zbyt szybko — rzekł.

— Jak się pan przekona z listu panny Crale, który panu wręczyłem, zależy jej na tym, aby poznać możliwie jak najdokładniej owe smutne wydarzenia.

— A po co? — zapytał Blake z irytacją. — Po co to wszystko rozgrzebywać na nowo? O ileż lepiej zapomnieć o tym, co było.

— Dlatego tak pan mówi, że zna pan tę przeszłość aż nazbyt dobrze. Ale panna Crale nie wie absolutnie nic, proszę nie zapominać! Nic! To znaczy, że wie tylko tyle, ile mogła się dowiedzieć z oficjalnych sprawozdań.

Meredith Blake skrzywił się jakby z bólu. Powiedział po chwili:

— Tak jest, zapomniałem... Biedne dziecko... Co za okropna sytuacja. Jakim ciosem musiała być dla niej ta wiadomość. A potem te bezduszne, okropne sprawozdania z procesu!

— Prawdy nie pozna się nigdy ze sprawozdań sądowych — zauważył Poirot. — Najczęściej właśnie to, co sprawozdania pomijają, posiada najdonioślejsze znaczenie. Wzruszenia, uczucia... charaktery osób działających. Okoliczności łagodzące...

Tu przerwał, a gospodarz zaczął mówić z przejęciem jak aktor, któremu poddano replikę:

— Okoliczności łagodzące! O to

właśnie idzie! Jeżeli kiedykolwiek można o tym mówić, to właśnie w tym wypadku istniały okoliczności łagodzące. Amyas Crale był moim starym przyjacielem. Nasze rodziny przyjaźniły się od wielu pokoleń, ale trzeba bezstronnie przyznać, że postępował okropnie. Oczywiście, był artystą, i to zapewne wiele tłumaczy. Dopuścił jednak do powstania zupełnie niemożliwej sytuacji. Żaden przeciętnie uczciwy człowiek nie mógłby w takim położeniu wytrzymać.

— Ciekawe, że pan o tym mówi — rzekł Poirot. — Bo właśnie ta sytuacja jest dla mnie zagadką. Człowiek dobrze wychowany, człowiek światowy, nie

załatwia w ten sposób swoich spraw osobistych.

Szczupła, niezdecydowana twarz Blake'a ożywiła się.

— Tak — powiedział — ale rzecz w tym, że Amyas nigdy nie był przeciętnym człowiekiem! Był malarzem i sztuka była dla niego najważniejsza. Czasami przejawiało się to w sposób bardzo niezwykły"! Ja osobiście zupełnie nie rozumiem tych tak zwanych artystów i nigdy ich nie zrozumieć. Crale'a, co prawda, trochę rozumiałem, bo znałem go od dziecka. Pochodził z takiej samej rodziny jak moja. Zresztą pod pewnymi względami był typowym ziemianinem. Dopiero gdy w grę wchodziła jego

sztuka, wyłamywał się ze zwykłych ram. Bo on pod żadnym względem nie był amatorem. To był człowiek wysokiej klasy. Niektórzy nawet twierdzili, że jest geniuszem. Może i mieli rację. Ale w rezultacie tego wszystkiego brakowało mu równowagi. Kiedy malował, nie istniało dla niego nic na świecie, nie uznawał żadnych przeszkód. Był jakby w transie. Praca pochłaniała go bez reszty. Dopiero kiedy skończył obraz, budził się z transu i wracał do normalnego życia.

Spojrzał pytająco na Poirota, który skinął głową ze zrozumieniem.

— Widzę, że mnie pan rozumie. Otóż to tłumaczy chyba, jak się wytworzyła ta

sytuacja. Zakochał się w tej dziewczynie, chciał się z nią ożenić. Gotów był opuścić dla niej żonę i dziecko. Ale zaczął malować ją w Alderbury i chciał za wszelką cenę dokończyć portret. Nic go poza tym nie obchodziło. A tego, że sytuacja dla obydwu kobiet stała się wprost nie do zniesienia, wcale nie dostrzegał.

— Czy któraś z nich rozumiała jego stan ducha?

— Owszem, do pewnego stopnia. Przypuszczam, że raczej może Elza. Wielbiła jego talent. Ale rzecz prosta, sytuacja nie była dla niej łatwa. A co się tyczy Karoliny...



Zatrzymał się na chwilę, a Poirot powiedział:

— Tak, rzecz oczywista, dla Karoliny...

Meredith Blake ciągnął dalej z pewną trudnością:

— Byłem zawsze bardzo przywiązany do Karoliny. Był czas, kiedy miałem nadzieję, że zostanie moją żoną. Ale te nadzieje szybko się rozwiały. Mimo to byłem jej zawsze oddany, jeżeli się tak mogę wyrazić. Zawsze do jej usług...

Poirot skinął głową w zamyśleniu. To nieco staroświeckie zdanie doskonale charakteryzowało człowieka, którego

miął przed sobą. Meredith Blake był właśnie człowiekiem, który by mógł poświęcić życie szlachetnemu, romantycznemu uczuciu i służyć wiernie damie swego serca, nie spodziewając się żadnej nagrody. Tak jest, to leżało w jego charakterze.

Powiedział po chwili, starannie wążąc słowa:

— Ze względu na nią musiał pan brać Crale'owi za złe jego postępowanie?

— Tak jest. Och, miałem mu bardzo za złe. Próbowałem nawet przemówić do jego sumienia.

— Kiedy to było?

— Dzień przedtem, nim się to wszystko stało. Przyszli tutaj na herbatę. Odciągnąłem Crale'a na bok i powiedziałem mu, co o nim myślę. Powiedziałem nawet, pamiętam, że postępuje nieuczciwie wobec obydwu kobiet.

— Ach, tak mu pan powiedział?

— Tak, bo myślałem, że może sobie z tego nie zdaje sprawy.

— To możliwe.

— Oświadczyłem mu, że stawia Karolinę w nieznośnej sytuacji. Jeżeli ma zamiar ożenić się z tą dziewczyną, to nie powinien zapraszać jej tu, do domu,

żeby żona musiała wciąż na nią patrzeć.  
Przecież to zniewaga dla Karoliny.

— I co panu na to odpowiedział? —  
spytał zaciekawiony Poirot.

— Odpowiedział — rzekł pan Blake z  
niesmakiem — że „Karolina musi to  
jakoś znieść”.

Herkules podniósł brwi.

— Niezbyt ładna odpowiedź — rzekł.

— Bezczelna, moim zdaniem.  
Straciłem panowanie nad sobą.  
Powiedziałem mu, że oczywiście, gdy  
nie kocha żony, wszystko mu jedno,  
jakie jej zadaje cierpienia. Ale,

spytałem, co z dziewczyną? Czy nie rozumie, że ona też jest w okropnej sytuacji? Odpowiedział, że Elza też musi to jakoś znieść. A potem dodał: „Drogi Meredith! Nie rozumiesz, zdaje się, że maluję teraz najlepszy obraz w moim życiu. Powiadam ci, rzeczywiście dobry. I nie pozwolę, żeby dwie zazdrosne kobiety popsuły mi go swoimi kłótniami. Do wszystkich diabłów, nie pozwolę!” Wszelkie perswazje były bezcelowe. Powiedziałem mu tylko, że zatracił elementarne poczucie przyzwoitości. Malarstwo to nie wszystko. Przerwał mi: „Dla mnie to wszystko”. Byłem ciągle jeszcze bardzo zły. Zarzuciłem mu, że zawsze traktował Karolinę w sposób ohydny. Pożycie z

nim jest dla niej nieprzerwanym pasmem udręki. Odparł, że wie o tym i że bardzo mu przykro. Przykro! Potem dorzucił: „Wiem, Merry, że mi nie wierzysz, ale to prawda. Pożycie ze mną było dla Karoliny piekłem na ziemi, a ona znosiła wszystko jak święta. Ale wiedziała chyba, co ją czeka, bo uprzedziłem ją uczciwie, jaki ze mnie rozpustnik i egoista”.

Tłumaczyłem mu gorąco, że nie powinien burzyć swego domu. Musi pamiętać o dziecku, o wszystkim. Rozumiem, że dla takiej dziewczyny jak Elza można stracić głowę, ale nawet dla niej nie powinien poświęcać rodziny. Jest taka młoda. Miłość zupełnie ją teraz

zalepia, ale z czasem może tego gorzko żałować. Czy Amyas nie potrafi wziąć się w karby, zerwać z Elzą i wrócić do żony?

— I co na to odpowiedział?

— Był jakby zakłopotany. Poklepał mnie po ranieniu i powiedział: „Dobry z ciebie chłop, Merry. Ale jesteś zbyt sentymentalny. Poczekaj, aż skończę obraz, a przyznasz, że miałem rację”. Zawołałem: „Niech diabli porwą twój obraz!” Amyas uśmiechnął się cynicznie i odparł, że wszystkie historyczki Anglii razem wzięte nie zdołałyby teraz oderwać go od pracy. Nadmieniłem wtedy, że postąpiłby przyzwoiciej, gdyby aż do zakończenia obrazu trzymał

całą sprawę w tajemnicy przed Karoliną. Odrzekł, że to nie jego wina, to Elza wszystko wypaplała. Zapytałem, czemu? „Bo sobie wbiła do głowy — odrzekł — że tak będzie uczciwiej. Chciała jasno postawić sprawę. Cóż... można to do pewnego stopnia zrozumieć, a nawet szanować za to Elzę. Postąpiła wobec Karoliny okrutnie, ale chciała przynajmniej być uczciwa”.

— Uczciwość często przysparza wiele bólu i zmartwień — zauważył Herkules Poirot.

Meredith Blake spojrział na niego z powątpiewaniem. Sentencja ta nie przypadła mu do smaku. Westchnął



powiedział tylko:

— To były bardzo ciężkie chwile dla nas wszystkich.

— Jedynym człowiekiem, który tego nie odczuwał, był chyba Amyas Crale — rzekł Poirot.

— Nieuleczalny optymista — mruknął Poirot.

— Amyas nie brał kobiet serio — powiedział Meredith Blake. — Bo ja dobrze widziałem, że Karolina jest doprowadzona do ostateczności.

— Czy panu o tym mówiła?

— Może nie dosłownie. Ale zawsze będę pamiętał, jak wyglądała owego popołudnia. Miała twarz bladą i ściągniętą i była nienaturalnie, wisielczo wesoła. Dużo mówiła i śmiała się. Ale jej oczy... Czaił się w nich nieznośny ból. Nigdy nie widziałem nic bardziej przejmującego. A była przecież uosobieniem łagodności.

Ten człowiek najwyraźniej nie uważał wcale, że to określenie może być dziwne w stosunku do kobiety, która nazajutrz zamordowała z premedytacją swego męża. Opowiadał dalej. Podejrzliwość i niechęć do przybysza rozwiały się już zupełnie. Herkules Poirot umiał słuchać jak mało kto. Dla ludzi pokroju

Mereditha Blake'a odtwarzanie przeszłości miało nieodparty urok. Mówił teraz raczej do siebie niż do gościa.

— Powiniennem był się czegoś domyślać. Bo przecież Karolina sama skierowała rozmowę na moją... na moją manię. Muszę się przyznać, że uprawiałem to moje zamiłowanie z pasją. Staroangielskie zielarstwo to niesłychanie ciekawy przedmiot studiów, niech mi pan wierzy! Istnieje takie mnóstwo ziół używanych dawniej do celów leczniczych, które teraz zupełnie zniknęły z oficjalnej farmakopei. To doprawdy zadziwiające, jakich cudów może dokonać zwykły

napar tego czy owego ziele. Można się częstokroć obchodzić bez doktorów. Francuzi doskonale to rozumieją, ich *tisane* jest pierwszorzędna...

Meredith Blake najwidoczniej puścił wodze swojej ulubionej manii.

— Na przykład taki mlecz! Wspaniałe! Albo wyciąg z głogu! Czytałem gdzieś ostatnio, że medycyna znowu wraca do ziół. O, tak, muszę się szczerze przyznać, że warzenie tych ziół sprawiało mi dużą przyjemność. Zbieranie ich w odpowiednim okresie, suszenie, moczenie i tak dalej. Czasem nawet robiłem się przesądny, zbierając, na przykład, pewne zioła tylko podczas pełni księżyca czy w inny sposób

zalecany przez dawne przepisy. Przypominam sobie, że właśnie owego dnia miałem przed gośćmi obszerny wykład o szaleju. Kwitnie on raz na dwa lata. Owoce trzeba zbierać tuż przed dojrzewaniem, kiedy zaczynają żółknąć. Wyciska się z nich czystą cykutę. O ile mi wiadomo, w wykazach farmaceutycznych ten środek zupełnie nie figuruje. Ja sam jednak stwierdziłem w praktyce, że jest bardzo skuteczny przy kokluszu i astmie...

— Czy opowiadał pan to wszystko w swoim laboratorium?

— Tak. Pokazywałem wszystkim i tłumaczyłem działanie różnych leków.

Waleriana na przykład działa bardzo silnie na koty: wystarcza im jedno pociągnięcie nosem. Następnie goście pytali mnie o wilczą jagodę, a ja im opowiedziałem o belladonie i atropinie. Bardzo to wszystkich zainteresowało.

— Wszystkich? Kogo obejmuje pan tym słowem?

Meredith Blake spojrzał na gościa trochę zdziwiony, jak gdyby zapomniał, że jego słuchacz nie brał czynnego udziału w opisywanej scenie.

— O, całe towarzystwo. Zaraz... Tam był Filip i Amyas, no, i oczywiście Karolina. Poza tym Angela i Elza Greer.

— I nikt więcej?

— Chyba nie. Tak, jestem pewien, że nikt. — Blake spojrział na Poirota ze zdziwieniem. — A któż by mógł być jeszcze?

— Sądziłem, że może guwernantka...

— Aha, rozumiem. Nie, nie było jej tego popołudnia. Zapomniałem już, jak się nazywała. Bardzo zacna osoba. Brała swoje obowiązki bardzo poważnie. Mam wrażenie, że martwiła się o Angelę.

— A to czemu?

— Widzi pan, w gruncie rzeczy było

to dobre dziecko, ale potrafiła być bardzo niesforna. Wiecznie pełna najdzikszych pomysłów. Na przykład pewnego razu, kiedy Amyas pracował, wrzuciła mu za kołnierz ślimaka czy jakieś inne obrzydlistwo. Wpadł wtedy w furję, klął, aż się rozlegało. I właśnie po tym wybryku przeforsował projekt wysłania jej do szkoły.

— Do szkoły?

— Tak. To nie znaczy, że jej nie lubił, ale czasem działała mu na nerwy. I mam wrażenie... zawsze mi się tak zdawało...

— Tak? Słucham?



— Że był trochę o nią zazdrosny. Bo, widzi pan, Karolina była po prostu niewolnicą Angeli. Pod pewnym względem Angela zajmowała w jej sercu pierwsze miejsce — a Amyasa to złościło. Nawiasem mówiąc, istniał po temu pewien powód. Nie chcę się w to wgłębiać, ale...

— Karolina Crale robiła sobie pewne wyrzuty, że przez nią dziewczynka została zeszpecona na całe życie. To jest ten powód? — przerwał mu Poirot.

— Ach, więc pan o tym wie? — zawołał Blake. — Nie chciałem o tym wspominać. Ale owszem, moim zdaniem takie właśnie było podłoże stosunku Karoliny do Angeli. Uważała zawsze, że

niczym nie zdoła tego okupić.

Poirot pokiwał głową.

— A Angela? — zapytał. — Czy żywiła urazę do przyrodniej siostry?

— Ależ nie! Bynajmniej! Angela uwielbiała Karolinę. Jestem pewien, że nie myślała nigdy o tej dawnej sprawie. Tylko sama Karolina nie mogła sobie tego darować.

— Czy Angela zgodziła się chętnie na projekt wyjazdu do internatu?

— O, nie! Wściekała się na Amyasa. Karolina stała po jej stronie, ale Amyas się uparł. Przy całej swej zapalczywości

Amyas miał łatwe usposobienie, ale kiedy raz sobie coś postanowił, to już nie ustępował. Zarówno więc Karolina, jak i Angela musiały podporządkować się jego decyzji.

— A kiedy Angela miała wyjechać do szkoły?

— Na semestr jesienny. Przygotowywano właśnie jej ekwipunek, o ile pamiętam. Gdyby nie ta tragedia, wyjechałaby już za parę dni. Była nawet mowa o tym, że miała rano zacząć pakować rzeczy.

— A co z guwernantką? — zapytał Poirot.

— Jak to, co z guwernantką?

— No, jak guwernantka przyjęła tę zmianę. Bo przecież traciła z tego powodu posadę.

— N—no, owszem... Chyba tak! Mała Karla trochę się uczyła, ale ileż ona mogła wtedy mieć? Pięć czy sześć lat? Miała bonę. Nie zatrzymaliby dla niej panny Williams. O, właśnie tak się nazywała: Williams! Dziwne, jak w trakcie rozmowy człowiekowi się przypominają pewne rzeczy.

— To prawda. Pan cofnął się już w przeszłość, prawda? Przeżywa pan na nowo dawne sceny, słyszy słowa wypowiedane wówczas przez owych

ludzi, widzi ich gesty, wyraz twarzy?

Meredith Blake rzekł powoli:

— Tak, do pewnego stopnia... Ale są też i luki. Brak całych fragmentów. Pamiętam, na przykład, jakim wstrząsem była dla mnie wiadomość, że Amyas chce rozejść się z Karoliną — ale nie mógłbym przysiąc, czy dowiedziałem się o tym od niego, czy od Elzy. Pamiętam, że usiłowałam to Elzie wyperswadować, starałam się jej wytłumaczyć, że tak postępować nie wolno. Ale ona roześmiała się tylko zuchwale i powiedziała, że jestem staroświecki. Owszem, jestem chyba staroświecki, ale nadal uważam, że miałem słuszość. Amyas miał żonę i

dziecko, i jego miejsce było przy nich.

— Ale panna Greer była zdania, że tego rodzaju poglądy są przestarzałe?

— Tak. A niech pan zważy, że przed szesnastu laty rozwód nie był takim powszechnym wydarzeniem jak dzisiaj. Ale Elza chciała być na wskroś nowoczesna. Uważała, że jeżeli małżeństwo nie jest szczęśliwe, to należy je rozwiązać. Jak mówiła, Amyas i Karolina nieustannie się z sobą kłócą i wobec tego dla ich dziecka będzie lepiej, jeżeli się rozejdą, niżby się miało wychowywać w tak niezgodnej atmosferze.

— A czy jej argumenty trafiały panu

do przekonania?

— Miałem przez cały czas wrażenie — rzekł powoli Meredith — że w gruncie rzeczy Elza nie wie, co mówi. Powtarzała po prostu rzeczy zasłyszane od innych albo wyczytane w powieściach. Paplała jak papuga. Może się to panu wyda dziwne, ale z tym wszystkim była wzruszająca. Taka młoda i ufna w swoje siły. — Urwał na chwilę, a potem dokończył: — Wie pan, panie Poirot, młodość miewa w sobie czasem coś ogromnie wzruszającego.

— Rozumiem, co pan ma na myśli — odpowiedział Poirot, patrząc na Blake'a z zaciekawieniem.

Blake mówił dalej, raczej do siebie niż do gościa:

— Dlatego właśnie próbowałem przemówić Amyasowi do rozumu. Był starszy od dziewczyny blisko o dwadzieścia lat. Sądziłem, że ją krzywdzi.

— Niestety, jak rzadko udaje się osiągnąć jakieś skutki w podobnej sprawie — rzekł Poirot. — Jeśli ktoś sobie coś postanowi, zwłaszcza jeżeli w grę wchodzi kobieta — nie ma na to rady!

— Ma pan rację — przyznał z goryczą Blake. — W każdym razie nic wówczas nie wskórałem. Ale ja w ogóle nie



umiem przekonywać. Nigdy jakoś nie posiadałem daru perswazji.

Poirot rzucił mu szybkie spojrzenie. Odczuł w jego tonie żal człowieka rozgoryczonego brakiem silnej indywidualności. W głębi ducha musiał przyznać mu rację. Meredith Blake nie należał do ludzi, którzy potrafią swą wymową odwieść kogoś od powziętego zamiaru. Jego wysiłki, podejmowane z najszlachetniejszych nawet pobudek, nie osiągają zapewne nigdy skutku. Ludzie bez gniewu, raczej pobłażliwie wzruszają ramionami i przechodzą do porządku dziennego nad jego argumentami. Nie potrafi nadać im wagi, jest człowiekiem słabym z natury.

Poirot zapytał, jakby pragnąc zmienić przykry temat:

— Czy pan w dalszym ciągu prowadzi swoje laboratorium zielarsko–lecznicze?

— Nie.

Powiedziane to było ostro, z bolesną niemal skwapliwością. Twarz Mereditha Blake’a zalał rumieniec.

— Skończyłem z tym raz na zawsze. Zdemontowałem całe urządzenie. W tym stanie rzeczy nie potrafiłem kontynuować mojej pracy... no, bo jakże? Po tym wszystkim, co zaszło! Mógł przecież ktoś powiedzieć, że to ja

byłem wszystkiemu winien.

— Ależ skądże, skądże, panie Blake! Pan jest przewrażliwiony.

— Jak to? Czy pan tego nie widzi? Gdybym nie zbierał tych piekielnych ziół, gdybym o nich tyle nie mówił, nie chełpił się nimi, nie podsuwał ich uwadze moich gości owego popołudnia? Ale nie przypuszczałem nigdy... Nie śniło mi się nawet... Skąd mogłem wiedzieć...

— Oczywiście.

— Ale ja gadałem i gadałem, dumny ze swych wiadomości. Byłem ślepym, zarozumiałym głupcem! I właśnie taki

nacisk kładłem specjalnie na cykutę. A potem, dureń, poprosiłem ich do biblioteki i przeczytałem fragment z Fedona, opisujący śmierć Sokratesa. Bardzo zresztą piękny fragment, zawsze się nim zachwyciłem. Od tego czasu prześladowa mnie ustawicznie.

— Czy znaleziono na butelce z cykutą jakieś odciski palców? — zapytał Poirot.

— Tylko jej.

— Karoliny Crale?

— Tak.

— A pańskich nie?

— Nie. Bo widzi pan, nie brałem butelki do ręki, wskazałem ją tylko.

— Ale przecież musiał ją pan kiedyś mieć w ręku?

— Oczywiście, ale od czasu do czasu odkurzałem wszystkie butelki, bo służbie naturalnie nie wolno było wchodzić do pracowni. Właśnie cztery czy pięć dni przedtem ścierałem kurze.

— Czy laboratorium było zawsze zamknięte na klucz?

— Zawsze.

— A kiedy Karolina Crale mogła odlać cykutę z butelki?

Meredith Blake odpowiedział z pewnym ociąganiem.

— Wyszła z pokoju ostatnia. Zawołałem ją, pamiętam, i przybiegła szybko do nas. Miała tylko trochę zaróżowione policzki i dziwnie błyszczące oczy. Ach! Mam ją jak żywą przed oczami!

— A czy pan w ciągu tamtego popołudnia miał wizję z nią rozmawiać? — zapytał Poirot. — Chodzi o to czy rozmawiał pan z nią o sytuacji, jaka powstała między nią a jej mężem?

Blake odpowiedział cicho i powoli:

— Bezpośrednio — nie. Jak już

powiedziałem przedtem, Karolina była bardzo przygnębiona. W pewnej chwili, kiedy zostaliśmy z dala od reszty towarzystwa, spytałem: „Czy ci coś dolega, kochanie?” Na co odpowiedziała: „Wszystko mi dolega”. Szkoda, że pan nie słyszał, z jaką to powiedziała desperacją. Słowa te zawierały całą prawdę. Amyas Crale był dla Karoliny wszystkim na świecie. Dodała jeszcze w końcu: „Wszystko przepadło... skończone. I ze mną też już koniec, Meredith!” Ale roześmiała się zaraz, wróciła do reszty towarzystwa i ogarnęła ją nagle nienaturalna, hałaśliwa wesołość.

Herkules Poirot pokiwał głową niby

porcelanowy mandaryn.

— Tak, rozumiem — rzekł. — Zatem to tak było...

Meredith Blake uderzył nagle pięścią w stół i krzyknął niemal:

— I jedno panu powiem: kiedy Karolina Crale zeznała w sądzie, że wzięła tę truciznę dla siebie, przysięgnę, że powiedziała prawdę. W pierwszej chwili na pewno nie myślała o zabójstwie, ta myśl nasunęła się jej dopiero później.

— Jest pan tego pewien?

— Przepraszam?... Nie bardzo



rozumieć — rzekł Blake, otwierając szeroko oczy.

— Pytałem pana, czy jest pan zupełnie pewien, że myśl o zbrodni w ogóle nasunęła się Karolinie? Innymi słowy, czy żywi pan niezbitą przekonanie, że Karolina z całą świadomością popełniła morderstwo?

Meredith Blake oddychał z trudem.

— Jeżeli nie? — powiedział — jeżeli nie... czyżby pan podejrzewał jakiś wypadek?

— Niekoniecznie.

— Mówi pan bardzo dziwne rzeczy...

— Czyżby? Określił pan przedtem Karolinę Crale jako uosobienie łagodności. Czy tego rodzaju osoby popełniają zbrodnie?

— Była naprawdę łagodna... Ale mimo to były między nimi bardzo gwałtowne kłótnie.

— Więc nie taka znowu łagodna.

— Ależ owszem! Och, jak to trudno wytłumaczyć!

— Staram się właśnie zrozumieć.

— Karolina była bardzo impulsywna, co się także wyrażało w jej sposobie mówienia. Potrafiła powiedzieć:

„Nienawidzę cię! Chciałabym, żebyś umarł!” — ale to jeszcze nie znaczyło... to nie pociągało za sobą czynów.

— A więc, pańskim zdaniem, morderstwo nie leżało w charakterze pani Crale?

— Pan to ujmuje bardzo dziwnie, panie Poirot. Mogę tylko powiedzieć... no więc, tak: wydawało mi się to zupełnie niezgodne z jej charakterem. Mogę to sobie wytłumaczyć jedynie tym, że została sprowokowana w sposób niezwykle silny. Uwielbiała męża. W tych warunkach kobieta... kobieta może nawet zamordować.

— Owszem, zgadzam się z tym —

przyznał Poirot.

— W pierwszej chwili byłem jak piorunem rażony! Wydawało mi się to niemożliwe! I to rzeczywiście było niemożliwe, jeżeli pan sobie zdaje sprawę, jak ja to rozumiem. Osoba, która się tego dopuściła, nie była prawdziwą Karoliną.

— Ale w sensie prawnym jest pan jednak pewien, że to Karolina?

Meredith Blake znowu spojrział ze zdumieniem na Poirota.

— Drogi panie, jeżeli to nie ona...

— No?... Jeżeli nie ona?

— Nie wyobrażam sobie innego rozwiązania. Wypadek? To nieprawdopodobne! Bez wątpienia...

— Nieprawdopodobne. Ja też tak sądzę.

— Nie uwierzę też nigdy w teorię samobójstwa. Musiano brać pod uwagę tę możliwość, ale nikomu, kto znał Crale'a, nie mogła się ona wydać sensowna.

— Zgoda.

— Cóż więc pozostaje? — spytał Meredith Blake.

— Pozostaje hipoteza, że Amyasa

Crale'a otruła ktoś inny — stwierdził z zimną krwią Poirot.

— Ależ to absurd!

— Tak pan sądzi?

— Jestem pewien. Któż by go chciał zabić? Kto by mógł go zabić?

— To raczej powinien wiedzieć pan, nie ja.

— Nie przypuszcza pan chyba na serio...

— Może i nie. Ale chciałbym rozważyć tę możliwość. Proszę się nad tym poważnie zastanowić i powiedzieć,

co pan o tym sądzi.

Meredith wpatrywał się w niego przez długi czas. Potem spuścił oczy i potrząsnął głową.

— Mimo najszczerzej chęci nie potrafię wysunąć żadnej alternatywy. Gdyby istniał choć cień prawdopodobieństwa, że zrobił to ktoś inny, uwierzyłbym bez wahania w niewinność Karoliny. Nie chciałem wierzyć w jej winę, mówiłem już, że w pierwszej chwili nie mogłem w to uwierzyć. Ale któż by inny? Kto tam jeszcze był? Filip? Najlepszy przyjaciel Crale'a. Elza? Śmieszne! Ja sam? Czy wyglądam na mordercę? Albo guwernantka, zacna i solidna kobieta.

Para starych, oddanych służących. A może powie pan, że to mata Angela? Nie, panie Poirot! Nie ma alternatywy. Nikt poza jego żoną nie mógł zamordować Crale'a. On sam jednak doprowadził ją do tego. W gruncie rzeczy więc można by to podciągnąć pod samobójstwo.

— Sądzi pan, że zginął wskutek własnego postępowania, chociaż nie z własnej ręki?

— Właśnie. Może to na pierwszy rzut oka dziwaczne ujęcie, ale wie pan... przyczyna i skutek.

— Czy zastanawiał się pan kiedy — spytał Poirot — że przyczynę



morderstwa najłatwiej można znaleźć, badając charakter ofiary?

— Zaraz, bo ja niezupełnie... Owszem, rozumiem chyba, co pan ma na myśli.

— Dopóki się nie pozna dokładnie psychiki ofiary, nie widzi się wyraźnie okoliczności morderstwa. O to mi właśnie idzie. Obaj panowie, pan i pański brat, bardzo mi w tym pomogli. Chodziło mi o rekonstrukcję charakteru Amyasa Crale'a.

Meredith Blake pominął zasadniczy sens tych słów, gdyż uwagę jego przykuło słowo „brat”.

— Filip? — rzucił szybko.

— Tak.

— Pan z nim także rozmawiał?

— Oczywiście.

— Trzeba było najpierw zwrócić się do mnie — rzekł ostrym tonem Meredith Blake.

— Jeżeli idzie o starszeństwo, ma pan słuszość — odparł z kurtuazją Poirot.  
— Wiem, że pan jest starszym bratem. Ale pan rozumie, brat pański mieszka pod Londynem i było mi łatwo odwiedzić go najpierw.

Meredith Blake nie rozchmurzył się jednak, ale skubał w rozterce dolną wargę.

— Powinien pan być najpierw zwrócić się do mnie — powtórzył.

Tym razem Poirot zwlekał z odpowiedzią, aż Meredith Blake musiał dodać tonem wyjaśnienia:

— Bo Filip jest uprzedzony.

— Tak?

— Jeżeli chodzi o ścisłość, ma moc uprzedzeń, zawsze tak było. — Tu zerknął z niepokojem na gościa. — Na pewno starał się oczernić przed panem

Karolinę.

— Czyż to ma jakieś znaczenie... po tak długim czasie?

Meredith Blake głęboko westchnął.

— Tak, wiem. Zapominam, że to już tyle lat minęło. Karolinie nic już nie może zaszkodzić. Ale mimo to nie chciałbym, żeby pan miał o niej fałszywe pojęcie.

— A sądzi pan, że brat mógłby ją przedstawić mi w fałszywym świetle?

— Szczerze mówiąc, tak. Bo widzi pan, między moim bratem a Karoliną zawsze istniał jakiś, jakby to

powiedzieć, antagonizm.

— Czemu?

Pytanie to wyraźnie podrażniło Blake'a.

— Czemu? Skąd mogę wiedzieć? To się przecież zdarza. Filip zawsze dokuczał jej przy każdej sposobności. Był mocno niezadowolony, kiedy Amyas się z nią ożenił. Przeszło rok w ogóle się z nimi nie widywał. A przecież Amyas był chyba jego najlepszym przyjacielem. Zdaje się, że tu właśnie tkwiła przyczyna. Uważał, że żadna kobieta nie jest godna Amyasa, i lękał się zapewne, że wpływ Karoliny zniweczy ich przyjaźń.

— Czy rzeczywiście tak się stało?

— Ależ nie, bynajmniej! Amyas zawsze, aż do końca, był tak samo przywiązany do Filipa. Zawsze mu docinał, że jest groszorem i filistrem, ale Filip się tym wcale nie przejmował. Śmiał się tylko i twierdził, że to dobrze, gdy Amyas ma przynajmniej jednego solidnego i zamożnego przyjaciela.

— Jak brat pana zareagował na sprawę Elzy Greer?

— Czy ja wiem? Trudno właściwie określić jego stanowisko. Zły był na Amyasa, że się tym romansem ośmiesza. Nieraz powtarzał, że nic z tego nie będzie i Amyas w końcu będzie żałował.

Ale równocześnie miałem wrażenie... tak, miałem zupełnie wyraźne wrażenie, że cieszy go niepowodzenie Karoliny.

Poirot podniósł w górę brwi.

— Doprawdy? — spytał.

— Och, proszę mnie źle nie rozumieć! Chciałem tylko powiedzieć, że to uczucie tkwiło gdzieś w jego podświadomości. Przypuszczam, że nie zdawał sobie nawet z tego sprawy. Chociaż niewiele mamy z Filipem wspólnego, to jednak istnieje jakiś związek krwi między członkami bliskiej rodziny. Jeden brat często wie, co drugi myśli.

— A po tej tragedii?

Meredith Blake potrząsnął głową. Po jego twarzy przebiegł skurcz bólu.

— Biedny Fil! — powiedział. — Zupełnie go to złamało. Zawsze był ogromnie przywiązany do Amyasa. Uczucie to, jak sądzę, zbliżało się do ślepego uwielbienia. Byliśmy w jednym wieku z Crale'em, a Filip był dwa lata młodszy i zawsze uważał Amyasa za istotę wyższego rzędu. Przeżył okropny cios. Ogromnie go to rozgoryczyło na Karolinę.

— On przynajmniej nie miał żadnych wątpliwości?



— Nikt z nas nie miał wątpliwości...

Zapadło milczenie. Wreszcie Blake rzekł z płaczliwą irytacją, tak częstą u ludzi słabych:

— Wszystko to minęło, zostało zapomniane... a tu raptem pan na nowo wszystko rozgrzebuje.

— To nie ja. To Karolina Crale.

— Karolina? — Blake spojrział na niego zdumiony.

— Jak to?

— Karolina Crale numer drugi — odpowiedział Poirot, obserwując

gospodarza uważnie.

Na twarzy Mereditha odmalowała się ulga.

— Ach, tak. Ich dziecko, mała Karla. W pierwszej chwili nie zrozumiałem pana.

— Sądził pan, że mówię o pierwszej Karolinie Crale? Myślał pan, że to ona — jakby to powiedzieć — nie może zaznać w grobie spokoju?

Meredith Blake zadrżał.

— Niech pan przestanie!

— Czy panu wiadomo, że zostawiła

list do córki — ostatni, który napisała przed śmiercią — że jest niewinna?

Meredith patrzył na niego zdumiony, a gdy przemówił, w jego tonie brzmiało niedowierzanie:

— Karolina to napisała?

— Tak jest. Czy to pana dziwi?

— Pana także by to zdziwiło, gdyby ją pan widział przed sądem. Nieszczęsna, bezbronna, zaszczuta istota. Nie próbowała nawet walczyć.

— Defetystka?

— Nie, nie! Nic podobnego. Dręczyła

ją świadomość, że zabiła ukochanego mężczyznę, przynajmniej tak wtedy sądziłem.

— A teraz nie jest pan tego pewien?

— Jeżeli napisała coś podobnego, uroczyście, w obliczu śmierci...

— Może to było miłosierne kłamstwo — podsunął Poirot.

— Może — odrzekł powątpiewająco Meredith. — Ale to... to niepodobne do Karoliny.

Poirot skinął głową. Tych samych słów użyła Karla Lemarchant. Ona jednak kierowała się tylko upartą

pamięcią dziecka. Meredith Blake natomiast znał Karolinę bardzo dobrze. Było to dla Poirota pierwsze potwierdzenie, że na sądzie Karli może polegać.

Meredith Blake spojrział znów na gościa.

— Jeżeli... jeżeli Karolina była niewinna — rzekł wolno — nie, to szaleństwo!... Nie widzę żadnych możliwości innego rozwiązania.

Odwrócił się raptownie do Poirota.

— A pan? Co pan o tym sądzi?

Zapanowała cisza.

— Jak dotąd — odpowiedział wreszcie Poirot — nie sądzę nic. Zbieram tylko wrażenia. Jaka była Karolina? Jaki był Amyas Crale? Wszyscy inni, którzy wplątani byli w ten proces? Co się działo w ciągu tych dwóch dni? Tego się muszę dowiedzieć. Zbadać dokładnie wszystkie fakty jeden po drugim. Pański brat mi w tym dopomoże. Prześle mi opis wydarzeń, jak je pamięta.

— Nie na wiele się to panu przyda — rzekł gwałtownym tonem Meredith. — Filip jest bardzo zajęty. Gdy jakaś sprawa jest skończona, zapomina o niej szybko. Jego wspomnienia będą z pewnością bardzo niedokładne.

— Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że będą luki.

— Wie pan co... — zaczął Meredith. Urwał, zaczerwienił się i dokończył po pauzie: — Jeżeli pan chce, mogę zrobić to samo. Miałby pan materiał porównawczy, prawda?

— Byłoby to dla mnie niezmiernie cenne! — zawołał uradowany Poirot. — To pierwszorzędny pomysł, pierwszorzędny!

— A więc doskonale! Napiszę. Mam tu gdzieś swoje stare pamiętniki. Ale uprzedzam pana — roześmiał się z zażenowaniem — że nie mam najlepszego stylu literackiego, a nawet

moja ortografia pozostawia wiele do życzenia. Pan nie będzie za bardzo wymagający?

— Ach, tu przecież nie chodzi o styl. Zwykły opis faktów, które pan zapamiętał. Co ktoś wtedy a wtedy powiedział, jak wyglądał, co się wydarzyło. Mniejsza o to, że coś wydaje się panu nieważne. Wszystko połączone razem pozwoli mi odtworzyć atmosferę, że tak powiem.

— Tak, rozumiem. Panu trudno jest pewnie wyobrazić sobie osoby i miejsca, których nigdy pan nie widział.

Poirot skinął głową.



— Właśnie. I jeszcze o coś chciałem pana prosić. O ile się nie mylę, Alderbury sąsiaduje bezpośrednio z pańską posiadłością? Czy mógłbym się tam udać, żeby na własne oczy zobaczyć miejsce tragedii?

Meredith Blake odpowiedział wolno:

— Mogę pana tam zaprowadzić, chociażby zaraz. Ale rzecz prosta, że wiele się tam przez ten czas zmieniło.

— Może przebudowano dom?

— Dzięki Bogu, nie, nie jest aż tak źle. Ale założono tam coś w rodzaju hotelu. Jakieś przedsiębiorstwo zakupiło całą posiadłość. W lecie zjeżdżają tu

całe hordy młodzieży, no i oczywiście, wszystkie pokoje podzielono na klitki. Sam teren także znacznie zmieniono.

— Będzie mi pan musiał dopomóc odpowiednimi wyjaśnieniami.

— Zrobię, co będę mógł. Szkoda, że nie widział pan tej posiadłości za dawnych lat. To był jeden z najpiękniejszych majątków w okolicy.

Poprowadził gościa przez drzwi balkonowe i zaczęli razem schodzić na dół po zboczu porośniętym trawą.

— A kto sprzedał posiadłość?

— Opiekunowie osieroconej

dziewczynki. Odziedziczyła wszystko, co Crale posiadał. Nie zostawił testamentu, przypuszczam więc, że majątek byłby został podzielony automatycznie między żonę i dziecko. Karolina w testamencie również zapisała wszystko córce.

— A nic przyrodniej siostrze?

— Angela posiadała osobisty majątek po ojcu.

— Rozumiem — rzekł Poirot, a po chwili zawołał: — Ale dokąd mnie pan prowadzi? Przecież idziemy nad morze!

— Ach, muszę panu wytłumaczyć naszą topografię. Za chwilę sam się pan

przekona. O, widzi pan, tam jest taka mała zatoka, nazywa się Zatoka Wielbłądzia. Wrzyna się w ląd tutaj... wygląda prawie jak ujście rzeki, ale to złudzenie, to tylko morze. Jeżeli się chce iść do Alderbury lądem, trzeba skręcić na prawo i okrążyć zatokę, lecz najbliższa droga prowadzi po prostu łodzią przez to wąskie pasemko wody. Alderbury leży naprzeciwko, o tam! Może pan zobaczyć dom między drzewami.

Doszli do małej plaży. Naprzeciwko widać było lasek, a między wysokimi drzewami — duży biały dom. Na piasku leżały dwie łodzie. Meredith Blake przy niezbyt zręcznej pomocy Poirota spuścił

jedną z nich na wodę i po chwili wiosłowali już ku przeciwległemu brzegowi.

— Dawniej zawsze jeździliśmy w ten sposób — wyjaśnił Meredith — z wyjątkiem, oczywiście, niepogody albo burzy, kiedy posługiwaliśmy się autem. Ale wtedy odległość wynosi blisko trzy mile.

Podpłynął zręcznie pod kamienne umocnienie przeciwnego brzegu. Spojrzał niechętnie na szereg drewnianych szałasów i betonowe tarasy.

— To wszystko jest nowe. Dawniej stała tu szopa na łódki i nic więcej. Szło

się wzdłuż wybrzeża i kąpało się tam, przy tych skałach.

Pomógł gościowi wysiąść, przycumował łódź i poprowadził Poirota stromą ścieżką w górę.

— Może pan być pewien, że nie spotkamy nikogo po drodze — rzucił przez ramię. — W kwietniu jest tu jeszcze zupełnie pusto... chyba że na Wielkanoc. A zresztą, gdybyśmy nawet kogoś spotkali, nic nie szkodzi. Żyję w zgodzie z sąsiadami. Jak pięknie grzeje dzisiaj słońce, zupełnie jak w lecie. I wtedy także był piękny dzień, raczej lipcowy niż wrześniowy. Wspaniałe słońce, ale lekki chłodnawy wietrzyk.

Ścieżka wyłaniała się już spośród drzew i okrążała występ skalny. Meredith wskazał ręką.

— To ogród, który oni nazywali „Baterią”. Jesteśmy teraz mniej więcej pod nim, mijamy go.

Znowu weszli do lasu. Po chwili dróżka ostro skręciła znaleźli się przed furtką, umieszczoną w wysokim murze. Ścieżka biegła zygzakowato dalej, ale Meredith otworzył furtkę i obaj weszli do ogrodu.

Po przejściu cienistej drogi Poirot był przez chwilę oślepiiony blaskiem. „Bateria” była tarasem z obmurowaniem, na którym stała armatka.

Zdawało się, że zwisa nad samym morzem. Nad tarasem i pod nim rosły drzewa, lecz od strony morza nie widać było w dole nic prócz lśniącego błękitu wód.

— Piękny widok — zauważył Meredith, a po chwili dodał, wskazując wzdorliwie głową na rodzaj pawilonu przybudowanego do starego muru: — Tego, oczywiście, wówczas nie było. Była tylko szopa, w której Amyas przechowywał swoje przybory malarskie, butelki z piwem i kilka leżaków. Wtedy nie było jeszcze betonu. Stała tu ławka i mały stolik, wszystko z żelaza malowanego olejną farbą. Nic poza tym. A jednak niewiele się tu



zmieniło — głos mu się załamał.

— I to właśnie tu się stało? — zapytał Poirot.

Meredith potwierdził skinieniem głowy.

— Ławka stała tam, pod szopą. Amyas na niej siedział. Lubił sobie siedzieć na tej ławce, kiedy malował — ot, tak po prostu, rzucał się na nią i patrzył, patrzył. Potem zrywał się raptem i zaczynał nakładać farby na płótno jak szalony.

Urwał na chwilę. — Dlatego właśnie, wie pan, wyglądał wtedy zupełnie naturalnie. Jak gdyby spał, ot, zdrzemnął

się na chwilę. Ale oczy miał otwarte i był już sztywny. Ta trucizna paraliżuje człowieka. Nie czuje się żadnego bólu... Zawsze, zawsze pocieszała mnie ta myśl...

— Kto go pierwszy znalazł? — spytał Poirot, chociaż znał już odpowiedź na to pytanie.

— Ona, Karolina. Po lunchu. Ja i Elza byliśmy prawdopodobnie tymi, którzy ostatni raz widzieli go przy życiu. Trucizna zaczęła już pewnie działać, bo wyglądał jakoś dziwnie. Wolałbym o tym nie mówić. Łatwiej mi będzie opisać panu to wszystko.

Odwrócił się szybko i wyszedł z

ogródka, a Poirot ruszył za nim w milczeniu.

Szli znowu w górę krętą ścieżką. Nieco powyżej ogrodu znajdował się jeszcze jeden niewielki taras, ocieniony drzewami, na którym stała ławka i stolik. Meredith rzekł:

— Jak widzę, niewiele tutaj zmieniono. Ławka jednak nie była w tym starym, wiejskim stylu... ale zwykła, żelazna, malowana. Trochę twardo było na niej siedzieć, ale za to widok roztaczał się stąd piękny.

Poirot podzielał jego zdanie. Pomiędzy drzewami połyskiwała w dole zatoka.

— Siedziałem tu tego rana dość długo — rzekł Meredith. — Drzewa były znacznie niższe, widać było doskonale murek tam w dole. Na nim właśnie siedziała Elza, pozując Amyasowi. Głowę miała odwróconą w bok.

Wzruszył lekko ramionami i ciągnął dalej:

— Drzewa rosą prędzej, niż się przypuszcza. Cóż, starzeję się pewno. Chodźmy dalej, dojdziemy do domu.

Szli w dalszym ciągu dróżką pod górę, dopóki nie doprowadziła ich prosto przed piękny, stary dom. Posiadał nowe dobudówki, a na otaczającym go trawniku stało około pięćdziesięciu

małych drewnianych kabin kąpielowych.

— Tu śpią chłopcy, a w domu dziewczęta — wyjaśnił Meredith. — Przypuszczam, że nic tu pana nie zainteresuje. Wszystkie pokoje podzielono. Tam była również niewielka oranżeria. Teraz nowi właściciele wybudowali loggię. No, cóż? Zapewne dobrze się tutaj bawią podczas wakacji. Trudno utrzymać wszystko tak, jak było dawniej, chociaż to wielka szkoda. — Odwrócił się raptownie. — Zejdziemy inną drogą. Wszystko. wszystko staje mi na nowo przed oczami... Widma przeszłości... Wszędzie widma.

Wrócili do przystani inną, trochę dłuższą i bardziej krętą ścieżką. Szli w

milczeniu. Poirot nie chciał niepokoić towarzysza pogrążonego w smutnych wspomnieniach.

Gdy znaleźli się znów przy Handcross Manor, Meredith Blake rzekł nagle:

— Wie pan? Kupiłem ten obraz. Ten, który Amyas wtedy malował. Nie mogłem po prostu znieść myśli, że kupi go ktoś obcy, dlatego że związana z nim jest jakaś sensacja i że jacyś ludzie, żądni niezdrowych wrażeń, będą się na niego gapili. Wspaniałe płótno. Sam Amyas twierdził, że nigdy w życiu nie namalował nic lepszego. Miał słuszność. Portret był prawie skończony. Amyas chciał jeszcze tylko popracować nad

nim dzień czy dwa. Czy pan... czy ma pan ochotę go obejrzeć?

— Ależ oczywiście! — rzekł skwapliwie Poirot.

Blake poprowadził go przez hol i wyjął z kieszeni klucz. Otworzył jakieś drzwi i znaleźli się w obszernym, pachnącym nieco stęchlizną pokoju. Okna były szczelnie zasłonięte. Blake podniósł drewniane żaluzje. Z niejakim trudem otworzył jedno z okien i do pokoju wpadł strumień orzeźwiającego, wiosennego powietrza.

— Teraz jest lepiej — rzekł Meredith. Stał przy oknie, wciągając w płuca powietrze. Poirot przyłączył się do

niego. Nietrudno było domyślić się, do jakiego celu służył dawniej ten pokój. Półki były obecnie puste, ale pozostały na nich jeszcze ślady po butelkach. Przy jednej ze ścian był zlew i jakiś zniszczony aparat chemiczny. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

— Jak wyraźnie mi się teraz wszystko przypomina — rzekł Meredith, patrząc w okno. — Stałem właśnie tu, wdychając zapach jaśminu, i gadałem, gadałem jak głupiec o moich wspaniałych wywarach i ekstraktach.

Poirot w roztargnieniu wysunął rękę przez okno. Przyciągnął gałązkę jaśminu pokrytą ledwie rozwijającymi się listkami. Meredith Blake odwrócił się i



zdecydowanym krokiem przeszedł przez pokój. Na jednej ze ścian wisiał obraz zasłonięty płótnem. Meredith nagłym ruchem zerwał zasłonę.

Poirotowi dech zapało w piersi. Do tej pory widział tylko cztery obrazy Amyasa Crale'a: dwa w Tate Gallery, jeden u londyńskiego handlarza obrazów i tamte róże u Filipa. Teraz jednak patrzył na obraz, uznany przez samego malarza za jego najlepsze dzieło. Zrozumiał od razu, jakim wielkim artystą musiał być ten człowiek.

Obraz wydawał się banalny. Na pierwszy rzut oka można by go nawet wziąć za plakat, tak ostre na pozór były

w nim kontrasty. Dziewczyna. Młoda dziewczyna w kanarkowożółtym sweterku i granatowych spodniach siedziała w pełnym słońcu na szarej kamiennej balustradzie, mając za tło intensywny błękit morza. Zupełnie plakatowy temat.

Ale owo pierwsze wrażenie było zwodnicze. Była to jakaś subtelna deformacja — światło miało zadziwiający blask i niezwykłą jasność. A dziewczyna...

Tak, to było uosobienie życia. Wszystko, co jest, co może być życiem, młodością oślepiająco witalną. Twarz promieniała życiem, a oczy... Ile w nich życia! Namiętna, żywiołowa młodość!

Oto więc, co pociągało Amyasa Crale'a w Elzie Greer; oto, co uczyniło go ślepym głuchym w stosunku do tego uosobienia łagodności, jakim była jego żona. Elza była samym życiem, samą młodością. Wspaniała, smukła, zwycięska, z dumnie odwróconą w bok głową, z oczami triumfującymi bezwstydnie. Patrzyła na widza bacznie, jakby wyczekująco.

Herkules Poirot rozłożył w zachwycie ręce.

— To wspaniałe, tak, to naprawdę wspaniałe!

Meredith Blake rzekł głosem zmienionym ze wzruszenia:

— Była taka młoda!...

Poirot skinął głową. W duchu mówił sobie: „Wymawiając te słowa: jaka młoda! co ludzie miewają na myśli? Jakaś istotę niewinną, bezbronną, wzruszającą. Ale młodość wcale nie jest taka! Jest szorstka, silna, mocna i — tak jest! — okrutna! I jeszcze jedno. Młodość łatwo zranić”.

Poszedł za gospodarzem do drzwi. Elza Greer, którą miał teraz z kolei odwiedzić, interesowała go obecnie znacznie żywiej niż przedtem. Jak obeszły się minione lata z tym namiętym, triumfującym, szorstkim dzieckiem? Jeszcze raz spojrzął na portret. Te oczy. Obserwują go...

obserwują... Jakby chciały mu coś powiedzieć... Przypuśćmy, że nie zrozumie ich wymowy? Czy żywy prototyp będzie w stanie mu to wytłumaczyć? A może te oczy mówią coś, o czym żywa kobieta wcale nie wie?

Taka pewność siebie, takie zwycięskie oczekiwanie!

A nagle wkroczyła śmierć i odebrała łup chciwym, drapieżnym, młodym ręką... I zgasło światło tych namiętnych, wyczekujących oczu. Jakie są teraz oczy Elzy Greer?

Wychodząc z pokoju, Poirot spojrzał jeszcze ostatni raz na obraz.

„Miała w sobie zbyt wiele życia”.

Poczuł, że budzi się w nim jakiś nieokreślony lęk.

# Rozdział ósmy

## Trzecia świnka mięsko zajadała...

W skrzynkach okiennych domu przy Brook Street rosły tulipany. Wewnątrz holu białe lilie, umieszczone w ogromnym wazonie, wysyłały ku otwartym drzwiom fale mocnej woni.

Kamerdyner w średnim wieku zabrał od Poirota kapelusz i laskę. Młodszy lokaj wyrósł jak spod ziemi wziął je z rąk kamerdynera, który zwrócił się do

Poirota tonem pełnym szacunku.

— Pan będzie łaskaw za mną.

Poirot poszedł za nim przez hol, a potem trzy schodki w dół. Otwarły się jakieś drzwi i kamerdyner zaanonsował go, wymawiając nazwisko zupełnie poprawnie. Następnie drzwi się za nim zamknęły, a z fotela przy kominku podniósł się wysoki, szczupły mężczyzna i podszedł do pana Poirota. Lord Dittisham miał pod czterdziestkę i prócz tego, że był parem Anglii, był jeszcze poetą. Dwa jego fantastyczne dramaty poetyckie zostały wystawione z wielkim nakładem kosztów i odniosły tzw. *succes d'estime*[6]. Miał wypukłe czoło, energiczny podbródek, a oczy i



usta niespodziewanie piękne.

— Proszę, niech pan spocznie, panie Poirot — rzekł.

Poirot usiadł i wziął papierosa, którym go poczęstował lord Dittisham. Gospodarz zamknął szkatułkę z papierosami, zapalił zapałkę i podał gościowi ogień. Gdy Poirot zapalił papierosa, lord Dittisham usiadł znowu i patrzył z namysłem na gościa. Wreszcie odezwał się:

— Pan chce się zobaczyć z moją żoną, wiem o tym.

— Lady Dittisham była łaskawa wyznaczyć mi ten dzień.

— Tak.

Po tych słowach nastąpiła pauza, aż wreszcie Poirot zapytał:

— Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw mojej wizycie?

Szczupłą, marzącą twarz rozjaśnił nagle szybki, niespodziewany uśmiech.

— Obiekcje mężów, panie Poirot, nie są w dzisiejszych czasach brane pod uwagę.

— Więc jednak ma pan obiekcje?

— Nie. Tego nie mogę powiedzieć. Muszę się jednak przyznać, że lękam się

trochę wrażenia, jakie ta wizyta może wyrzeć na mojej żonie. Będę zupełnie szczery. Przed wielu laty, kiedy moja żona była jeszcze młodziutką panną, przeżyła ciężką próbę. Powróciła do równowagi po tym wstrząsie. Sądzę nawet, że zupełnie już o wszystkim zapomniała. A teraz oto nagle zjawia się pan i pytania pańskie siłą rzeczy obudzą te dawne wspomnienia.

— Niezmiernie mi przykro — rzekł uprzejmie Poirot.

— Nie wiem wcale, jakie skutki to za sobą pociągnie.

— Mogę pana tylko zapewnić, że będę się starał być jak najdyskretniejszy

i uczynię wszystko, aby nie sprawić lady Dittisham przykrości. Przypuszczam, że żona pańska jest osobą słabowitą i nerwową.

Ku jego zdumieniu lord Dittisham wybuchnął niespodziewanym śmiechem.

— Elza? Elza jest silna jak koń!

— A więc?... — Poirot dyplomatycznie zawiesił głos. Cała ta sytuacja mocno go intrygowała.

— Moja żona jest odporna na wszelkiego rodzaju wstrząsy — rzekł lord Dittisham. — Nie wiem, czy domyśla się pan, czemu zgodziła się pana przyjąć?

— Przez ciekawość? — spytał spokojnie Poirot.

— Ach, widzę, że zdaje pan sobie z tego sprawę — odparł gospodarz, a w jego oczach mignął wyraz uznania.

— To rzecz niezmienna — stwierdził Poirot. — kobieta zawsze przyjmie detektywa prywatnego. Mężczyzna natomiast posyła go do wszystkich diabłów.

— Ale istnieją też kobiety, które mogłyby tak samo postąpić.

— Owszem, ale dopiero po zobaczeniu się z nim. Nigdy przedtem.

— Być może. — Lord Dittisham milczał chwilę, a potem spytał wprost: — O co chodzi w tej książce?

Herkules Poirot wzruszył ramionami.

— Wskrzesza się stare melodie, stare wodewile, stare kostiumy. Można także wskrzesić stare zbrodnie.

— Phi! — fuknął lord Dittisham.

— Może pan tak to ująć, jeżeli tak się panu podoba. Ale mówiąc: „phi!” nie zmieni pan natury ludzkiej. Zbrodnia jest dramatem. A żądza dramatu jest w gatunku ludzkim głęboko zakorzeniona.

— Wiem o tym — rzucił półgłosem

lord Dittisham.

— Rozumie więc pan, że książka zostanie napisana. Moja rola polega zaś na dopilnowaniu, żeby nie było w niej wielkich nieścisłości, żadnego zniekształcenia znanych faktów.

— Fakty stanowią chyba własność publiczną?

— Owszem, ale nie ich interpretacja.

— Jak pan to rozumie, panie Poirot?  
— spytał ostro lord Dittisham.

— Są różne sposoby interpretowania faktów, chociażby faktów historycznych. Weźmy przykład: napisano mnóstwo

książek o waszej szkockiej królowej, Marii Stuart, przedstawiając ją raz jako męczennicę, drugi raz jako kobietę niestałą i pozbawioną zasad moralnych, jako niezbyt mądrą świętą, jako morderczynię i intrygantkę, to znów jako ofiarę losu i okoliczności. Można wśród tego wybrać, co się chce.

— No, a w tym przypadku? Crale'a zabiła jego własna żona. Ten fakt jest bezsprzeczny. Podczas procesu rzucano na moją żonę zupełnie nieuzasadnione oszczerstwa. Musiano ją po wyroku po kryjomu wyprowadzić z sądu. Opinia publiczna bezapelacyjnie ją potępiła.

— Anglicy — rzekł Poirot — są ludźmi niezwykle moralnymi!



— To prawda, pał ich lichy! — powiedział lord Dittisham. — A pan? — dodał, patrząc na gościa.

— Ja... rzekł Poirot — prowadzę życie niesłychanie moralne. Ale to nie jest równoznaczne z posiadaniem zasad moralnych.

— Zastanawiałem się czasem, jaka była właściwie ta pani Crake — powiedział lord Dittisham. — Ta poza skrzywdzonej żony... Czuję, że musiało się za tym kryć coś innego.

— Pańska żona może coś o tym wiedzieć — przyznał Poirot.

— Moja żona nigdy ani słowem nawet nie wspomniała o tej sprawie.

Poirot spojrział na niego z zaciekawieniem.

— Ach, zaczynam rozumieć...

— Co pan zaczyna rozumieć? — spytał ostro lord Dittisham.

— Twórczą wyobraźnię poety — odpowiedział Poirot z ukłonem.

Lord Dittisham wstał z fotela i zadzwonił.

— Żona moja oczekuje pana — rzekł szorstko.

Drzwi się otworzyły.

— Proszę zaprowadzić pana Poirota do jaśnie pani.

Dwa piętra w górę, po miękkim dywanie, w którym zapadały się stopy. Przyćmione, ukryte światła. Wszędzie pieniądze, pieniądze... Nie za wiele natomiast gustu. W gabinecie lorda Dittishama panowała jakaś surowość — tu jednak, w pozostałej części domu, tylko rozrzutność. Wszystko, co tylko można mieć najkosztowniejszego. Niekoniecznie najefektowniejszego lub najładniejszego. Po prostu tylko „cena nie gra roli” w połączeniu z brakiem wyobraźni.

Poirot szepnął do siebie: „Mięsko? Tak jest! Mięsko!”

Pokój, do którego go wprowadzono, nie był zbyt duży, gdyż oficjalny salon znajdował się na pierwszym piętrze. Ten zaś był osobistym salonikiem pani domu, i ona sama stała przy kominku, w chwili gdy Poirota zaanonsowano i wprowadzono. W uszach zabrzmiały mu nagle słowa, których w żaden sposób nie mógł odpędzić: „Zmarła młodo...”

Takie bowiem wrażenie wywarła na nim od pierwszego wejrzenia lady Dittisham, ongi Elza Greer.

Nigdy by nie poznał w niej kobiety, której portret pokazał mu Meredith

Blake. W dziewczynie z portretu rzucała się w oczy przede wszystkim jej młodość, jej żywotność. W tej kobiecie natomiast nie widać było młodości, jak gdyby jej nigdy nie zaznała. A jednak dostrzegł to, czego nie dojrzał na obrazie Crale'a, że Elza jest piękna. Tak, kobieta, która podeszła, aby go powitać, była bardzo piękna. Z całą pewnością nie stara. Ileż mogła mieć lat? Najwyżej trzydzieści sześć. Jeżeli wówczas była dwudziestoletnią dziewczyną. Nieskazitelnie ułożone czarne włosy okalały kształtną główkę, rysy niemal klasyczne, cera wypielęgnowana, twarz podmalowana prześlicznie.

Poirot poczuł dziwne ukłucie w sercu. Może to z winy pana Jonathana, który cytował *Romea i Julię*... Stojąca przed nim kobieta nie miała w sobie nic z Julii, chyba żeby ktoś sobie wyobraził Julię, która przeżyła śmierć Romea. Bo przecież rzeczą zasadniczą w postaci Julii było to, że musiała umrzeć młodo.

Elza Gruer pozostała przy życiu...

Powitała gościa równym, dość monotonnym głosem:

— Bardzo mnie pan zainteresował, panie Poirot. Niechże pan usiądzie i powie, czego pan sobie ode mnie życzy?

„Ależ wcale ją to nie interesuje. Ją

nic nie interesuje” — pomyślał Poirot.

Wielkie szare oczy przypominały martwe jeziora.

Poirot przybrał, jak to miał w zwyczaju, pozę wyraźnie cudzoziemską. Zawołał więc:

— Jestem doprawdy skonfundowany, proszę pani! Ogromnie skonfundowany!

— Ależ dlaczego?

— Bo zdaję sobie sprawę, że ta rekonstrukcja minionego dramatu musi być dla pani bardzo bolesna.

Te słowa jak gdyby ją ubawiły. Tak,

to było rozbawienie, szczere rozbawienie.

Odezwała się po chwili:

— Podejrzewam, że to mój mąż podsunął panu tę myśl? Bo to on, zdaje się, pana tu powitał. Ale on tego zupełnie nie rozumie. Absolutnie nie rozumie i nigdy nie rozumiał. Nie jestem wcale przewrażliwioną osobą, za jaką mnie uważa.

W głosie jej ciągle jeszcze dźwięczało rozbawienie.

— Mój ojciec, proszę pana, był pomocnikiem młynarza. Własną pracą dorobił się fortuny. A do tego nie można



dojść, jeżeli się ma cienką skórę. Ja jestem taka sama jak ojciec.

„To prawda — pomyślał Poirot. — Osoba subtelna nigdy by się nie zgodziła na pobyt w domu Karoliny Crale”.

— Czego więc pan sobie życzy? — zapytała lady Dittisham.

— Czy jest pani pewna, że rekonstrukcja przeszłości nie sprawi pani bólu? — upewnił się Poirot.

Lady Dittisham zastanowiła się nad tym chwilę, zanim odpowiedziała, a Poirot zrozumiał nagle, że lady Dittisham jest osobą niezmiernie szczerą. Taka kobieta kłamie tylko z

konieczności, nigdy z zamiłowania.

— Nie, bólu to mi nie sprawi. Pragnęłabym nawet, żeby było inaczej.

— Czemu?

— To tak głupio nigdy nie odczuwać nic... nic — odpowiedziała niecierpliwie.

„Tak — pomyślał Poirot — Elza Greer nie żyje...”

— Bądź co bądź, to mi bardzo ułatwi zadanie — rzekł na głos.

— A co by pan chciał wiedzieć? — spytała wesoło lady Dittisham.

— Czy ma pani dobrą pamięć, madame?

— Chyba niezłą.

— I jest pani pewna, że nie będzie pani przykro odtworzyć szczegóły z tamtych dni?

— Będzie mi to najzupełniej obojętne. Człowieka boleć może tylko to, co się aktualnie dzieje.

— Wiem, że w stosunku do niektórych osób jest to prawda.

— Tego właśnie Edward, mój mąż, nie może zrozumieć. Jest przekonany, że ten proces i tak dalej, był dla mnie

ciężkim przejściem.

— A czyż tak nie było?

— Nie. Bardzo mnie to bawiło — powiedziała Elza Dittisham z odcieniem zadowolenia. — Boże, jak ten stary Depleach na mnie napadał. To diabeł wcielony, niech mi pan wierzy. Walka z nim sprawiała mi prawdziwą przyjemność. Nie udało mu się mnie zgnębić.

Spojrzała na Poirota z uśmiechem.

— Przypuszczam, że nie rozwiewam pańskich iluzji... Jako dwudziestoletnia dziewczyna powinnam była czuć się zmiażdżona, więc się ze wstydu, czy coś

w tym rodzaju. Ale ja nie. Nic mnie nie obchodziło, co o mnie mówią... Pragnęłam tylko jednego.

— A mianowicie?

— Oczywiście, żeby ją powieszono — rzekła Elza Dittisham.

Poirot przyjrzał się jej rękom. Piękne ręce o długich zagiętych paznokciach. Drapieżne ręce.

— Uważa pan, że jestem mściwa? — zapytała. — A więc, tak, jestem mściwa w stosunku do każdego, kto mnie skrzywdził. Ta kobieta była, moim zdaniem, wcieleniem podłości. Wiedziała, że Amyas mnie kocha, że ma

ją porzucić, więc go zabiła, byle mi go nie oddać. Nie uważa pan, że to szczyt podłości? — spytała, patrząc na Poirota.

— Pani nie ma zrozumienia ani współczucia dla zazdrości?

— Nie, chyba nie. Jeżeli się przegrało, to trudno. Jeżeli nie potrafisz utrzymać męża, pozwól mu odejść. Żądza posiadania jest dla mnie niezrozumiała.

— Może by pani to zrozumiała, gdyby pani wyszła za niego za mąż.

— Nie przypuszczam. Nie byliśmy...  
— Uśmiechnęła się nagle do Poirota. Uśmiech ten przeraził go, tak był zimny,

pozbawiony wszelkiego uczucia. —  
Chciałabym, żeby pan to dobrze  
zrozumiał — powiedziała. — Niech pan  
nie myśli, że Amyas uwiódł niewinną  
młodą dziewczynę. Nic podobnego! Z  
nas dwojga raczej ja ponosiłam za  
wszystko odpowiedzialność. Poznałam  
go na jakimś przyjęciu i zakochałam się  
w nim. Czułam, że muszę go zdobyć.

Trawestacja, groteskowa trawestacja,  
ale...

*...a cały los swój u stóp twoich złożę*

*i za mym panem pójdę na kraj  
świata...*

— Mimo, że był żonaty?

— „Osobom obcym wstęp wzbroniony”? Rzeczywistość wymaga czegoś więcej niż drukowanego ostrzeżenia. Jeżeli był nieszczęśliwy ze swoją żoną, a mógł być szczęśliwy ze mną, to czemu nie? Ma się tylko jedno życie...

— Ale przecież mówiono, że jego pożycie małżeńskie było całkiem szczęśliwe?

— Nic podobnego. — Elza potrząsnęła głową. — Żyli ze sobą jak pies z kotem. Zadręczała go... Och, to była okropna kobieta!

Wstała i zapaliła papierosa. Potem zwróciła się do Poirota z lekkim



uśmiechem.

— Może jestem dla niej niesprawiedliwa. Ale naprawdę uważam, że postępowała wstrętnie.

— To była wielka tragedia — rzekł powoli Poirot.

— Tak, to była wielka tragedia.

Odwróciła się ku niemu nagłym ruchem, a w monotonnej martwocie jej twarzy zadrgało coś żywego.

— To mnie zabiło. Rozumie pan? To mnie zabiło. Od tamtej chwili w moim życiu nie ma nic, zupełnie nic. — Zniżyła głos do szeptu. — Pustka!...

Jestem jak wypchana ryba w szklanej skrzyneczce — dodała z niecierpliwym ruchem ręki.

— Tak bardzo kochała pani Amyasa Crale'a?

Skinęła głową. Był to szybki ruch, pełen ufności, dziwnie wzruszający.

— Zawsze chyba byłam jednokierunkowa — dodała posępnie. — Sądzę, że powinnam była wbić sobie sztylet w serce jak Julia. Ale gdybym to zrobiła, przyznałabym tym samym, że jestem pobita... że życie mnie pokonało.

— Zamiast tego?

— Myślałam, że jeżeli przez to wszystko przebrnę, wszystko będzie znów jak dawniej. No i przebrnęłam. Nie miało to już dla mnie żadnego znaczenia. Postanowiłam wtedy, że poszukam sobie innego mężczyzny.

Tak, następnego mężczyzny. Poirot wyobrażał sobie jasno, jak starała się wykonać swoje brutalne postanowienie. Widział tę piękną i bogatą uwodzicielkę, jak usiłuje chciwymi, drapieżnymi rękami wypełnić pustkę życia. Małżeństwo ze słynnym lotnikiem, następnie podróżnik, ten jasnowłosy olbrzym Arnold Stevenson, być może fizycznie podobny do Amyasa Crale'a, no i powrót do sfer twórczych —

Dittisham!

— Nigdy nie byłam hipokrytką — rzekła Elza Dittisham. — Jest takie hiszpańskie przysłowie, które mi się zawsze bardzo podobało: „Pan Bóg mówi: bierz, co chcesz, i zapłać za to”. Tak właśnie robiłam. Brałam to, co chciałam, ale zawsze byłam gotowa zapłacić należytą cenę.

— Pani nie rozumie jednak, że są rzeczy, których nie można kupić — zauważył Poirot.

— Nie mam na myśli tylko pieniędzy — odparła, patrząc na niego przenikliwie.

— Ach, nie, nie. Rozumiem, co pani miała na myśli. Ale nie wszystko w życiu ma swoją cenę, tyle a tyle. Istnieją rzeczy, które nie są na sprzedaż.

— Bajki!

Detektyw uśmiechnął się lekko. W głosie jej zabrzmiała pewność siebie młynarczyka, który doszedł do majątku. Poczł nagle zalewającą go falę współczucia. Patrzył na tę gładką, bez określonego wieku twarz, na znużone oczy i przypomniał sobie dziewczynę, którą malował Amyas Crale.

— Proszę mi opowiedzieć o tej książce — powiedziała Elza. — Co ma na celu? Czyj to pomysł?

— Och, droga pani, jakież może być inny cel niż podanie wczorajszej sensacji w dzisiejszym sosie.

— Ale pan nie jest literatem.

— Nie, jestem rzeczoznawcą od zbrodni.

— Jest pan więc konsultantem przy pisaniu powieści kryminalnych?

— Nie zawsze. W tym konkretnym przypadku zwrócono się do mnie o to.

— Kto się zwrócił?

— Mam, jakby to powiedzieć, skontrolować tę książkę z ramienia

osoby zainteresowanej.

— Kto jest tą osobą?

— Panna Karla Lemarchant.

— Któż to taki?

— To córka Amyasa i Karoliny Crale'ów.

Elza przyglądała mu się przez chwilę, a potem powiedziała:

— Ach, rzeczywiście, było jeszcze dziecko. Pamiętam. Jest już pewnie dorosła.

— Tak, ma dwadzieścia jeden lat.

— A jak wygląda?

— Wysoka, ciemnowłosa, moim zdaniem, piękna. Przy tym ma odwagę i silną indywidualność.

— Chciałabym ją zobaczyć — powiedziała Elza w zamyśleniu.

— Ale ona być może wcale tego nie pragnie.

— A to dlaczego? — zapytała zdziwiona Elza. — Ach, rozumiem. Cóż za nonsens! Nie może przecież nic pamiętać. Miała wtedy najwyżej sześć lat.

— Wie jednak, że jej matkę skazano



za zabójstwo ojca.

— I sądzi, że to się stało z mojej winy?

— Taka interpretacja jest zupełnie prawdopodobna.

Elza wzruszyła ramionami.

— Co za głupota! Gdyby Karolina była rozsądna...

— Więc pani zupełnie nie czuje się odpowiedzialna?

— A dlaczegoż miałabym się czuć odpowiedzialna? Nie mam się czego wstydzić. Kochałam go. Byłby ze mną

szczęśliwy.

Spojrzała znowu na Poirota i w tej chwili twarz jej zupełnie się zmieniła — niewiarygodnie, raptownie. Ujrzał teraz dziewczynę z portretu Crale'a.

— Gdybym potrafiła to panu wytłumaczyć... Gdyby pan to mógł ujrzeć z mojego punktu widzenia. Gdyby pan wiedział...

— Ależ mnie o to właśnie idzie — rzekł Poirot, pochylając się ku niej. — Proszę posłuchać: Filip Blake, który był wtedy w Alderbury, ma mi opisać szczegółowo wszystko, co się stało. Tak samo pan Meredith Blake. Gdyby pani także...

Elza Dittisham głęboko odetchnęła i powiedziała tonem lekceważenia:

— Ach, ci dwaj! Filip zawsze był głupcem. Meredith dreptał za Karoliną, ale to kochany chłopiec. Ale z ich opisów nic pan się naprawdę nie dowie.

Poirot obserwował ją uważnie. Oczywiście nabrały blasku, martwa kobieta zaczynała powracać do życia. Powiedziała szybko i jakby wyzywająco:

— Chce pan znać prawdę? Ach, nie dla publikacji oczywiście, ale po prostu dla siebie...

— Zobowiązę się niczego nie

ogłaszać bez pani zgody.

— Chciałabym opisać, jak to było rzeczywiście. — Umilkła i zamyśliła się. Gładka jędrność jej policzków przybrała odmienny kształt — kształt młodości. Życie pulsowało w niej coraz mocniej pod wpływem głosu przeszłości.

— Przypomnieć sobie wszystko... wszystko opisać. Dowieść panu, kim ona była...

Oczy jej błysnęły — pierś podniosła się gwałtownie.

— Zabiła go. Zabiła Amyasa; Amyasa, który chciał żyć, który kochał

życie. Nienawiść nie powinna być mocniejsza od miłości, a jednak jej nienawiść była mocniejsza. I moja nienawiść do niej także. Nienawidzę jej, nienawidzę, nienawidzę...

Podeszła do Poirota. Zatrzymała się, zaciskając palce na rękawie jego ubrania. Powiedziała z naciskiem:

— Musi pan zrozumieć... musi pan zrozumieć, czym byliśmy dla siebie. Amyas i ja. Mam coś... zaraz panu pokażę.

Przebiegła przez pokój. Otworzyła małe biureczko, wysunęła szufladkę, ukrytą w jednym z przedziałów. Wróciła w okamgnieniu, trzymając w dłoni

zgnieciony list, na którym wyblakłym już atramentem widniały nakreślone słowa. Wcisnęła mu go do ręki i Poirot przypomniał sobie naraz pewne znajome dziecko, które tak samo wcisnęło mu do ręki swój skarb — jakąś wspaniałą muszelkę znaną na plaży i skrzętnie przechowywaną. Dziecko stało zupełnie tak samo i obserwowało go pilnie: dumne, a zarazem pełne lęku, badając uważnie jego reakcję na ten skarb. Rozwinął wyblakłe kartki.

*Elzo! Cudowna moja dziewczyno!  
Nigdy na świecie nie było nic równie  
pięknego jak ty. A jednak — boję się.  
Jestem za stary. Starszawy, nieznośny*

*typ, niezdolny do stałości. Nie ufaj mi. Nie wierz mi. Poza moją sztuką nie jestem nic wart. W niej jest wszystko, co mam najlepszego. Pamiętaj, że cię ostrzegałem. Tam, do diabła, moja śliczna! Mimo wszystko — muszę cię mieć! Pójdę za tobą do piekła i wiesz o tym dobrze. I namaluje taki twój portret, że cały ten głupi świat gębę rozdziawi! Szaleję za tobą... Nie mogę spać, nie mogę jeść... Elzo! Elzo! Jestem twój na całe życie — twój aż do śmierci — Amyas.*

Szesnaście lat temu. Wyblakły atrament, zmięty papier. Ale słowa

wciąż żyją — wciąż jeszcze wibrują...

Spojrzał na kobietę, do której te słowa były pisane.

Ale to już nie była tamta kobieta. Miał przed sobą zakochaną dziewczynę.

Pomyślał znowu o Julii...



# Rozdział dziewiąty

## Czwarta świnka nic nie miała...

— Czy wolno spytać, po co, panie Poirot?

Herkules Poirot zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią. Czuł na sobie spojrzenie bystrych szarych oczu w drobnej, zwiędłej twarzy.

Wdrapał się na najwyższe piętro i zapukał do drzwi opatrzonych numerem

584 Gillespie Building — ponurego budynku, który zbudowano specjalnie na „kawalerki” dla pracujących kobiet.

Tu, w małym kwadratowym pomieszczeniu, mieszkała panna Cecylia Williams. Pokój był równocześnie pokojem sypialnym, bawialnym, jadalnym i kuchenką. Coś w rodzaju przyległej kwadratowej nory czy wnęki mieściło w sobie ćwierć normalnej wanny i inne wygody.

Nawet na tak mizernym otoczeniu panna Williams potrafiła wycisnąć piętno swej indywidualności. Na pofalowanych na ascetyczny bladoszary kolor ścianach rozwieszono były różne reprodukcje. Między innymi *Spotkanie*

*Dantego z Beatrycze na moście* i ów obraz, o którym pewne dziecko powiedziało, że jest to „niewidoma dziewczynka, która siedzi na pomarańczy, i nie wiem, dlaczego nazywa się Nadzieja”. Oprócz tego dwie weneckie akwarelki i robiona sepią kopia botticellowskiej *Primavery*. Na niskiej komodzie stało sporo wyblakłych fotografii przedstawiających osoby — sądząc z koafur kobiet — sprzed dwudziestu czy trzydziestu lat. Kwantowy dywan był mocno wydeptany, meble zniszczone, tanie. Dla Herkulesa Poirota było jasne, że panna Cecylia Williams pędzi żywot bardziej niż skromny. Tutaj na pewno nie było „mięska”. To była ta mała świnka, która

nie dostała nic.

Panna Williams tonem dobitnym i prawie rozkazującym powtórzyła pytanie:

— Chce pan, żebym opowiedziała swoje wspomnienia z procesu pani Crale? Czy wolno zapytać, po co to panu?

Niektórzy przyjaciele i znajomi Herkulesa Poirota twierdzili w momentach, kiedy ich najbardziej irytował, że woli kłamstwo od prawdy i dochodzi do celu raczej za pomocą skomplikowanych łągarstw aniżeli prostej prawdy. W tym jednak wypadku Poirot szybko powziął decyzję. Nie

pochodził wprawdzie ze sfery belgijskich czy francuskich dzieci, które miały angielskie guwernantki, ale zareagował w sposób równie bezpośredni jak wielu innych małych chłopców, pytanych w swoim czasie przez pannę Williams: „Czy umyłeś rano zęby, Haroldku (albo Rysiu czy Tony)?” Chłopcy tacy chwileczkę się wahali, czyby nie skłamać, natychmiast jednak tę możliwość odrzucali i przyznawali się nieszczęśliwym głosem: „Nie, proszę pani!” Bo panna Williams posiadała tę tajemniczą cechę, którą powinna mieć każda prawdziwa wychowawczyni — autorytet! Gdy panna Williams mówiła: „Johny, idź umyć ręce” lub „Chciałabym, żebyś przeczytał sobie ten

rozdział o poetach z epoki elżbietańskiej i odpowiedział mi potem na pytania” — zawsze jej bezapelacyjnie słuchano. Pannie Williams w ogóle nigdy nie przyszło do głowy, że można by jej nie słuchać.

Toteż pan Herkules Poirot nie próbował wcale opowiadać o książce na temat dawnych zbrodni. Zamiast tego opowiedział po prostu, w jakich okolicznościach odwiedziła go panna Karla Lemarchant.

Drobna, starsza pani w schludnej, acz wytartej sukni wysłuchiwała go uważnie.

— Bardzo mnie interesują wszelkie wiadomości o tej dziewczynce — rzekła

w końcu. — Co z niej wyrosło?

— Wyrosła na czarującą i przystojną młodą kobietę, która ma odwagę i wie, czego chce.

— To dobrze — rzekła krótko panna Williams.

— W dodatku, muszę powiedzieć, że to osóbką bardzo uparta. Niełatwo jej odmówić lub zbyć ją jakimiś wykrętami.

Eks-guvernanka skinęła potakująco i spytała jeszcze:

— Czy wykazuje jakieś zdolności artystyczne?

— Zdaje się, że nie.

— No, to chwala Bogu — rzekła oschle panna Williams. Ton, jakim wypowiedziała to zdanie, nie pozostawiał żadnej wątpliwości, co do jej nastawienia pod tym względem. Po chwili dodała: — Z pańskiego opisu wnoszę, że jest raczej podobna do matki niż do ojca.

— Być może. Będzie mi to pani mogła powiedzieć, jak ją pani zobaczy. Pani chciałaby ją zobaczyć?

— Bardzo nawet. Zawsze mnie interesuje, co wyrosło z dzieci, które kiedyś znałam.



— Była chyba jeszcze bardzo mała, kiedy ją pani widziała po raz ostatni?

— Miała pięć i pół roku. Urocze dziecko... może tylko trochę za spokojna, zawsze jakby zamyślona. Bawiła się chętnie sama i nie lubiła zapraszać innych dzieci. Bardzo naturalna i nie zepsuta.

— To całe szczęście, że była w owym okresie jeszcze taka mała — zauważył Poirot.

— Oczywiście. Gdyby była starsza, to wstrząs wywołany tragedią mógł mieć bardzo niepożądane rezultaty.

— Niemniej jednak — rzeki Poirot —

sprawa musiała się jakoś na niej odbić. Chociaż dziewczyna wówczas niewiele rozumiała i wiedziała, jednak musiała tam być atmosfera tajemnicy i nieдомówień, a potem jakby gwałtowna zmiana warunków. Tego rodzaju rzeczy nigdy nie wychodzą dziecku na dobre.

— Może jednak były dla niej mniej szkodliwe, niż pan to sobie wyobraża — odpowiedziała po namyśle panna Williams.

— Póki mówimy o Karli Lemarchant, czyli ówczesnej małej Karolinie Crale, chciałbym o coś panią zapytać. Jestem przekonany, że właśnie pani powinna mi na to najlepiej odpowiedzieć...

— Co takiego mianowicie? — spytała z rezerwą.

Poirot rozłożył ręce, usiłując sformułować swoją myśl.

— Tu jest coś... jakiś niuans, na który nie mogę znaleźć bliższego określenia. Mam wrażenie, ilekroć wspomnę o tym dziecku, że nikt nie umie mi o nim nic powiedzieć. Wszyscy odpowiadają z lekkim zdziwieniem, jak gdyby zapomnieli, że tam w ogóle było jakieś dziecko. Przyzna pani przecież, *mademoiselle*, że to nie jest rzecz naturalna? W tych okolicznościach dziecko jest czynnikiem bardzo doniosłym: może nie samo przez się, ale jako punkt, wokoło którego wszystko się

obraca. Może Amyas Crale miał powody, a może nie miał, żeby porzucić żonę, ale na ogół przy rozchodzeniu się małżeństwa dziecko odgrywa bardzo ważną rolę. A tutaj o dziecku prawie że się nie wspomina. Wydaje mi się to bardzo dziwne.

Panna Williams odpowiedziała szybko:

— Pańska uwaga jest bardzo trafna, panie Poirot. Ma pan zupełną słuszność. I po części dlatego właśnie powiedziałam przed chwilą, że przeniesienie Karli w inne otoczenie mogło być dla niej pod pewnymi względami bardzo korzystne. Widzi pan,

z czasem mogłaby odczuwać pewien brak w swym życiu. — Pochyliła się ku panu Poirotowi i mówiła powoli, starannie dobierając słowa: — Rzecz jasna, że w toku mojej kariery nauczycielskiej miałam możliwość stykania się z najróżnorodniejszymi rodzajami rodziców i dzieci. Dużo dzieci — powiedziałabym raczej większość dzieci, cierpi na nadmiar troskliwości ze strony rodziców. Za wiele okazują im miłości, za wiele uwagi. Dziecko podświadomie przyjmuje niechętnie te objawy uczuć i stara się z nich wyzwolić. Chce być wolne, wymknąć się spod nieustannej obserwacji. Stosuje się to w szczególności do jedynaków, a

naturalnie, że najgorsze są zwykle matki. Skutki takiego postępowania nierzadko odbijają się bardzo ujemnie na małżeństwie. Mąż irytuje się, iż zajmuje drugie miejsce, szuka pocieszenia, czy raczej może pochlebstwa i uwagi, poza domem. Rezultatem, wcześniej czy później, jest rozwód. Moim zdaniem najlepszą taktyką wobec dziecka jest, że tak powiem, zdrowe zaniedbanie ze strony obojga rodziców. To objaw naturalny w rodzinach, gdzie jest dużo dzieci, a ograniczone środki materialne. Zaniedbuje się dzieci z konieczności, bo matka nie ma dla nich czasu. Dzieci doskonale czują, że są kochane, ale nie zadręczą się ich przesadną wylewnością uczuć. Ale istnieje jeszcze drugi aspekt

tego zagadnienia. Spotyka się czasem takie małżeństwa, gdzie mąż i żona tak są zaabsorbowani sobą, że dziecko jest w ich życiu czymś niemal nierealnym. Wtedy przypuszczalnie dziecko ma za to żal do rodziców, czuje się oszukane i pobawione ciepła. Proszę nie rozumieć moich słów w ten sposób, że chodzi tu o jakiegokolwiek zaniedbanie. Pani Crale, na przykład, była tak zwaną idealną matką. Zawsze dbała o dobro swego dziecka, o jego zdrowie, bawiła się z nim w odpowiednich porach i zawsze była łagodna i wesoła. A mimo to w gruncie rzeczy myślała wyłącznie o mężu. Można by nawet powiedzieć, że istniała tylko dla niego i przez niego. — Panna Williams zrobiła pauzę, po czym

dodała ciszej nieco: — Tu, sędzę, należałoby szukać usprawiedliwienia dla jej czynu.

— Chce pani powiedzieć, że byli bardziej kochankami niż małżeństwem?  
— zapytał Poirot.

Panna Williams odpowiedziała z lekkim grymasem niesmaku z powodu tej obcej sobie frazeologii:

— Można to bez wątpienia ująć w ten sposób.

— A czy on był tak samo oddany żonie jak ona jemu?

— Byli sobie nawzajem bardzo



oddani. Ale on, oczywiście, był mężczyzną.

Panna Williams nadała ostatniemu słowu prawdziwie wiktoriański odcień.

— Mężczyźni — zaczęła panna Williams i raptem urwała.

Panna Williams powiedziała „mężczyźni” takim tonem, jakim bogacz wymawia słowo „bolszewicy”, ideowy komunista słowo „kapitaliści”, a dobra gospodyni — „karaluchy”.

Z jej staropanieńskiego, nauczycielskiego żywota szedł jakiś powiew nieposkromionego feminizmu. Każdy, kto słyszał pannę Williams, nie

mógł ani na chwilę wątpić, że dla niej „mężczyźni” byli równoznacznymi z wrogami.

— Pani nie jest zbyt wysokiego mniemania o mężczyznach? — spytał Poirot.

— Mężczyźni mają na tym świecie wszystko, co najlepsze — odpowiedziała twardo panna Williams.

— Mam jednak nadzieję, że nie zawsze tak będzie.

Poirot przyglądał się jej uważnie. Doskonale mógł sobie wyobrazić pannę Williams systematycznie i dokładnie przywiązującą się dla demonstracji

łańcuchem z kłódką do poręczy albo przeprowadzającą wytrwale strajk godowy. Konkretyzując jednak sprawy ogólne, spytał:

— Nie lubiła pani Amyasa Crale’a?

— Rzecz prosta, że nie, i nie pochwalam jego postępowania. Gdybym była jego żoną, odeszłabym od niego bez namysłu. Są rzeczy, których żadna kobieta nie powinna tolerować.

— Ale pani Crale je tolerowała.

— Tak jest.

— Pani zdaniem, niesłusznie?

— Oczywiście. Kobieta powinna się szanować i nie pozwolić się upokarzać.

— Czy wypowiadała pani kiedyś tego rodzaju poglądy wobec pani Crale?

— Naturalnie, że nie. Nie czułam się do tego powołana. Zaangażowano mnie po to, żebym wychowywała Angelę, a nie po to, bym udzielała nieproszonych rad pani Crale. Byłoby to wysoce niewłaściwe z mojej strony. Wprost impertynenckie.

— Pani lubiła panią Crale?

— Bardzo ją lubiłam. — Energiczny dotychczas głos panny Williams złagodniał i nabrzmiał uczuciem. —

Lubiłam i niezmiernie jej żałowałam —  
dodała.

— A pani uczennicę, Angelę Warren?

— To była bardzo interesująca dziewczynka, jedna z najbardziej interesujących uczennic, jakie miałam. Prawdziwie niezwykły umysł. Trochę niezdyscyplinowana, wybuchowa, pod wieloma względami bardzo trudna do prowadzenia, ale wspaniały charakter — po krótkim milczeniu ciągnęła dalej: — Zawsze wierzyłam, że Angela dokona w życiu czegoś niezwykłego. Tak się też stało. Czytał pan pewnie jej książkę o Saharze? Dokonała tych niezwykle interesujących odkryć archeologicznych w Fayum! Tak jest, dumna jestem z

Angeli. Nie byłam specjalnie długo w Alderbury, zaledwie dwa i pół roku, ale zawsze droga mi jest myśl, że dopomogłam w rozwoju jej umysłu i zachęciłam do studiowania archeologii.

— Słyszałam, że zapadło postanowienie, aby kontynuowała naukę w szkole, dokąd ją zamierzano wysłać — powiedział Poirot. — Pani musiała być bardzo przeciwna temu projektowi?

— Wcale nie, proszę pana. Całkowicie go popierałam.

— Po pauzie mówiła dalej: — Chciałabym to panu wyjaśnić. Angela była kochaną dziewczyną, naprawdę kochaną, miała bardzo dobre serce, a

przy tym taka impulsywna! A równocześnie, jak już przedtem podkreśliłam, trudna do prowadzenia, może raczej należałoby powiedzieć, że przechodziła trudny wiek. Taki przełomowy okres, kiedy dziewczynka jest taka nie bardzo pewna, czy jest jeszcze dzieckiem, czy dorosłą panną. Raz była rozsądna i dojrzała, zupełnie już dorosła, aby po minucie stać się znów rozbrykanym dzieckiem, płatającym najdziksze figle, wybuchowym, niegrzecznym. Dziewczęta w tym wieku są niesłychanie wrażliwe, proszę pana, gniewa je wszystko, cokolwiek się powie. Taką dziewczynę drażni, jeśli się ją traktuje jak dziecko, a za chwilę czuje się

zażenowana, jeżeli do niej mówić jak do osoby dorosłej. Angela właśnie znajdowała się w tym stadium. Miała napady złego humoru, nagle obrażała się za żarty i wybuchała. Potrafiła dąsać się całymi dniami i siedzieć nachmurzona i naburmuszona. Potem wpadała raptem w dziką wesołość, wdrapywała się na drzewa, ścigała się z chłopcami ogrodnika i buntowała się przeciwko wszelkiemu przymusowi.

Kiedy dziewczynka dochodzi do tego wieku, szkoła bardzo dobrze jej robi. Z jednej strony daje pewne bodźce, wychodzące od innych dziewcząt, z drugiej zaś uczy społecznego zdyscyplinowania, co przyczynia się do



wychowania użytecznego członka społeczeństwa. Domowe warunki Angeli nie były wcale idealne. Przede wszystkim, pani Crale ją rozpieszczała. Wystarczyło, żeby się w jakiegokolwiek sprawie do niej zwróciła, a pani Crale brała zawsze jej stronę. W rezultacie Angela uważała, że ma pierwszeństwo, jeżeli chodzi o czas i miłość starszej siostry — i wtedy właśnie najczęściej następowały utarczki z panem Crale'em. Pan Crale, oczywiście, był zdania, że to on powinien być na pierwszym miejscu i do tego też zmierzał. W gruncie rzeczy bardzo lubił Angelę. Byli doskonałymi kompanami i świetnie potrafili się razem bawić, ale zdarzały się okresy, kiedy pan Crale złościł się z powodu

względów okazywanych Angeli przez panią Crale. Jak wszyscy mężczyźni był rozpieszczonym dzieckiem. Zdawało mu się, że wszystko musi się kręcić wokół niego. Wówczas następowały gwałtowne sceny między nim a Angelą i bardzo często pani Crale stawiała po stronie siostry. To doprowadzało go do furii. A znowu jeżeli pani Crale przyłączała się do jego zdania, Angela wpadała w nieopisaną złość! Właśnie w takich wypadkach stawiała się znowu psotnym dzieckiem i płatała mu diabelskie figle. Miał zwyczaj wypijania duszkiem napojów i pamiętam, że raz Angela wsypała mu do szklanki całą garść soli. Podziałało to, oczywiście, jak emetyk i trudno opisać

jego wściekłość. Ale kryzys nastąpił dopiero wtedy, kiedy włożyła mu do łóżka garść ślimaków. Czuł dziwną awersję do ślimaków. Wpadł w pasję i oświadczył, że dziewczynkę trzeba wysłać do szkoły. Dość już miał tych psych figłów. Angela była okropnie zmartwiona, chociaż prawdę powiedziawszy, raz czy dwa razy sama wyraziła chęć pójścia do internatu. Postanowiła jednak grać rolę strasznie pokrzywdzonej. Pani Crale była przeciwna wysłaniu Angeli do szkoły, dała się jednak przekonać — głównie, zdaje się, dzięki perswazjom z mojej strony. Tłumaczyłam jej, że będzie to tylko z korzyścią dla Angeli i że ja osobiście uważam to za bardzo

wskazane. Postanowiono więc, że Angela pojedzie na jesieni do Helston, do doskonałej szkoły z internatem na południowym wybrzeżu Anglii. Mimo to pani Crale przez całe wakacje była bardzo tym przybita, a Angela miała urazę do pana Crale'a, kiedy sobie o tym przypominała. Nie było to w gruncie rzeczy nic poważnego, proszę pana, ale wytworzyło tego lata w domu państwa Crale'ów pewnego rodzaju podskórny prąd, równoległy do innych, rozgrywających się wtedy wypadków.

— Ma pani na myśli Elżę Greer? — spytał Poirot.

— Właśnie — odpowiedziała ostro panna Williams.

— A jakiego pani była o niej zdania?

— Nie miałam o niej w ogóle żadnego zdania. Ta młoda osoba była pozbawiona wszelkich zasad moralnych.

— Była wtedy jeszcze bardzo młoda.

— Ale dość dorosła, żeby się lepiej zachowywać. Nie widzę dla niej żadnego usprawiedliwienia. Absolutnie żadnego!

— Zakochała się w nim pewnie...

— Zakochała się! — parsknęła pogardliwie panna Williams. — Ośmielę się twierdzić, panie Poirot, że

bez względu na to, jakie żywimy uczucia, powinniśmy nad nimi panować. A już bezsprzecznie powinniśmy panować nad swoimi uczynkami. Ta dziewczyna jednak była na wskroś amoralna. To, że pan Crale był żonaty, nie miało dla niej najmniejszego znaczenia. W całej tej sprawie zachowywała się zupełnie bezwstydnie. Była zimna i zdeterminowana. Może ją źle wychowano, ale to jedyne usprawiedliwienie, jakie mogę dla niej znaleźć.

— Śmierć pana Crale'a musiała być dla niej strasznym wstrząsem.

— Och, bez wątpienia. I sobie wyłącznie mogła przypisać winę za to,

co się stało. Nie chcę posunąć się tak daleko, aby usprawiedliwić morderstwo, panie Poirot. ale jeżeli kiedykolwiek doprowadzono kobietę do ostateczności, to właśnie Karolinę Crale. Przyznam się szczerze, że bywały chwile, kiedy sama chętnie bym zamordowała tamtych oboje. Narzucać towarzystwo tej dziewczyny żonie, słuchać spokojnie wszystkich bezczelności, które ta rzucała żonie w twarz — a Elza była bezczelna, panie Poirot! Amyas Crale zasłużył na to, co go spotkało. Żadnemu mężczyźnie nie wolno bezkarnie postępować w ten sposób z żoną. Jego śmierć była po prostu tylko odkupieniem za ten postępek.

— Pani odczuwa to bardzo żywo — zauważył Poirot. Drobna kobieta spojrzała na niego nieugiętymi szarymi oczami i powiedziała:

— Jeżeli idzie o węzły małżeńskie, to rzeczywiście moje uczucia są bardzo mocne. Skoro bowiem nie będziemy szanowali tych więzów, cały kraj się zdegeneruje. Pani Crale była wierną i oddaną żoną. Mąż jednak sprowadził pod swój dach kochankę i narzucił jej towarzystwo żonie. Jak już powiedziałam, zasłużył na swój los. Sam ją pchnął do tego czynu i, jeżeli idzie o mnie, się nie potępiam jej za to, co zrobiła.

— Przyznaję, że postąpił bardzo



brzydko — zgodził się Poirot. — Ale proszę pamiętać, że to był wielki artysta.

Panna Williams znów parsknęła głośno.

— Oczywiście, wiem o tym. To są te dzisiejsze wymówki. Artysta! Tym się usprawiedliwia wszelką rozwiązłość, pijaństwo, burdy, zdrady. A ściśle biorąc, czy pan Crale był aż tak wielkim artystą? Moda na jego obrazy utrzyma się może jeszcze przez kilka lat. Ale to nie potrwa długo. Przecież on nie potrafił nawet poprawnie rysować! Perspektywa w jego obrazach była zawsze fatalna! Nawet nie znał się na anatomii. Wiem, co mówię, panie

Poirot, bo jako młoda dziewczyna studiowałam przez pewien okres malarstwo we Florencji i dla każdego, kto się trochę na nim zna i ceni wielkich mistrzów, kicze pana Crale'a są po prostu śmieszne! Ot, jakichś kilka kolorowych kleksów tu i ówdzie, żadnej kompozycji, śladu poprawnego rysunku. Nie! — tu pokiwała głową — nie skłoni mnie pan do zachwyty nad obrazami Crale'a.

— A jednak dwa z nich znajdują się w Galerii Tate — przypomniał pan Poirot.

Panna Williams pogardliwie pociągnęła nosem.

— Możliwe. Jest tam także, o ile mi

się zdaje, jedna z rzeźb pana Epsteina.

Pan Poirot zrozumiał, że panna Williams powiedziała już ostatnie słowo. Porzucił więc temat sztuki i spytał:

— Pani była z panią Crale, kiedy ona znalazła zwłoki?

— Tak. Wyszłyśmy obie z domu po lunchu. Angela zostawiła po kąpieli swój sweterek na plaży czy w łódce, już nie pamiętam. Zawsze rozrzucała wszędzie ubranie. Rozstałam się z panią Crale przy furtce „Baterii”, ale prawie natychmiast zawołała mnie z powrotem. Sądzę, że pan Crale nie żył już od godziny. Siedział rozparty na ławce

obok sztalug.

— Czy to odkrycie bardzo wstrząsnęło panią Crale?

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Pytam panią o pani wrażenie w owej chwili.

— Ach, rozumiem. Tak, w pierwszej chwili zupełnie osłupiała. Posłała mnie, żebym zatelefonowała do doktora. Przecież nie byłyśmy całkiem pewne, że już nie żyje, może to był jakiś atak katalepsji.

— Czy wyraziła takie przypuszczenie?

— Nie pamiętam...

— I poszła pani do telefonu?

Ton panny Williams stał się chłodny i szorstki.

— Byłam już w połowie ścieżki, gdy spotkałam pana Mereditha Blake'a. Powierzyłam mu zawiązanie doktora wróciłam do pani Crale. Obawiałam się, wie pan, że mogła zemdleć, a w takich wypadkach mężczyźni są do niczego.

— A czy rzeczywiście zemdląca?

— Nie, była całkowicie opanowana

— odpowiedziała sucho panna

Williams. — Różniła się w tym diametralnie od panny Greer, która zrobiła historyczną i bardzo nieprzyjemną scenę.

— Jakiego rodzaju scenę?

— Starła się zaatakować czynnie panią Crale.

— Sądzi pani, że podejrzewała, iż to pani Crale ponosi winę za śmierć męża?

Panna Williams zastanawiała się kilka sekund.

— Nie, przypuszczam, że nie mogła być tego pewna. To...hm... okropne podejrzenie jeszcze wówczas nie

przyszło nikomu na myśl. Panna Greer wrzasnęła tylko: „To twoja wina, Karolino! To ty go zabiłaś! To twoja wina, twoja!” Nie powiedziała dosłownie: „Ty go otrułaś”, ale — moim zdaniem — niewątpliwie tak myślała.

— A pani Crale?

Panna Williams niespokojnie poruszyła się na krześle.

— Czyż mam udawać, panie Poirot? Nie mogę panu odpowiedzieć na pytanie, co pani Crale faktycznie czuła lub myślała w tej chwili. I czy była wstrząśnięta tym, co robiła.

— Czy na to wyglądało?

— Nie... Nie mogłabym tego powiedzieć. Była oszołomiona. Tak... i jakby przerażona. Tak, jestem tego pewna, przerażona. Ale to całkiem naturalne.

— Tak, może to i naturalne... A oficjalnie, co sądziła o śmierci męża.

— Że to samobójstwo. Od samego początku twierdziła stanowczo, że to musiało być samobójstwo.

— Czy tak samo powtarzała, zostawszy z panią sam na sam, czy też miała jakąś inną teorię?



— Nie. Usiłowała wpoić we mnie przeświadczenie, że to było samobójstwo. — W tonie panny Williams zabrzmiało wyraźne zakłopotanie.

— A co pani jej na to odpowiedziała?

— Proszę pana, czy to ma jakieś istotne znaczenie, co ja odpowiedziałam?

— Owszem, w moim przekonaniu, tak.

— Nie rozumiem czemu — zaczęła opornie. Ale jego pełne wyczekiwania milczenie wywierało na nią widocznie jakiś hipnotyczny wpływ, bo rzekła w końcu niechętnie: — Zdaje się, że

powiedziałam: „Oczywiście proszę pani... to musiało być samobójstwo...”

— A czy pani wierzyła we własne słowa?

Panna Williams podniosła głowę i rzekła stanowczym tonem:

— Nie, nie wierzyłam. Ale proszę zrozumieć, panie Poirot, że stałam całkowicie po stronie pani Crale. Cała moja sympatia była przy niej, nie przy policji.

— I pragnęła pani, aby ją uniewinniono?

— Tak jest, pragnęłam tego —

odpowiedziała panna Williams  
wyzywająco.

— Więc pani podziela uczucia jej  
córkę?

— Cała moja sympatia jest po stronie  
Karli.

— Czy miałyby pani coś przeciwko  
temu, aby złożyć mi na piśmie dokładny  
opis całej tragedii?

— Chciałby pan dać jej to do  
przeczytania?

— Tak jest.

— Nie, nie mam nic przeciwko temu

— rzekła powoli panna Williams. — Karla jest całkiem zdecydowana dotrzeć do sedna sprawy, prawda?

— Tak. Wprawdzie byłoby może lepiej, gdyby ukryto przed nią prawdę...

Panna Williams przerwała mu:

— Nie. Zawsze jest lepiej spojrzeć prawdzie w oczy. Na nic się nie zda przeinaczanie faktów, żeby uniknąć cierpień. Prawda była dla Karli wielkim wstrząsem, teraz więc chce wiedzieć dokładnie, jak doszło do tej tragedii. To stanowisko wydaje mi się całkiem słuszne i dowodzi, że jest dzielną młodą kobietą. Skoro dowie się wszystkiego, będzie mogła zapomnieć i zająć się

znów własnym życiem.

— Może pani ma rację — zauważył Poirot.

— Jestem tego zupełnie pewna.

— Ale, widzi pani, chodzi o coś więcej. Ona nie tylko chce się dowiedzieć, ale chce dowieść, że jej matka była niewinna.

— Biedne dziecko — powiedziała panna Williams.

— Tak pani mówi?

— Teraz rozumiem, dlaczego pan powiedział, że może byłoby lepiej,

gdyby nigdy nie dowiedziała się prawdy. Mimo to sędzę, że tak jest lepiej. Pragnienie oczyszczenia pamięci matki jest zupełnie naturalne — i choćby prawda w rezultacie okazała się bardzo ciężka bolesna, sądząc z tego, co pan mówi, Karli nie zabraknie chyba hartu ducha.

— A pani jest pewna, że to prawda?

— Nie rozumiem?

— Nie widzi pani najmniejszej nawet luki, dzięki której można by podać w wątpliwość winę pani Crale?

— Nie sędzę, aby taka możliwość była kiedykolwiek brana poważnie pod

uwagę.

— A jednak ona sama trzymała się uparcie teorii samobójstwa.

— Nieszczęśliwa kobieta musiała przecież coś mówić — odparła oschle panna Williams.

— Czy wie pani o tym, że pani Crale przed śmiercią zostawiła list do córki, w którym zapewnia ją najsolewniej o swej niewinności?

Panna Williams otworzyła szeroko oczy.

— Postąpiła bardzo źle — rzekła twardo.

— Tak pan sądzi?

— Tak jest. Widzę, że jak większość mężczyzn, jest pan sentymentalny.

— Wcale nie jestem sentymentalny — oburzył się Poirot.

— Istnieją jednak fałszywe sentymenty. Po co kłamstwa w tak doniosłej chwili? Aby oszczędzić dziecku cierpień? Owszem, wiele kobiet postąpiłoby w ten sposób, ale nie spodziewałam się tego po pani Crale! Była kobietą odważną i prawdomówną. Byłoby bardziej w jej charakterze, gdyby prosiła córkę, by ta nie sądziła jej zbyt pochopnie.



— Więc ani na chwilę nie bierze pani pod uwagę możliwości, że Karolina Crale napisała prawdę? — spytał Poirot z lekką irytacją.

— Oczywiście, że nie!

— I twierdzi pani, że ją pani lubiła?

— Tak, lubiłam ją. Byłam do niej szczerze przywiązana i ogromnie jej współczułam.

— W takim razie...

Panna Williams spojrzała na niego z bardzo dziwnym wyrazem twarzy.

— Pan mnie nie rozumie, panie

Poirot. Minęło już tyle lat, że to, co powiem, nie ma już znaczenia. Ale widzi pan, ja przypadkiem wiem, że Karolina Crale była winna...

— Co...?

— To szczerą prawdą... Nie jestem pewna, czy postąpiłam właściwie, zatajając to, co wiedziałam, ale faktem jest, że coś zataiłam. Musi mi pan uwierzyć, kiedy powiem, że wiem ponad wszelką wątpliwość, iż Karolina Crale była winna...

# Rozdział dziesiąty

## Piąta świnka „kwi... kwi... kwi...” kwiczała...

Okna mieszkania Angeli Warren wychodziły na Regent Park. Owego wiosennego dnia przez otwarte okno napływały fale ciepłego powietrza i można było mieć złudzenie, że się jest na wsi, gdyby nie ciągły, groźny łoskot ruchu ulicznego, dobiegający z dołu.

Na odgłos otwierających się drzwi

Poirot odwrócił się od okna i stanął twarzą w twarz z Angelą Warren.

Widział ją dziś nie po raz pierwszy, gdyż niedawno poszedł specjalnie na jej odczyt, wygłoszony w Królewskim Towarzystwie Geograficznym. Odczyt był jego zdaniem znakomity, choć nieco może zbyt suchy jak na gusta przeciętnej publiczności. Panna Warren mówiła doskonale, bez niepotrzebnych pauz i szukania właściwych wyrażeń. Nie powtarzała się, głos miała czysty i dość melodyjny. Nie robiła żadnych ustępstw na rzecz łatwej romantyki czy zamięłowania do przygód. W odczycie nie było nic z popularnej, interesującej gawędy, tylko doskonałe zestawienie

ścisłych faktów, ilustrowane świetnie zdjęciami i zakończone wysnutymi z tych faktów, bardzo inteligentnymi wnioskami. Odczyt rzeczowy, przejrzysty, prawdziwie naukowy.

Serce Poirota rosło. Oto będzie miał wreszcie do czynienia z umysłem ścisłym i uporządkowanym.

Teraz widząc ją tak blisko, stwierdził, że Angela Warren mogła być bardzo piękna. Rysy jej, chociaż surowe, odznaczały się wielką regularnością. Miała piękne zarysowane ciemne brwi, inteligentne piwne oczy i delikatną jasną cerę. Tylko że ramiona jej były kwadratowe, a ruchy nieco męskie.

Nic w niej nie przypominało piątej małej świnki, ćwiczącej „kwi, kwi, kwi”. Ale przez prawy policzek, zniekształcając go i ściągając skórę, biegła owa blizna. Prawe oko było wskutek tego również trochę wykrzywione, z kącikiem ściągniętym w dół — nikt by jednak nie mógł się domyślić, że Angelą na to oko nie widzi. Herkulesowi Poirotowi wydało się prawie pewne, że oswoiła się już zupełnie ze swym kalectwem i nie zdaje sobie z niego wcale sprawy. Przyszło mu też na myśl, że spośród pięciu osób, z którymi się zetknął w związku z powierzoną mu sprawą, najwięcej szczęścia i powodzenia w życiu osiągnęli wcale nie ci, którzy przy

starcie posiadali najwięcej szans. Elza, która miała przecież wszystkie dane: młodość, urodę, majątek — nie zdobyła właściwie nic. Można by ją przyrównać do kwiatu zmrożonego przedwczesnym chłodem. Wciąż jeszcze kwiat, i już bez życia. Cecylia Williams na pozór nie mogła się poszczycić specjalnymi sukcesami. Niemniej jednak, w przekonaniu Poirota, nie było w niej rozczarowania ani goryczy. Życie interesowało ją, ciągle jeszcze ciekawili ją ludzie i wydarzenia. Posiadała tę olbrzymią umysłową i moralną przewagę surowego wiktoriańskiego wychowania, którego, niestety, w dzisiejszych czasach jesteśmy pozbawieni. Czła, że dobrze spełniła

swoje obowiązki na posterunku, na którym podobało się Bogu ją postawić, i przeświadczenie to opancerzyło ją przeciw strzałom zawiści, niezadowolenia i próżnego żalu. Miała swoje wspomnienia, swoje małe przyjemności za cenę jak najdalej posuniętych wyrzeczeń, wystarczająco dobre zdrowie i dość energii, aby nie stracić zainteresowania życiem.

W Angeli Warren, tej młodej istocie, w której życiu wielką przeszkodą było oszpecenie twarzy i wynikające stąd upokorzenia, Poirot widział silnego ducha, który wzmocnił się zdobywając pewność siebie i wiarę we własne siły. Niesforna uczennica zmieniła się w



żywą, silną kobietę, obdarzoną wybitnym umysłem i energią dość wielką, aby doprowadzić do celu swoje ambitne zamierzenia. Poirot wiedział, że Angela czuje się szczęśliwa i zadowolona z osiągniętych sukcesów. Życie jej było pełne, bogate, a przy tym bardzo urozmaicone. Poirot, nawiasem mówiąc, nie przepadał wcale za kobietami tego typu. Podziwiał wprawdzie precyzyjny, jasny umysł Angeli, ale jednocześnie — jako słaby mężczyzna — czuł pewien lęk przed tą, jak mówią Francuzi, *femme formidable*[7]. Gustował zawsze raczej w kobietach żywiołowych, kapryśnych i egzotycznych.

Porozumienie się z Angeli Warren co do celu wizyty nie nastroczało żadnych trudności. Nie potrzebował uciekać się do podstępów. Opowiedział jej tylko po prostu rozmowę z Karłą Lemarchant. Surową twarz Angeli Warren rozjaśnił wyraz uznania.

— Karolinka? Nie wiedziałam, że przyjechała. Bardzo bym się chciała z nią zobaczyć.

— Więc nie utrzymywała pani z nią kontaktu?

— Nie w takim stopniu, jak bym powinna. Kiedy wyjeżdżała do Kanady, byłam jeszcze w szkole, ale już wtedy zdawałam sobie sprawę, że za rok czy

dwa Karla zupełnie o nas zapomni. W ostatnich latach nasz kontakt ograniczał się do upominków gwiazdkowych od czasu do czasu. Przypuszczałam, że zaaklimatyzowała się już zupełnie w Kanadzie i że tam jest jej przyszłość. Biorąc pod uwagę okoliczności, byłoby to może i lepiej.

— Owszem, można by tak sądzić — przyznał Poirot. — Zmiana nazwiska, zmiana otoczenia. Nowe życie. Ale najwidoczniej w praktyce nie wyglądało to tak prosto.

Opowiedział o zaręczynach Karli, o odkryciu, którego dokonała po uzyskaniu pełnoletności, i o motywach, jakie ją skłoniły do przyjazdu.

Angela Warren słuchała spokojnie, oparłszy na dłoni swój zeszecony policzek. Podczas opowiadania nie odradziła żadnego wzruszenia, ale kiedy Poirot skończył, powiedziała cicho:

— To bardzo dzielnie ze strony Karli.

Poirot zdziwił się, po raz pierwszy bowiem spotkał tego rodzaju reakcję.

— Pani pochwała jej zamiar? — zapytał.

— Oczywiście, i życzę jej jak największego powodzenia. Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, by jej dopomóc. Widzi pan, czuję się trochę

winna, że sama nie starałam się nic zrobić w tym kierunku.

— Zdaniem pani istnieje więc jakieś prawdopodobieństwo, że ona ma słuszność?

— Oczywiście, że ma słuszność — odparła ostro Angela. — Karolina tego nie zrobiła. Zawsze byłam tego pewna.

— Słowa pani dziwią mnie ogromnie — rzekł cicho zaskoczony Poirot. — Wszyscy, z którymi rozmawiałem...

— Nie powinien pan na to zważać — przerwała mu gwałtownie. — Nie ulega wątpliwości, że wszystkie poszlaki przemawiają przeciwko niej. Moje

osobiste przekonanie opiera się na znajomości charakteru mojej siostry. Po prostu wiem z całą pewnością, że Karolina nie mogła nikogo zabić.

— Czy można twierdzić to z całą stanowczością o jakiegokolwiek ludzkiej istocie?

— W większości przypadków na ogół nie. Zgadzam się, że zwierzę ludzkie kryje w sobie moc przedziwnych niespodzianek. Ale w wypadku Karoliny były specjalne powody — i to powody, które ja, bardziej aniżeli kto inny, jestem w stanie ocenić. — Dotknęła palcami blizny. — Widzi pan tę bliznę? Słyszał pan o tym zapewne?

Poirot skinął potakująco.

— To zrobiła Karolina i właśnie dlatego nie tylko jestem przekonana, ale wiem, że nie popełniła zabójstwa.

— Większość ludzi nie uważałaby tego za argument zbyt przekonujący.

— Oczywiście, stanowiłoby to argument wręcz przeciwny. Nawet w ten sposób to interpretowano, o ile mi wiadomo: jako dowód, że Karolina miała usposobienie porywcze i gwałtowne. Ponieważ okaleczyła mnie, kiedy byłam małą, różni luminarze twierdzili, że mogła tym bardziej otruć niewiernego męża.

— W każdym razie zrozumiałem, jaka to różnica — zauważył Poirot. — Atak niepohamowanej wściekłości nie prowadzi bynajmniej do tego, żeby najpierw skraść gdzieś truciznę, a nazajutrz użyć jej z premedytacją.

Angela Warren machnęła niecierpliwie ręką.

— Wcale nie to miałam na myśli. Postaram się to panu jasno wytłumaczyć. Dajmy na to, że jest pan człowiekiem normalnym i łagodnym, ale równocześnie skłonny jest pan do uczucia gwałtownej zazdrości. I założmy, że w okresie dojrzewania, kiedy najtrudniej jest panować nad sobą, popełnił pan w furii coś równającego



się niemal zbrodni. Proszę pomyśleć o strasznym wstrząsie, o przerażeniu, o wyrzutach sumienia, które pan odczuje. Osoby o wrażliwości Karoliny przerażenie i wyrzuty sumienia nie opuszczą już nigdy, do końca życia. Jej w każdym razie nie opuściły. Wątpię, czy zdawałam sobie z tego wtedy sprawę, ale teraz patrząc wstecz, widzę to wyraźnie. Karolinę nieustannie prześladowała myśl, że mnie oszpeciła. Ta świadomość nie dawała jej ani chwili spokoju, odbijała się we wszystkich jej czynach. Tym też tłumaczył się jej stosunek do mnie. Nic nie było dla mnie dość dobre. W jej oczach ja musiałam być zawsze pierwsza. Połowa jej kłótni z Amyasem

wybuchła z mojego powodu. Bywałam o niego zazdrosna i płatałam mu różne figle. Ukradłam kiedyś kocie krople, żeby mu je wlać do piwa, a innym razem wsadziłam mu do łóżka jeża. Ale Karolina zawsze mnie broniła.

Panna Warren umilkła, a potem mówiła dalej:

— Rzecz prosta, że to nie wychodziło mi na dobre. Zrobiłam się nieznośna i rozpieszczona. Ale mniejsza o to, ważne jest, jakie to miało skutki dla Karoliny. A więc po owym fatalnym wybuchu żyła w nieustannym lęku, że to się może kiedyś powtórzyć. Wypracowała sobie własne metody, żeby się przed takim wybuchem ustrzec. Jedną z nich był

sposób wyrażania się. Sądziła — i jest to chyba psychologicznie uzasadnione — że im bardziej gwałtowna będzie w mowie, tym mniej będą ją kusiły gwałtowne czyny. Doświadczenie ją nauczyło, że metoda ta jest słuszna. Dlatego słyszałam często, jak Karo mówiła: „Chętnie bym tego a tego pokrajała na kawałki i smażyła we wrzącym oleju”. Albo potrafiła powiedzieć do mnie lub do Amyasa: „Jeżeli mnie będziesz tak męczyć, to cię zamorduję”. I w kłótniach była równie pobudliwa i gwałtowna. Zdawała sobie widać sprawę, że jest porywcza z natury i dawała w ten sposób upust swemu temperamentowi. Między Amyasem a nią dochodziło do potwornych wprost

awantur.

— Tak — potwierdził Herkules Poirot — słyszałem o tym. Mówiono mi, że żyli jak pies z kotem.

— Właśnie — rzekła Angela Warren. — Dlatego też wszelkie zeznania są przeważnie głupie i wprowadzają tylko w błąd. Pewnie, że Karolina i Amyas się kłócili! Owszem, mówili sobie rzeczy okropne. Ale nikt nie rozumie, że te kłótnie sprawiały im przyjemność. A to szczerą prawdą! Sprawiały przyjemność nie tylko Karolinie, Amyasowi także. Tacy już byli. Oboje lubowali się w dramatycznych sytuacjach i wzruszających scenach. Większość mężczyzn raczej tego nie

lubi, ceni spokój. Ale Amyas był artystą. Lubił wrzeszczeć, grozić i awanturować się. Była to dla niego jak gdyby klapa bezpieczeństwa. Należał do ludzi, którzy zgubiwszy spinkę, ryczą na cały dom. To brzmi dziwnie, wiem, ale ta burzliwa atmosfera z ustawicznymi kłótniami, czułymi pojednaniami, była Amyasowi i Karolinie niezbędna do życia. — Angela zrobiła gest zniecierpliwienia. — Gdyby mnie wtedy nie wysłali i pozwolili mi zeznawać, byłabym to wszystko powiedziała. — Wzruszyła ramionami. — Chociaż nie wiem, czyby mi uwierzono. A poza tym nie zdawałam sobie wtedy ze wszystkiego sprawy tak jasno jak teraz. To było coś, o czym wiedziałam, ale nie zastanawiałam się

nad tym nigdy, a już z pewnością nie próbowałam ująć tego w słowa. Czy pan rozumie, co mam na myśli?

Poirot skinął energicznie głową.

— Rozumiem doskonale i wiem, że to, co pani mówi, jest całkowicie słuszne. Są ludzie, dla których życie w zgodzie jest zbyt monotonne. Kłótnie są dla nich podniecią niezbędną do stworzenia pozorów dramatu w życiu.

— To właśnie miałam na myśli.

— Czy wolno zapytać panią, co pani sama odczuwała w tym okresie?

— Głównie oszołomienie i

bezradność — odpowiedziała z westchnieniem. — Wszystko wydawało mi się jakimś koszmarem. Karolinę wkrótce aresztowano, zdaje mi się, że już w trzy dni później. Do dzisiaj pamiętam moje oburzenie, moją bezsilną wściekłość, no i oczywiście dziecinną wiarę, że to tylko śmieszne nieporozumienie, że wszystko się da naprawić. Karolina przede wszystkim niepokoiła się o mnie: żądała, żeby trzymano mnie jak najdalej od całej sprawy. Kazała panie Williams odwieźć mnie czym prędzej do krewnych. Policja nie oponowała. A potem, kiedy uznano, że moje zeznania nie będą potrzebne, postanowiono wysłać mnie do szkoły za granicę. Nie

chciałam, oczywiście, jechać. Ale mi wytłumaczono, że Karolina bardzo się o mnie martwi i to jedyny sposób, w jaki mogę jej pomóc.

Po chwili milczenia opowiadała dalej:

— Wyjechałam więc do Monachium. Tam dowiedziałam się o wyroku. Nie pozwolono mi zobaczyć się z Karoliną, ona sobie tego nie życzyła. To chyba jedyny raz, kiedy Karolina nie chciała mnie zrozumieć.

— Nie powinna pani być tego pewna. Odwiedzenie w więzieniu osoby bliskiej i kochanej może wyrzucić niezatarte wrażenie na młodej subtelnej



dziewczynce.

— Być może. — Angela Warren wstała. — Po wyroku — rzekła — siostra napisała do mnie. Nie pokazywałam tego listu dotychczas nikomu, ale sędzę, że powinnam go teraz panu pokazać. Łatwiej pan zrozumie, kim była Karolina. Jeżeli pan sobie życzy, może pan ten list pokazać także Karli. — Poszła ku drzwiom. Od progu odwróciła się i powiedziała: — Proszę pójść ze mną. Mam w pokoju portret Karoliny.

Poirot po raz drugi oglądał portret kobiety.

Jako dzieło sztuki portret Karoliny

Crale był mierny. Poirot patrzył jednak na niego z zaciekawieniem, bo to nie strona artystyczna go interesowała.

Miał przed sobą szczupłą, owalną twarz, wdzięczny zarys podbródka i wyraz pełen słodczy i nieśmiałości. Była to twarz osoby pozbawionej pewności siebie, skłonnej do wzruszeń, twarz przepojona ukrytym, dyskretnym pięknem. Brakło w niej siły i żywotności, która cechowała twarz jej córki — ową energię i radość życia Karla Lemarchant odziedziczyła niewątpliwie po ojcu. Kobieta na portrecie była osobą znacznie mniej barwną. Jednak, patrząc na tę twarz, Herkules Poirot zrozumiał, dlaczego

człowiek obdarzony taką wyobraźnią jak Quentin Fogg, nie potrafił jej zapomnieć.

Angela Warren stanęła znowu przy Poirocie, trzymając w ręce list. Powiedziała cicho:

— Teraz, kiedy pan już wie, jak wyglądała, proszę przeczytać ten list.

Poirot rozwinął ostrożnie kartki i przeczytał słowa pisane przez Karolinę Crale przed szesnastu laty:

*Moja najdroższa maleńka Angelo!*

*Otrzymasz złe wiadomości i będziesz*

*się bardzo martwić, ale chodzi mi o to, żeby Cię przekonać, że wszystko jest w porządku. Nigdy Ci nie kłamałam i nie kłamię teraz, kiedy w gruncie rzeczy jestem szczęśliwa. Doznaję jakiegoś spokoju, poczucia wewnętrznej równowagi, którego nigdy dotychczas nie znałam.*

*Wszystko w porządku, Kochanie, wszystko w porządku. Nie oglądaj się na to, co było, niczego nie żałuj, nie martw się o mnie. Myśl o własnym życiu i niech ci się szczęści. Wiem, że potrafisz to szczęście sobie zdobyć. Wszystko, wszystko jest w porządku, Kochanie, a ja odchodzę do Amyasa. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że*

*będziemy razem. Nie mogłabym żyć bez niego.*

*Zrób dla mnie to jedno: bądź szczęśliwa. Jeszcze raz Cię zapewniam — ja jestem szczęśliwa. Każdy musi płacić swoje długi. A spokój to cudowne uczucie. Twoja kochająca siostra. Karo.*

Herkules Poirot przeczytał list dwukrotnie, po czym zwrócił go Angeli.

— To bardzo piękny list, proszę pani — rzekł — bardzo znamienny. Bardzo znamienny.

— Karolina była osobą niezwykłą.

— Tak, niezwykły umysł... Pani sądzi, że ten list jest dowodem jej niewinności?

— Bez wątpienia!

— Ale tutaj nie mówi się o tym wyraźnie.

— Bo Karo wiedziała doskonale, że ani przez chwilę nie wierzyłam w jej winę.

— Może... może... Ale można to inaczej rozumieć. Mianowicie, że była winna i w odkupieniu swojej zbrodni znalazła spokój.

„To by się zgadzało z opisem jej zachowania się w sądzie”— pomyślał. I w tej samej chwili poczuł najsilniejsze zwątpienie w wynik sprawy, której się podjął. Wszystko, jak dotąd, niezbitnie wskazywało na winę Karoliny Crale. Nawet jej własne słowa świadczyły przeciw niej.

Na drugiej szali miał tylko niezachwianą wiarę Angeli Warren. Angela niewątpliwie знаła ją bardzo dobrze, ale czy to przekonanie nie wynikało z fanatycznej lojalności dorastającej dziewczynki, walczącej o ukochaną siostrę?

Jak gdyby czytając w jego myślach, Angela Warren powiedziała:

— Nie, panie Poirot. Ja wiem, że Karolina nie była winna.

— Bóg widzi, że nie chcę pani odwozić od tego przekonania — rzekł żywo Poirot. — Ale bądźmy rozsądni. Pani powiada, że siostra była niewinna. Doskonale. Przyjmijmy, że tak jest. Cóż więc zaszło naprawdę?

Angela pokiwała w zamyśleniu głową.

— Sprawa jest trudna, przyznaję. Byłabym skłonna przypuszczać, że, jak twierdziła Karolina, Amyas popełnił samobójstwo.



— Czy to prawdopodobne, biorąc pod uwagę jego usposobienie?

— Dość nieprawdopodobne.

— Ale pani nie twierdzi, że w pani przekonaniu było to absolutnie niemożliwe?

— Nie, ponieważ, jak już poprzednio powiedziałam, większość ludzi robi rzeczy nieprawdopodobne — to znaczy rzeczy, które pozornie nie leżą w ich charakterze. Ale zakładamy, że gdyby się ich znało bardzo dobrze, okazałoby się, iż w gruncie rzeczy są one zgodne z ich charakterem.

— Czy pani dobrze znała swego

szwagra?

— Owszem, ale nie tak jak Karolinę. Samobójstwo Amyasa wydaje mi się rzeczą fantastyczną — ale przypuszczam, że on mógł je popełnić. Co więcej, musiał je popełnić.

— Nie widzi pani innego wytłumaczenia?

Angela przyjęła te słowa spokojnie, lecz nie bez pewnego zaciekawienia.

— O, rozumiem, co pan ma na myśli... Nigdy nie brałam pod uwagę tej możliwości. Sądzi pan, że go zabił ktoś z tamtych? Że to było morderstwo z premedytacją?

— Przecież to chyba możliwe?

— Owszem, możliwe. Ale wydaje się bardzo mało prawdopodobne.

— Mniej prawdopodobne niż samobójstwo?

— To trudno powiedzieć... Właściwie nie było powodu, aby podejrzewać kogokolwiek innego. A i teraz, gdy powracam myślą do tych czasów, również takiego powodu nie widzę.

— A jednak zastanówmy się nad tą możliwością: która z tych bezpośrednio zainteresowanych osób mogłaby to zrobić, jak pani sądzi?

— Zaraz, zaraz, niech trochę pomyślę. No więc, ja go nie zabiłam. No i ta wstrętna Elza też na pewno nie. Szalała z wściekłości po jego śmierci. Któż tam był jeszcze? Meredith Blake? Zawsze był bardzo oddany Karolinie, był u nich czymś w rodzaju kota domowego. Można by dopatrzeć się tu jakichś pobudek. W powieści może pragnąłby pozbyć się Amyasa, żeby poślubić Karolinę. Ale mógł dopiąć tego celu równie dobrze, pozwalając Amyasowi odejść z Elzą i starając się pocieszyć Karolinę. A poza tym doprawdy nie mogę sobie wyobrazić Mereditha jako mordercy. Zbyt był na to łagodny ostrożny. Któż tam był jeszcze?

— Panna Williams?... Filip Blake?  
— podsunął Poirot.

Poważna twarz Angeli odprężyla się na chwilę w uśmiechu.

— Panna Williams? Trudno mi uwierzyć, żeby moja guwernantka zdolna była do zbrodni! Panna Williams była zawsze taka nieugięta i pełna cnót wszelkich. I bardzo przywiązana do Karoliny — dodała po chwili. — Dla niej gotowa była zrobić wszystko. I nienawidziła Amyasa. Zawzięta feministka, nienawidząca mężczyzn. Ale czy to wystarcza, żeby popełnić zbrodnię? Chyba nie.

— Rzeczywiście, trudno w to

uwierzyć — przyznał Poirot.

— Filip Blake? — mówiła dalej Angela. Zastanowiła się, po czym powiedziała spokojnie: — Wie pan... jeżeli mówimy o prawdopodobieństwie, to on chyba jest najbardziej prawdopodobnym sprawcą.

— To ciekawe. Czy wolno zapytać, czemu pani tak sądzi?

— Nic określonego. Ale o ile go pamiętam, był człowiekiem raczej pozbawionym wyobraźni.

— A pani zdaniem brak wyobraźni predysponuje do zbrodni?

— Może doprowadzić człowieka do rozstrzygnięcia trudności życiowych w sposób bardzo drastyczny. Ludziom tego pokroju pewne czyny sprawiają określoną satysfakcję. Zbrodnia to rzecz brutalna — nie sądzi pan?

— Tak. ma pani rację... Taki pogląd ma swoje podstawy. Ale to jednak za mało, proszę pani. Cóż za powód miałby Filip Blake?

Angela Warren odpowiedziała nie od razu. Stała ze spuszczoną głową, wpatrzona w ziemię.

— Przecież to był najlepszy przyjaciel Amyasa, nieprawdaż? — dodał Poirot.

Angela potwierdziła skinieniem głowy.

— Ale pani ma coś konkretnego na myśli, panno Warren. Coś, czego mi pani jeszcze nie powiedziała. Może oni obaj rywalizowali z sobą o tę dziewczynę, o Elżę?

Angela potrząsnęła głową.

— Ona nic Filipa nie obchodziła, ach, nie!

— Cóż to więc jest?

Angela Warren powiedziała powoli:

— Jak to wszystko wypływa nagle w



pamięci po tylu latach. Postaram się wytłumaczyć, co mam na myśli. Kiedy miałam jedenaście lat, ktoś mi opowiedział pewną historię. Nie widziałam w niej na razie sensu, ale nie zwracałam sobie tym głowy, po prostu wypadło mi to z pamięci. Przypuszczam, że wcale o tym nie myślałam. Ale jakieś dwa lata temu, kiedy siedziałam na jakiejś rewii, raptem przypomniała mi się ta historia i byłam tym tak zaskoczona, że powiedziałam sobie: „Ach, teraz rozumiem pointę tej głupiej anegdotki o ryżowym budyniu!” A przecież na scenie nie mówiono nic, co by kojarzyło się bezpośrednio z tamtym tematem, padł tylko jakiś dość dwuznaczny dowcip.

— Rozumiem, co pani ma na myśli, *mademoiselle* — rzekł Poirot.

— W takim razie zrozumie pan to, co panu opowiem. Zatrzymałam się kiedyś w hotelu. Kiedy przechodziłam korytarzem, drzwi jednego z pokoiów otworzyły się i wyszła z nich pewna pani, którą znałam. Nie były to drzwi jej pokoju i na mój widok odbiło się to wyraźnie na jej twarzy. I wtedy zrozumiałam, co oznaczał wyraz twarzy Karoliny, kiedy pewnego wieczora widziałam, jak wyszła z pokoju Filipa Blake'a. — Pochyliła się naprzód, nie dopuszczając Poirota do słowa. — Wówczas nie miałam o tym pojęcia, rozumie pan. Owszem, wiedziałam już

coś niecoś..., dziewczęta w tym wieku zazwyczaj są już uświadomione, ale nie kojarzyłam tego z rzeczywistością. Karolina wychodząca z pokoju Filipa Blake'a była dla mnie po prostu Karoliną wychodzącą z pokoju Filipa Blake'a. Mógł to być równie dobrze pokój panny Williams czy mój. Ale zwróciłam uwagę na wyraz jej twarzy. Dziwny wyraz, jakiego nie znałam i nie mogłam zrozumieć. Nie rozumiałam go aż do owej nocy w Paryżu, kiedy ujrzałam ten sam wyraz na twarzy tamtej kobiety.

— Ale to, co pani mówi, zdumiewa mnie — rzekł powoli Poirot. — Ze słów Filipa Blake'a odniosłem wrażenie, że

nigdy nie lubił siostry pani.

— Wiem o tym. Toteż nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Ale fakt pozostaje faktem.

Poirot powoli pokiwał głową. Już podczas rozmowy z Filipem Blake'em czuł instynktownie, że coś tu brzmi fałszywie. Jego przesadna animozja w stosunku do Karoliny wydawała się nienaturalna.

Poirot przypomniał sobie urywki rozmowy z Meredithem Blake'em... „był bardzo przygnębiony wiadomością o ożenku Amyasa... nie pokazywał się u nich chyba z rok...”

Czyżby Filip od najwcześniejszej młodości kochał się w Karolinie? I czy jego miłość, kiedy Karolina wybrała Amyasa, przerodziła się w rozgoryczenie i nienawiść?

Tak, Filip mówił o tym zbyt namiętnie, zbyt wrogo. Poirot ujrzał go oczyma wyobraźni. Wesoły, zamożny biznesmen, amator golfa, posiadający wygodny własny dom. Co naprawdę czuł Filip Blake szesnaście lat temu?

— Nie rozumiem tego — rzekła Angela. — Widzi pan, nie mam doświadczenia w sprawach miłosnych. Mnie one w życiu ominęły. Opowiedziałam to panu tylko na wszelki wypadek. Na wypadek, gdyby to mogło

mieć jakiś związek z tym, co zaszło.

# Część 2

# Opowiadanie Filipa Blake'a

(list nadesłany wraz z manuskryptem)

*Szanowny Panie Poirot! Dotrzymując obietnicy, przesyłam panu w załączeniu opis wypadków związanych ze śmiercią Amyasa Crale'a. Podkreślam, że po upływie tak długiego czasu moje wspomnienia mogą być niezupełnie dokładne, choć starałem się opisać wszystko możliwie jak najwierniej.*



## *Z poważaniem Filip Blake*

Wspomnienia o wypadkach poprzedzających zabójstwo Amyasa Crale'a w dniu... września 19...

Moja przyjaźń ze zmarłym datowała się od wczesnego dzieciństwa. Domy nasze sąsiadowały ze sobą na wsi, a rodziny były bardzo zaprzyjaźnione. Amyas Crale był o dwa lata starszy ode mnie. Jako chłopcy bawiliśmy się razem podczas wakacji i świąt, chociaż nie byliśmy w tej samej szkole.

Ze względu na długoletnią znajomość ze zmarłym wydaje mi się, że jestem

szczególnie powołany do zobrazowania jego charakteru i światopoglądu. I zaznaczam od razu: dla każdego, kto dobrze znał Amyasa Crale'a, myśl, że Amyas mógł popełnić samobójstwo, jest po prostu śmieszna. Crale w żadnym wypadku nie odebrałby sobie życia, zbyt je bowiem kochał! Twierdzenie obrony podczas procesu, że Crale'a dręczyły wyrzuty sumienia ze w przystępie rozpaczy zażył truciznę — jest szczytem nedorzeczności dla każdego, kto znał tego człowieka. Crale nie odznaczał się zbyt wrażliwym sumieniem, a już na pewno nie był przeczulony. Co więcej, on i jego żona żyli ze sobą źle i wątpię, aby miał jakieś skrupuły, jeżeli chodziło o zerwanie tak dla niego niefortunnych

więzów małżeńskich. Na pewno zabezpieczyłby materialnie żonę i dziecko, i to bardzo hojnie. Amyas w ogóle był człowiekiem hojnym, dobrym i budził powszechną sympatię. Był nie tylko wielkim artystą, ale również człowiekiem, którego uwielbiali jego przyjaciele. O ile wiem, nie miał żadnych wrogów.

Karolinę Crale znałem również od wielu lat. Poznałem ją jeszcze przed jej ślubem, kiedy zaczęła odwiedzać Alderbury. Była wówczas niezrównoważoną nerwowo dziewczyną, miewała nagłe wybuchy niepohamowanego gniewu. Bez wątpienia dość powabna, lecz

nieszczęśliwe usposobienie utrudniało jej współzycie z ludźmi. Zakochała się w Amyasie od pierwszego niemal wejrzenia i nie ukrywała wcale swych uczuć. On natomiast, moim zdaniem, nie był w niej specjalnie zakochany. Spotykali się jednak często. Jak już wspomniałem, Karolina była ładna, no i zaręczyli się w końcu. Najbliżsi przyjaciele Amyasa spoglądali niechętnym okiem na te projekty małżeńskie, zdawali sobie bowiem sprawę, że Karolina jest dla Amyasa zupełnie nieodpowiednią żoną. W wyniku tego w pierwszych latach po ślubie Amyasa stosunki między jego żoną a jego przyjaciółmi były dość naprężone, on jednak pozostawał nadal

lojalnym przyjacielem i nie miał zamiaru porzucić starych druhów na żądanie żony. Po upływie kilku lat między mną a nim powróciła dawna zażyłość i bywałem częstym gościem w Alderbury. Mogę jeszcze dodać, że byłem chrzestnym ojcem ich córeczki, Karli. Jest to, sędzę, dowodem, że Amyas uważał mnie za swego najlepszego przyjaciela, i to mnie upoważnia do przemawiania w imieniu człowieka, który nie może już sam się bronić.

Przechodzę teraz do konkretnego opisu faktów, o który mnie proszono. Przyjechałem do Alderbury (jak to sprawdziłem w starym notatniku) na pięć dni przed tragedią, to znaczy

trzynastego września. Wyczułem od razu, że sytuacja jest dość napięta. W Alderbury bawiła także panna Elza Greer, której portret Amyas wówczas malował.

Widziałem wtedy pannę Greer po raz pierwszy, ale o jej istnieniu wiedziałem już od pewnego czasu. Miesiąc przedtem Amyas opowiadał mi o niej z zachwytem. Poznał, jak twierdził, cudowną dziewczynę. Mówił o niej z takim zapałem, że powiedziałem żartobliwie: „Uważaj, stary, bo znowu stracisz głowę”, na co mi odpowiedział, że dureń ze mnie. Robi portret dziewczyny, ale osobiście wcale się nią nie interesuje. „Opowiadaj babci! —

odrzekłem. — Nie pierwszy już raz słyszę to od ciebie”. „Ale tym razem to zupełnie co innego” — odpowiedział mi na to, a ja dość cynicznie zauważyłem: „Zawsze tak mówisz!” Na twarzy Amyasa odbiła się nagle troska i niepokój. Powiedział do mnie: „Nic nie rozumiesz. To młodziutka dziewczyna, dziecko prawie”. Dodał jeszcze, że Elza ma bardzo nowoczesne zapatrywania i jest całkowicie pozbawiona przesądów. „Jest uczciwa i naturalna, a do tego nie wie, co to strach”.

Pomyślałem sobie, nie mówiąc tego głośno, że tym razem Amyas wpadł na dobre. Kilka tygodni potem doszły moich uszu uwagi innych osób.

Mówiono, że „ta mała Greer jest zakochana do szaleństwa”. Ktoś inny dodał, że to już przesada ze strony Amyasa, bo dziewczyna jest bardzo młodziutka, na co jeszcze inny posiedział ironicznie, że Elza Greer potrafi sobie doskonale dać radę. Dalsze uwagi dotyczyły faktu, że dziewczyna ma forsy jak lodu i zawsze zdobywa to, co zechce, oraz że „to ona właśnie jest stroną atakującą”. Padło pytanie, co też sądzi o tym wszystkim żona Crale’a — i znacząca odpowiedź, że musi chyba już być przyzwyczajona do podobnych rzeczy. Ktoś inny dorzucił, że podobno Karolina jest piekielnie zazdrosna i tak zatruwa mężowi życie, że każdemu na jego miejscu należałoby wybaczyć jakiś



odskok.

Wspominam o tym wszystkim, ponieważ chcę dać pełny obraz sytuacji przed moim przyjazdem.

Bardzo chciałem zobaczyć na własne oczy tę dziewczynę. Była bardzo ładna i pociągająca. Muszę też przyznać, że ze złośliwą uciechą zauważyłem, iż Karolina jest mocno przygnębiona.

Amyas Crale również nie był tak wesół jak zazwyczaj. Ktoś, kto nie znał go tak dobrze, nie zauważyłby żadnej zmiany w jego zachowaniu, ale ja spostrzegłem od razu liczne oznaki niepokoju wewnętrznego. Był roztargniony, zamyślał się często i

wpadał w gniew o byle drobiazg.

Kiedy malował, zawsze miał humory, tym razem jednak praca nie była wyłączną przyczyną. Ucieszył się na mój widok i skoro tylko znaleźliśmy się sam na sam, powiedział: „Chwała Bogu, że jesteś, Fil. Jak się mieszka z czterema babami, można dostać bzika. One mnie w końcu doprowadzą do domu wariatów”.

Atmosfera była rzeczywiście dość przykra. Jak wspomniałem, Karolina najwyraźniej brała sobie to wszystko do serca. W pozornie uprzejmy, poprawny sposób traktowała Elżę tak pogardliwie, że trudno to sobie wprost wyobrazić. Nie padło przy tym żadne obraźliwe

słowo. Elza z kolei zachowywała się wobec Karoliny z jawną bezczelnością. Była górami i wiedziała o tym — a że nie otrzymała dobrego wychowania, zachowywała się wręcz wulgarnie. W rezultacie, kiedy Amyas nie malował, spędzał cały prawie czas na kłótniach z małą Angellą. Żyli zazwyczaj w wielkiej przyjaźni, chociaż ustawicznie sobie dokuczali i sprzeczali się ze sobą. Tym razem jednak Amyas był wciąż podminowany, mówił rzeczy ostre i przykre, toteż oboje wybuchali naprawdę, ilekroć się zetknęli. Czwartą kobietą była guwernantka, „skwaszona stara panna”, jak się o niej wyrażał Amyas. „Nienawidzi mnie śmiertelnie — powiedział. — Siedzi z zaciśniętymi

wargami i wciąż ma mi wszystko za złe”.

W rozmowie ze mną dodał jeszcze:

— Pal diabli wszystkie baby! Jeżeli człowiek chce mieć spokój, powinien się trzymać z dala od kobiet!

— Nie powinieneś był się żenić — powiedziałem. — Mężczyzna twojego pokroju powinien się wystrzegać więzów małżeńskich.

Odpowiedział, że dzisiaj już za późno o tym mówić, dodał, że Karolina bez wątpienia pozbyłaby się go z radością. To była pierwsza oznaka, że coś niezwykłego wisi w powietrzu.

— Co się tu dzieje? — zapytałem. — Czy ta sprawa z piękną Elzą jest aż tak poważna?

— Jest śliczna, prawda? — jęknął Amyas. — Czasem myślę, że byłoby lepiej, gdybym jej nigdy nie spotkał.

— No, no, stary, musisz się wziąć w garść! — powiedziałem. — Nie dasz się chyba znów opętać jakiejś babie.

Amyas spojrział na mnie i roześmiał się.

— Dobrze ci tak mówić — powiedział — ale ja nie potrafię się obejść bez kobiet, no, po prostu nie potrafię! A gdybym nawet chciał, to one

mi na to nie pozwolą!

Wzruszył ramionami, uśmiechnął się do mnie szeroko powiedział:

— No, jakoś to będzie, mam nadzieję! Ale musisz przyznać, że obraz jest dobry, co?

Miał na myśli portret, do którego mu pozowała Elza, i chociaż nie znałem się właściwie na malarstwie, to jednak nawet ja się orientowałem, że będzie to dzieło wyjątkowe.

Kiedy Amyas malował, stawał się zupełnie innym człowiekiem. Mógł mrużyć, stękać, marszczyć brwi, kłać w najwymyślniejszy sposób — czasem

nawet ciskał ze złością pędzle — w gruncie rzeczy jednak był niesłychanie szczęśliwy.

Dopiero gdy wracał do domu na posiłki, wroga atmosfera panująca między obydwoma kobietami przytłaczała jego również. Ten nastrój doprowadził wreszcie w dniu siedemnastego września do wybuchu. Lunch był bardzo przykry. Elza była szczególnie — doprawdy trudno to określić innym słowem — bezczelna! Z rozmysłem i bez przerwy ignorowała w rozmowie Karolinę, zwracając się wyłącznie do Amyasa, jak gdyby prócz nich dwojga nikogo nie było przy stole. Karolina rozmawiała z nami lekko i

wesoło, ukrywając zręcznie zatrute żądła w pozornie niewinnych uwagach. Nie posiadała owej wzdorliwej uczciwości, jaką miała Elza. Operowała półsłówkami — dawała raczej do zrozumienia, niż mówiła.

Kryzys nastąpił po lunchu, kiedy dopijaliśmy kawę w salonie. Rzuciłem jakąś uwagę o politurowanej rzeźbionej w brzozie główce — bardzo ciekawym obiekcie, a Karolina powiedziała:

— To dzieło młodego norweskiego rzeźbiarza. Oboje z Amyasem jesteśmy wielbicielami jego talentu. Mamy zamiar odwiedzić go na przyszły rok.

To spokojne stwierdzenie posiadania



dotknęło do żywego Elżę, która nigdy zresztą nie pomijała okazji do podjęcia rękawicy. Po krótkim milczeniu odezwała się tym swoim dźwięcznym, może trochę afektowanym głosem:

— Ten pokój byłby zupełnie przyjemny, gdyby go odpowiednio urządzić. Za dużo tu mebli. Kiedy ja tu będę mieszkała, wyrzucę te wszystkie graty i zostawię tylko kilka wartościowych sztuk. Zawieszę firanki miedzianego koloru, żeby zachodzące słońce przenikało przez nie, wpadając w to okno. — Potem zwróciła się ku mnie i dodała: — Nie uważa pan, że to będzie ślicznie?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo

usłyszałem głos Karoliny, delikatny, aksamitny, kryjący w sobie jednak coś niebezpiecznego. Zapytała:

— Czy masz zamiar kupić ten dom, Elzo?

— Nie będę musiała go kupować.

— Co przez to rozumiesz?

Głos Karoliny stracił już całą swą miękkość. Był twardy, metaliczny. Elza roześmiała się.

— Po co to całe udawanie? — powiedziała. — No, no, Karolino, wiesz doskonale, co mam na myśli.

— Nie mam pojęcia.

— I po co ta strusia polityka? Na nic się nie zda udawanie, że nic nie wiesz i nie widzisz, co się dzieje. Amyas i ja kochamy się, a to jest jego dom, nie twój! Jak się pobierzemy, ja tu będę z nim mieszkać!

— Zdaje mi się, że oszalałaś — rzekła Karolina.

— Bynajmniej, moja droga, i doskonale wiesz, że nie. Będzie to znacznie prostsze, jeżeli będziemy z sobą szczerze. Kochamy się z Amyasem, chyba sama to widzisz. Mamy więc jedno tylko wyjście: musisz wrócić mu wolność!

— Nie wierzę ani słowu z tego, co mówisz — odparła Karolina. Powiedziała to jednak bez przekonania — widocznie strzał Elzy był celny.

W tej chwili do pokoju wszedł Amyas Crale. Elza zawołała ze śmiechem:

— Jeżeli mi nie wierzysz, to zapytaj jego!

— Dobrze! — odrzekła Karolina. Nie wahała się ani chwili. Powiedziała: — Amyasie, Elza mówi, że chcesz się z nią ożenić. Czy to prawda?

Biedny Amyas! Żał mi go było. Człowiek czuje się jak dureń, kiedy się go wciąga gwałtem w taką scenę.

Zaczerwienił się jak burak i zaczął kłąć. Zwrócił się do Elzy i spytał, czemu, do wszystkich diabłów, nie trzyma języka za zębami!

— A więc to prawda? — spytała Karolina.

Amyas nic na to nie odpowiedział, stał tylko, przesuając palec koło szyi, jakby miał za ciasny kołnierzyk. Robił ten ruch jeszcze jako mały chłopiec, ilekroć znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Wreszcie oświadczył, siląc się na ton władczy i pełen godności, co się jednak biedakowi nie bardzo udało:

— Nie życzę sobie o tym mówić.

— Ale my chcemy to wyjaśnić —  
rzekła Karolina.

Tu znów wtrąciła się Elza:

— Moim zdaniem, uczciwość  
nakazuje, żeby Karolina dowiedziała się  
o wszystkim.

Wówczas Karolina spytała bardzo  
cicho:

— Czy to prawda, Amyasie?

Amyas miał minę mocno zawstydzoną.  
Mężczyźni zawsze czują wstyd, kiedy  
kobiety przyprą ich do muru.

— Proszę cię, odpowiedz! —

powiedziała znów Karolina. — Muszę wiedzieć!

Podniósł wtedy głowę jak byk na arenie i warknął:

— Tak, to prawda, ale nie chcę teraz o tym mówić. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Wyszedłem za nim, nie chcąc zostać sam z kobietami. Dopędziłem go na tarasie. Klął okropnie. Nigdy w życiu jeszcze nie słyszałem, żeby mężczyzna klął z taką pasją. A potem krzyknął:

— Dlaczego nie trzymała języka za zębami? Dlaczego, u diabła, musiała paplać? Teraz wszystko jest na nic! A ja muszę skończyć ten obraz, słyszysz, Fil?

Muszę! To najlepsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu. A dwie głupie baby chcą mi wszystko popsuć!

Po chwili uspokoił się trochę i powiedział, że kobiety nie mają poczucia proporcji.

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu.

— Tam do licha, mój stary — powiedziałem — sam sobie nawarzyłeś piwa!

— Myślisz, że tego nie wiem? — jęknął. I dodał po chwili: — Ale przyznasz chyba, Fil, że trudno mieć pretensję do mężczyzny, że stracił dla



niej głowę. Nawet Karolina powinna to zrozumieć.

Spytałem, co będzie, jeżeli Karolina się uprze i nie zechce mu dać rozwodu. Amyas jednak tak się już pogrążył w rozmyślaniach, że musiałem powtórzyć pytanie. Odpowiedział wówczas roztargnionym tonem:

— Karolina nigdy nie będzie się mścić. Ty nic nie rozumiesz, bracie!

— Macie przecież dziecko — przypomniałem.

Ujął mnie wówczas za ramię mówiąc:

— Fil, drogi chłopcze, wiem, że mi

dobrze życzysz, ale nie kracz tu nade mną. Dam sobie radę. Przekonasz się, że wszystko się dobrze skończy, zobaczysz!

Był w tym cały Amyas. Zawsze pełen niczym nie uzasadnionego optymizmu. Powiedział wesoło:

— Pal lichy tę całą bandę!

Nie wiem, czy rozmawialiśmy dłużej na ten temat, bo za chwilę na taras wyszła Karolina. Miała na głowie oryginalny ciemnobrązowy kapelusz z dużym rondem, dość ładny.

Powiedziała najnormalniejszym, codziennym głosem:

— Zdejmij tę poplamioną farbami marynarkę, Amysie. Nie pamiętasz, że idziemy na herbatę do Mereditha?

Spojrzał na nią ze zdumieniem i bąknął, zacinając się lekko:

— O, zapomniałem. Naturalnie, idziemy!

— Więc postaraj się doprowadzić do przyzwoitszego wyglądu, żeby cię nie brano za brudasa!

Mówiła tonem najzupełniej swobodnym, nie patrzyła jednak na niego. Podeszła do klombu dalii i zaczęła zrywać zbyt rozwinięte kwiaty.

Amyas odwrócił się powoli i wszedł do domu. Karolina zaczęła ze mną rozmowę. Mówiła dużo o tym, czy obecna piękna pogoda długo się utrzyma i czy w pobliżu są teraz makrele, bo jeśli tak, to może Amyas i ja razem z Angelą mielibyśmy chęć pójść na ryby. Muszę przyznać, że mi zaimponowała! Sądzę jednak, że to jeszcze jeden dowód, co to była za kobieta! Miała niezwykle silną wolę i panowała nad sobą całkowicie. Nie wiem, czy wtedy już postanowiła go zabić, ale wcale by mnie to nie zdziwiło. A potrafiła opracować plan działania na chłodno, dokładnie, nie dopuszczając, aby choć cień uczucia zamącił jasność jej myśli.

Karolina Crale była kobietą bardzo niebezpieczną. Powinienem był już wtedy zrozumieć, że nie podda się bez walki. Ale sądziłem jak idiota, że postanowiła pogodzić się z losem albo też myśli, że jeśli będzie się zachowywać, jak gdyby nic nie zaszło, Amyas zmieni może zamiary.

Po chwili reszta towarzystwa również wyszła na taras. Elza miała minę wyzywającą i zwycięską zarazem. Karolina nie zwracała na nią uwagi. Sytuację uratowała Angela. Wyszła na taras, kłócąc się z panną Williams, że za nic nie zmieni spódnicy. Mówiła, że ta, którą ma na sobie, jest zupełnie dobra — w każdym razie nie warto wkładać

lepszey dla kochanego starego Mereditha, który i tak nigdy nic nie dostrzega.

Wyruszyliśmy nareszcie. Karolina szła z Angelą, ja z Amyasem. Elza szła sama, uśmiechając się do własnych myśli.

Nie zachwyciałem się nią specjalnie. Jak na mój gust była zbyt gwałtowna — muszę jednak przyznać, że wyglądała tego popołudnia nieprawdopodobnie pięknie. Kobiety zwykle tak wyglądają, kiedy osiągną to, czego chcą.

Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć wszystkiego, co się wydarzyło tego popołudnia. Wszystko

jest jakby zamglone. Pamiętam tylko, że Merry wyszedł na nasze spotkanie i że obeszlśmy najpierw ogród. Przypominam sobie długą dyskusję z Angelą na temat zaprawiania terierów do łowienia szczurów. Mała zjadła nieprawdopodobną ilość jabłek i usiłowała mnie również do tego namówić.

Kiedy wróciliśmy do domu, pito już herbatę pod wysokim cedrem. Merry miał zmartwioną minę. Przypuszczam, że Karolina albo Amyas musieli coś mu powiedzieć. Patrzył niepewnie na Karolinę, potem znów gapił się na Elżę. Chłop był szczerze zmartwiony. Karolinie, oczywiście, przyjemnie było

mieć stale w odwodzie Mereditha, oddanego, platonicznego przyjaciela, który nigdy nie posunie się za daleko. Taka to już była osoba.

Po herbacie Meredith zamienił ze mną w pośpiechu kilka słów.

— Słuchaj, Fil, Amyas nie może tego zrobić! — powiedział.

— Możesz być pewien, że zrobi.

— Nie może porzucić żony i dziecka i odejść z tą dziewczyną. Jest od niej o tyle starszy. Przecież ona ma najwyżej osiemnaście lat!

Odpowiedziałem mu, że panna Greer



ma już skończone dwadzieścia i jest na wskroś nowoczesną panną.

— W każdym razie nie jest jeszcze pełnoletnia. Z pewnością nie wie, co robi.

Poczciwy stary Meredith, zawsze taki sam, rycerz bez skazy.

— Nie martw się, stary — uspokoiłem go. — Wie dobrze, co robi, i ma z tego dużo przyjemności.

Nic więcej nie zdążyliśmy sobie powiedzieć. Pomyślałem sobie, że Merry'ego zaniepokoiła pewnie wiadomość, że Karolina będzie wolna. Po rozwodzie będzie się zapewne

spodziewała propozycji małżeńskiej od swego wiernego Filona. Podejrzywałem jednak, że beznadziejna miłość bardziej mu odpowiada. Przyznam się, że ta strona sprawy mocno mnie ubawiła.

Rzecz dziwna, ale niewiele pamiętam z naszej wizyty w cuchnącym laboratorium Mereditha. Lubił zawsze popisywać się przed gośćmi swoimi ziołami, które mnie osobiście bardzo nudziły. Musiałem znajdować się w pokoju razem ze wszystkimi podczas odczytu Mereditha o właściwościach cykuty, ale zupełnie tego nie pamiętam. Nie widziałem też, jak Karolina ukradła truciznę. Jak już wspomniałem, Karolina była bardzo zręczna i przebiegła.

Pamiętam natomiast, jak Meredith czytał na głos fragment Platona, opisujący śmierć Sokratesa. Było to przeraźliwie nudne. Klasycy zawsze mnie okropnie nudzili.

Mało już pamiętam z tego dnia. Między Amyasem a Angelą wybuchła wielka kłótnia, którą zresztą wszyscyśmy powitali z radością, gdyż uniknęło się w ten sposób innych nieporozumień. Angela pobiegła do swego pokoju w ataku furii. Oświadczyła Amyasowi: a) że się na nim zemści, b) chciałyby, żeby zdechł, c) chciałyby, żeby umarł na trąd, bo to się mu należy, d) chciałyby, żeby mu się kiełbasa przykleiła do nosa jak w jednej

z bajek i nie dała się oderwać. Po jej odejściu wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem, tak śmieszna była cała ta mieszanina.

Zaraz potem Karolina też udała się na spoczynek. Znikła także ze swoją uczennicą panna Williams. Amyas Elza poszli do ogrodu. Było zupełnie jasne, że moje towarzystwo jest niepożądane — poszedłem więc samotnie na spacer, bo noc była bardzo piękna.

Nazajutrz zszedłem na dół dość późno. W jadalni nie było nikogo. Śmieszne, jak człowiek pamięta drobne, nieważne rzeczy — ja na przykład pamiętam doskonale smak nerczek i bekonu, które wtedy podano na śniadanie. Znakomite!

Po śniadaniu trochę się wałęsałem, szukając reszty towarzystwa. Wyszedłem do ogrodu, ale nie zobaczyłem nikogo, wypaliłem papierosa, wreszcie spotkałem pannę Williams szukającą Angeli, która jak zwykle uciekła, zamiast reperować podartą sukienkę. Wróciłem następnie do holu i stwierdziłem, że Amyas i Karolina odbywają w bibliotece zasadniczą rozmowę. Mówili bardzo głośno usłyszałem, jak ona powiedziała:

— Ty i twoje baby! Zabiłabym cię!...  
I kiedyś cię zabiję!

Amyas odpowiedział na to:

— Nie bądź głupia, Karolino. A ona;

— Nie żartuję, Amyasie!

Nie chcąc dłużej podsłuchiwać, wyszedłem znowu na powietrze. Poszedłem tarasem w przeciwną stronę natknąłem się na Elzę. Siedziała na ławce tuż pod oknem biblioteki, które było otwarte. Przypuszczam, że musiała słyszeć wszystko, co tam mówiono. Na mój widok wstała najspokojniej i podeszła do mnie. Uśmiechała się. Ujęła mnie pod rękę i rzekła:

— Co za piękny poranek!

Dla niej był to istotnie piękny poranek. Okrutna z niej była

dziewczyna. Albo nie, może tylko uczciwa i pozbawiona wyobraźni. Nie widziała nic poza jedynym celem, do którego dążyła. Jakieś pięć minut staliśmy, rozmawiając na tarasie, gdy drzwi biblioteki otworzyły się i wyszedł z nich Amyas, czerwony jak burak. Bezceremonialnie schwycił Elżę za ramię i powiedział:

— Chodźmy! Już czas na pozowanie. Chcę jak najprędzej dokończyć portret.

— Świetnie — odpowiedziała. — Pójdę tylko na górę po sweter. Jest dość chłodny wiatr.

Z tymi słowy weszła do domu.

Byłem ciekaw, czy Amyas mi coś powie, ale jęknął tylko:

— Ach, te baby!

— Uszy do góry, chłopie! — powiedziałem.

Potem już żaden z nas nie przemówił słowa, dopóki Elza znowu nie ukazała się na tarasie.

Poszli razem w kierunku „Baterii”, ja zaś wróciłem do domu. W holu zobaczyłem Karolinę — przypuszczam, że mnie nawet nie zauważyła. Bywała czasem tak roztargniona, wyglądała jak nieobecna, jakby zatopiona sama w sobie. Szepnęła coś, ale nie do mnie, do



siebie. Usłyszałem tylko te słowa:

— To zbyt okrutne!

Tak powiedziała. Przeszła potem obok mnie i zaczęła wchodzić schodami na górę, wciąż mnie nie widząc, niby ktoś zapatrzony w jakąś wizję. Przypuszczam (choć nie mam na to żadnego dowodu), że poszła na górę po truciznę. Wtedy właśnie postanowiła zrobić to, co zrobiła.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. W innych domach zaczekałbym, aż telefon odbierze ktoś ze służby, w Alderbury jednak byłem tak zadomowiony, że czułem się członkiem rodziny. Podniosłem słuchawkę.

Usłyszałem głos brata. Meredith był ogromnie wzburzony. Powiedział, że był przed chwilą w laboratorium stwierdził, że butelka z cykutą jest do połowy pusta. Nie chcę jeszcze raz rozwodzić się nad tym, co — jak teraz wiem — powinienem był wówczas zrobić. Wiadomość ta tak mnie oszołomiła, że w najlepszy sposób straciłem głowę. Meredith aż dygotał po tamtej stronie drutu. Usłyszałem kroki na schodach, powiedziałem mu więc tylko, żeby czym prędzej przyszedł.

Wyszedłem na jego spotkanie. Na wypadek, jeżeli się pan nie orientuje w topografii, powiem, że z jednej posiadłości do drugiej było najłatwiej

dostać się łodzią przez małą zatoczkę. Zszedłem ścieżką w dół do niewielkiej przystani. Aby tam dojść, musiałem przejść pod murami „Baterii”. Słyszałem głosy Amyasa i Elzy. Brzmiały bardzo wesoło i beztrósco. Amyas powiedział, że jest okropny upał (istotnie, jak na wrzesień, dzień był bardzo gorący). Elza odrzekła, że gdy tak siedzi na balustradzie, czuje zimny wiatr od morza. A potem dodała:

— Strasznie ścierpłam od tego pozowania. Nie pozwoliłbyś mi, kochanie, na chwileczkę odpoczynku?  
— Na co Amyas zawołał:

— Za nic w świecie! Wytrzymaj trochę. Przecież z ciebie silna

dziewczyna. A powiadam ci, że idzie mi świetnie!

Elza powiedziała na to śmiejąc się:

— Ty brutalu!

Potem już nie słyszałem nie więcej, bo byłem za daleko.

Meredith właśnie nadpływał z przeciwnego brzegu — zaczekałem więc na niego. Przywiązał łódkę i wszedł po schodach na górę. Był bardzo blady i zatroskany.

— Jesteś mądrzejszy ode mnie, Filipie — powiedział. — Poradź mi, co mam robić. To bardzo niebezpieczna

trucizna.

— Czy jesteś tego pewien? — zapytałem, bo trzeba panu wiedzieć, że Meredith był zawsze dość roztargniony. Może dlatego nie potraktowałem sprawy tak poważnie, jak powinienem. Odpowiedział mi, że jest całkiem pewien. Wczoraj po południu butelka była pełna.

— I nie masz pojęcia, kto ją mógł zwędzić?

Odpowiedział, że nie ma absolutnie pojęcia, i spytał, co ja o tym myślę. Czyżby ktoś ze służby? Odpowiedziałem, że to możliwe, chociaż moim zdaniem mało

prawdopodobne. Drzwi są przecież zawsze zamknięte na klucz, prawda? Powiedział, że zawsze zamyka drzwi, a potem zaczął coś pleść o tym, że jedno z okien było na parę cali uchylone. Ktoś mógł się tamtędy przedostać.

— Jakiś przygodny złodziej? — zapytałem sceptycznie. — Mnie się zdaje, Merry, że mogą tu wchodzić w grę bardzo nieprzyjemne możliwości.

Spytał wtedy, co mam właściwie na myśli. Ja zaś odpowiedziałem, że jeśli naprawdę jest pewien, że mu skradziono tę truciznę, to prawdopodobnie zabrała ją Karolina, żeby otruć Elzę. Albo odwrotnie, Elza, żeby pozbyć się Karoliny i utorować drogę prawdziwej

miłości.

Meredith obruszył się na to. Powiedział, że to bzdurne, melodramatyczne pomysły, zupełnie nieprawdopodobne. Ja zaś odpowiedziałem mu:

— No, ale trucizna znikła. W jaki sposób możesz ten fakt wytłumaczyć?

Rzecz prosta nie potrafił na to odpowiedzieć. W gruncie rzeczy na pewno myślał to samo, co ja, ale nie chciał się do tego przyznać. Zapytał znowu:

— Co teraz zrobimy?

Ja zaś, skończony dureń, odpowiedziałem:

— Musimy się nad tym dobrze zastanowić. Albo powiesz o kradzieży otwarcie wobec wszystkich, albo może lepiej pogadasz o tym sam na sam z Karoliną. Jeżeli dojdiesz do przekonania, że nic z tym nie ma wspólnego, zastosuj taką samą taktykę wobec Elzy.

Meredith odpowiedział:

— Co? Taka dziewczyna! Nie, absolutnie nie mogła tego zrobić!

Odparłem, że wcale nie byłbym taki pewien. Rozmawiając szliśmy pod górę



wąską ścieżką w stronę domu. Po tej ostatniej mojej uwadze obaj jakiś czas nie zamieniliśmy słowa. Znowu znaleźliśmy się pod „Baterią” i wtedy usłyszałem głos Karoliny.

W pierwszej chwili myślałem, że odbywa się tam kłótnia we troje, ale po chwili przekonałem się, że tematem rozmowy jest Angela. Karolina protestowała przeciwko czemuś. „Nie wolno tak z dziewczyną postępować” — mówiła, na co Amyas odpowiedział coś z irytacją. Furtka ogrodu otworzyła się właśnie, kiedy znaleźliśmy się przy niej. Amyas spieszył się trochę, widząc nas. Karolina wychodziła z ogrodu. Powiedziała:

— Jak się masz Meredith! Dyskutowaliśmy nad sprawą wysłania Angeli do szkoły. Nie jestem wcale pewna, czy to będzie dla niej dobre — a Amyas odpowiedział:

— Nie rób tyle hysterii z powodu tej dziewczyny! Nic jej się nie stanie. Przynajmniej się jej pozbędziemy! W tej właśnie chwili Elza nadbiegła dróżką od strony domu. W rękę trzymała czerwony sweter. Amyas mruknął:

— Chodź wreszcie i upozuj się. Nie chcę tracić czasu!

Odszedł do sztalug. Zauważyłem, że się lekko zatacza i podejrzewałem, że musiał trochę pić. Gotów go byłem

usprawiedliwić, biorąc pod uwagę wszystkie te przykre sceny i awantury.

— Piwo jest zupełnie ciepłe — burknął. — Dlaczego nie można tu trzymać trochę lodu? Na co Karolina Crale odpowiedziała:

— Zaraz ci przyślę trochę piwa prosto z lodówki.

Amyas mruknął:

— Dziękuję!

Karolina zamknęła furtkę „Baterii” i udała się razem z nami pod górę do domu. Usiedliśmy obaj na tarasie, a ona weszła do wewnątrz. Po jakichś pięciu

minutach na taras wyszła Angela, niosąc tacę, na której stały dwie butelki piwa i kilka szklanek. Dzień był upalny, powitaliśmy więc ten poczęstunek z przyjemnością. Podczas gdy pociągaliśmy piwo, przeszła obok nas Karolina. Trzymała w ręku inną butelkę piwa. Powiedziała, że zanieśie ją sama do ogrodu. Meredith ofiarował się, że ją wyręczy, ale oświadczyła stanowczo, że pójdzie sama. Byłem wówczas taki głupi i myślałem, że to wszystko po prostu z zazdrości: nie może znieść myśli, że Amyas i Elza są tam w ogrodzie sami. Zazdrość również zaprowadziła ją tam przedtem pod pretekstem narady w sprawie wyjazdu Angeli. Szła na dół krętą ścieżką, a ja i Meredith

odprowadzaliśmy ją spojrzeniem. Nie zdecydowaliśmy jeszcze, co mamy robić dalej, gdy tymczasem zjawiała się Angela, wołając, żebym poszedł się z nią kąpać. Nie było sposobu zostać sam na sam z Meredithem, powiedziałem mu więc tylko:

— Po lunchu — na co on skinął głową.

Poszedłem więc kąpać się z Angłą. Popływaliśmy jakiś czas, potem położyliśmy się na skalach, żeby się opalać. Angela była trochę milcząca, co mi bardzo odpowiadało. Postanowiłem, że zaraz po lunchu wezmę Karolinę na bok i oskarżę ją bez ogródek o kradzież trucizny. Nie było sensu powierzać

sprawy Meredithowi, miał za słaby charakter. Nie, zaatakuję ją z nienacką. Będzie musiała oddać truciznę, a jeżeli nawet nie odda, to nie ośmieli się jej użyć. Im dłużej się zastanawiałem, tym większego nabierałem przekonania, że to ona. Elza była zbyt rozsądna i trzeźwa, żeby ryzykować coś podobnego. Miała głowę na karku i bałaby się o własną skórę. Karolina była typem zupełnie odmiennym. Niezrównoważona, porywczą i zdecydowanie nerwową. Ale ciągle nie mogłem wyzbyć się wątpliwości, czy Meredith się nie pomylił. A może ktoś ze służby kręcił się po pokoju i rozlał płyn, a potem bał się do tego przyznać. Widzi pan, trucizna trąci takim melodramatem, że trudno w

coś podobnego uwierzyć.

Tak długo jednak, póki nie nastąpi tragedia.

Spojrząwszy na zegarek, stwierdziłem, że jest już bardzo późno, więc oboje z Angelą puściliśmy się niemal pędem, żeby zdążyć na lunch. Wszyscy siedzieli już przy stole, oprócz Amyasa, który został w ogrodzie i malował. Zdarzało mu się to bardzo często i pomyślałem sobie, że nie przychodząc dzisiaj do stołu, postąpił bardzo taktownie.

Przy lunchu nastrój nie był specjalnie przyjemny.

Do kawy zasiedliśmy na tarasie. Szkoda, że nie mogę sobie lepiej przypomnieć, jak wtedy wyglądała i co mówiła Karolina. W każdym razie zupełnie nie robiła wrażenia podnieczonej. Była spokojna i może trochę smutna. Cóż za diabeł wcielony był z tej kobiety!

Bo otrucie z zimną krwią człowieka to diabelski czyn! Gdyby miała pod ręką rewolwer i gdyby chwyciła go by zabić Amyasa, byłoby to jeszcze zrozumiałe. Ale to zimne, uplanowane, mściwe otrucie... I taka była przy tym spokojna i opanowana!

W pewnej chwili wstała i powiedziała, że sama zanieśie mu kawę.



A przecież wiedziała, wtedy już musiała wiedzieć na pewno, że Amyas nie żyje. Razem z nią poszła panna Williams, nie pamiętam już, czy to się stało na propozycję Karoliny, czy nie, ale raczej tak.

Odeszły więc razem. Wkrótce potem Meredith też gdzieś znikł. Właśnie szukałem jakiejś wymówki, by za nim pójść, gdy zobaczyłem, że biegnie z powrotem pod górę. Twarz miał szarą i ledwie zdołał wyjąkać:

— Trzeba wezwać doktora...  
prędko... Amyas...

Zerwałem się z krzesła.

— Co się stało? Zachorował?  
Umiera?

Meredith odpowiedział:

— Zdaje się, że już nie żyje.

Na moment zapomnieliśmy o Elzie.  
Ale ona krzyknęła przeraźliwie:

— Nie żyje?! Nie żyje?!... — A  
potem zaraz wybiegła. Nigdy nie  
przypuszczałem, że ktoś mógłby tak  
szybko biec... jak sarna, jak ranione  
zwierzę. Albo może jak mściwa Furia.

Meredith zawołał ku mnie  
gorączkowo:

— Biegnij za nią! Ja będę telefonował! Idź zaraz za nią! Nie wiadomo co może zrobić!

Pobiegłem więc za nią i dobrze zrobiłem, bo mogła była zabić Karolinę. Nigdy w życiu nie widziałem takiej rozpaczki ani tak gwałtownej nienawiści. Cały pokost wychowania i kultury znikł w jednej chwili. Nie darmo jej ojciec i babka byli młynarzami. W jednej chwili stała się pierwotną kobietą, której zabrano kochanka. Gdyby mogła, wpiłaby się pazurami w twarz Karoliny, wrywała jej włosy, zepchnęła ją w przepaść. Nie wiem, dlaczego była przekonana, że Karolina go zasztyletowała. Oczywiście nie miała

racji. Przytrzymałem ją, a potem wkroczyła panna Williams. Muszę przyznać, że zachowała się wspaniale. Uspokoila Elzę w ciągu jednej minuty, powiedziała jej po prostu, że ma być cicho, bo nikt nie myśli znosić tych krzyków i awantur. To była herod-baba! Ale dopięła swego. Elza uspokoiła się, stała tylko zdyszana i drżąca.

Jeżeli chodzi o Karolinę, to moim zdaniem spadła z niej maska. Stała zupełnie spokojnie. Mogło się zdawać, że jest oszołomiona. Ale tak nie było, zdradził ją wyraz oczu. Były badawcze, całkowicie przytomne i badawcze. Przypuszczam, że zaczynał ją ogarniać strach.

Podszedłem do niej i powiedziałem tak cicho, że żadna z pozostałych dwóch kobiet nie mogła chyba tego słyszeć:

— Zbrodniarko! Zabiłaś mojego najlepszego przyjaciela.

Drgnęła i zrobiła krok w tył.

— Nie, nie! To on sam...

Spojrzałem jej prosto w oczy i powiedziałem:

— Możesz opowiedzieć tę historyjkę policji.

Tak też zrobiła — i nikt jej nie uwierzył.



# Opowiadanie Mereditha Blake'a

Szanowny Panie!

Zgodnie z przyrzeczeniem, podaję panu na piśmie sprawozdanie z wydarzeń, do których doszło przed szesnastu laty, tak jak je najlepiej pamiętam. Przede wszystkim chciałbym zaznaczyć, iż przemyślałem dokładnie wszystko, o czym mówiliśmy podczas naszego spotkania. Po dłuższym zastanowieniu jestem jeszcze głębiej przekonany niż poprzednio, iż jest w

najwyższym stopniu nieprawdopodobne, aby to Karolina Crale otruła swego męża. Zawsze wydawało mi się to nieprawdopodobne, lecz z jednej strony brak jakiegokolwiek innego wytłumaczenia, a z drugiej jej własne zachowanie sprawiło, że niby owca przyłączyłem się do większości i zacząłem twierdzić wraz z tłumem, że jeżeli to nie ona zrobiła, jakież inne można znaleźć wytłumaczenie?

Od chwili naszego spotkania zastanawiałem się bardzo wnikliwie nad możliwością alternatywy, wysuwanej zresztą przez obronę podczas procesu — to znaczy nad możliwością, że Amyas Crale popełnił samobójstwo.



Aczkolwiek, sądząc z tego, co wiedziałem o Amyasie, tego rodzaju hipoteza wydawała mi się wówczas wręcz fantastyczna — obecnie zmieniłem zdanie. Zatem w pierwszym rzędzie okoliczność, i to bardzo znamienna, że wierzyła w to sama Karolina. Jeżeli obecnie przyjmiemy, że ta czarująca i łagodna kobieta była skazana niesłusznie, to jej tak często powtarzane twierdzenie musi mieć ogromną wagę. Znała Amyasa lepiej niż my wszyscy, jeżeli więc ona dopuszczała możliwość samobójstwa, to samobójstwo musiało być możliwe wbrew sceptycznej opinii jego przyjaciół.

Wysunąłbym w związku z tym teorię, że w Amyasie Crale'u drzemały jednak jakieś podświadome wyrzuty sumienia, a nawet rozpacz z powodu ekscesów, do jakich doprowadzał go bujny temperament, i że tylko jego żona zdawała sobie z tego sprawę. Hipoteza taka jest, jak sądzę, zupełnie możliwa. Tę stronę charakteru mógł okazywać wyłącznie żonie. Pozostaje ona wprawdzie w sprzeczności ze wszystkimi jego wypowiedziami, które kiedykolwiek słyszałem, ale wiadomo przecież, iż większość ludzi posiada pewne ukryte i na pozór sprzeczne z ich charakterem cechy, które, gdy się ujawnią, wprawiają w zdumienie nawet osoby dobrze tych ludzi znające. Bywa,

na przykład, że człowiek poważny, surowych zasad, prowadzi po kryjomu drugie, rozwiązłe życie. Prostacki groszorb zdradza niekiedy upodobanie do jakiejś wyszukanej gałęzi sztuki. Ludzie twardzi i bezlitośni kryją czasem w sobie nie znane nikomu skarby uczucia i dobroci. I przeciwnie: ludzie hojni i jowialni okazują się w pewnych wypadkach skąpcami i okrutnikami.

Jest więc rzeczą możliwą, że Amyas Crale miał ukrytą skłonność do samooskarżeń — im bardziej puszczał wodze egoizmowi, im głośniej wołał, że ma prawo robić, co mu się podoba, tym bardziej dręczyły go utajone wyrzuty sumienia. Wydaje się to na pozór

niewiarygodne, lecz obecnie sędzę, że tak właśnie być musiało. A, powtarzam raz jeszcze, Karolina obstawała wytrwale przy tym zdaniu. Powtarzam — to bardzo znamienne!

A teraz zbadajmy fakty, a raczej wspomnienie o faktach w świetle tego mojego nowego nastawienia.

Mogę tutaj chyba śmiało włączyć rozmowę, którą miałem z Karoliną na kilka tygodni przed tragedią. Było to podczas pierwszej wizyty Elzy Greer w Alderbury.

Jak już panu nadmieniałem, Karolina wiedziała o moim głębokim uczuciu miłości i przyjaźni dla niej. Byłem zatem

osobą, której mogła najbardziej zaufać. W owym czasie nie sprawiała wrażenia zbyt szczęśliwej. Zdziwiłem się jednak bardzo, kiedy zapytała mnie pewnego dnia, czy moim zdaniem Amyas kocha naprawdę tę dziewczynę, którą tu sprowadził.

— Ta kobieta interesuje go przede wszystkim jako model. Znam przecież Amyasa — odpowiedziałem.

Potrząsnęła głową.

— Nie, Amyas jest w niej zakochany — rzekła.

— No, może troszeczkę.

— Myślę, że nawet bardzo.

— Przyznaję, że jest nieprzeciętnie urodziwa — odparłem — a wiemy oboje, jak czuły jest na to Amyas. Ale wiesz już chyba, że on kocha naprawdę jedną tylko kobietę, a tą kobietą jesteś ty. Owszem, miewa różne miłostki, ale to nigdy nie trwa długo. Jesteś dla niego jedyną kobietą na świecie i chociaż zachowuje się okropnie, nie wpływa to w gruncie rzeczy na jego uczucia dla ciebie.

— Tak zawsze sądziłam.

— Wierz mi. Karo, tak jest naprawdę.

— Tym razem jednak boję się, Merry.

Ta dziewczyna jest tak strasznie, przeraźliwie szczerą. Jest taka młoda, tak głęboko wszystko odczuwa. Czuję, że tym razem to sprawa poważna.

— Ale sam fakt, że jest, jak powiadasz, taka młoda i szczerą, będzie ją chronił. Amyas na ogół nie ma skrupułów, jeśli chodzi o kobiety, ale z tą dziewczyną będzie co innego.

— Tak, tego się właśnie boję, że to będzie zupełnie co innego. — Po chwili dodała: — Mam już trzydzieści cztery lata, wiesz, Merry. Jesteśmy dziesięć lat po ślubie. Jeżeli idzie o urodę, nie mogę się równać z Elzą i zdaję sobie z tego dobrze sprawę.

— Ale przecież wiesz, Karolino, musisz wiedzieć, że Amyas jest ogromnie do ciebie przywiązany.

— Czy z mężczyznami cokolwiek wiadomo? — oparła, a potem roześmiała się smutno i powiedziała:

— Jestem kobietą zupełnie pierwotną, Merry. Chętnie bym chwyciła siekierę i zarząbała tę dziewczynę!

Odpowiedziałem, że to dziecko najprawdopodobniej nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Podziwia i wielbi Amyasa jako artystę i zapewne nie orientuje się zupełnie, że Amyas się w niej zakochał.



Karolina powiedziała tylko:

— Kochany Merry! — i zaczęła rozmowę na temat ogrodu. Miałem nadzieję, że nie będzie sobie już więcej zaprzętała głowy całą historią.

Wkrótce potem Elza wyjechała do Londynu. Amyasa również nie było przez kilka tygodni. Zapomniałem jakoś o całej tej sprawie, gdy raptem dowiedziałem się, że Elza wróciła do Alderbury, żeby Amyas mógł skończyć portret.

Wiadomość ta zaniepokoiła mnie trochę, ale Karolina przy następnym spotkaniu unikała tego tematu. Zachowywała się całkiem normalnie,

wcale nie była zmartwiona ani przygnębiona. Sądziłem więc, że wszystko jest w porządku.

Dlatego właśnie takim wielkim wstrząsem była dla mnie wiadomość, jak daleko już sprawy zaszły.

Wspomniałem panu o mojej rozmowie z Crale'em i z Elzą. Nie miałem natomiast sposobności porozmawiania z Karoliną. Raz tylko zamieniliśmy kilka słów, które już panu powtarzałem. Widzę teraz przed sobą jej twarz, szeroko rozwarte ciemne oczy i wyraz powściąganego wzburzenia. Słyszę jeszcze jej głos:

— Wszystko skończone...

Nie potrafię panu opisać bezgranicznej rozpaczyny zawartej w tych słowach. Była to prawda. Wraz z odejściem Amyasa wszystko musiało się dla niej skończyć. Dlatego właśnie jestem przekonany, że wzięła ode mnie cykutę. To było jakieś wyjście. Wyjście, które podsunął jej mój idiotyczny wykład na temat właściwości tego środka. A fragment z Fedona, odczytany przeze mnie, zawiera opis pięknej śmierci. Oto, co obecnie przypuszczam. Karolina wzięła cykutę, postanowiła bowiem odebrać sobie życie, kiedy Amyas ją opuści. Amyas widział może, jak ją brała albo odkrył później, że Karolina ma tę truciznę.

Odkrycie to wywarło na nim straszliwe wrażenie. Teraz dopiero zrozumiał, do czego doprowadził ją swoim postępowaniem. Ale mimo przerażenia i wyrzutów sumienia nie był w stanie wyrzec się Elzy. Mogę to nawet zrozumieć. Każdy, kto się w niej zakochał, nie potrafiłby się chyba od niej oderwać.

Amyas nie wyobrażał sobie życia bez Elzy, a jednocześnie rozumiał, że Karolina nie potrafi żyć bez niego. Widział więc tylko jedno wyjście: samemu zażyć cykutę.

Sposób, w jaki to zrobił, doskonale go charakteryzuje. Sztuka była dla niego czymś najdroższym w życiu. Postanowił

umrzeć dosłownie z pędzlem w ręku, a ostatnim przedmiotem na który padną jego oczy, będzie dziewczyna, którą kochał tak namiętnie. Być może myślał poza tym, że jego śmierć będzie dla niej również najlepszym wyjściem...

Przyznaję jednak, że ta moja teoria nie tłumaczy pewnych faktów. Dlaczego na przykład znaleziono na pustej butelce po cykucie tylko odciski palców Karoliny? Prawdopodobnie po wylaniu trucizny przez Amyasa wszystkie odciski palców zamazały się lub wytarły o płótno, pod którym butelka leżała, i że po jego śmierci Karolina wyjęła butelkę, żeby się przekonać, czy nikt jej nie ruszał. Czy ta teoria nie wydaje się panu

prawdopodobna i słuszna? Jeżeli natomiast chodzi o odciski palców na butelce od piwa, to świadkowie obrony byli zdania, że po zażyciu trucizny dłoń ludzka mogła wykręcić się pod wpływem skurczu i chwycić butelkę w sposób nienaturalny.

I jeszcze jedno pozostaje do wyjaśnienia: zachowanie się Karoliny przez cały czas procesu. Zdaje mi się jednak, że domyślam się już teraz jego przyczyny. To przecież Karolina wzięła truciznę z mojego laboratorium. To jej samobójczy zamiar zmusił męża, aby odebrał sobie życie zamiast niej. Całkiem więc uzasadnione może być twierdzenie, że w przystępie skrucy

poczuła się odpowiedzialna za jego śmierć — że wmówiła w siebie, iż jest winna zabójstwa, chociaż nie takiego, o jakie ją oskarżano.

Przypuszczam, że wszystko się mogło właśnie w ten sposób odbyć. A jeżeli tak jest istotnie, to chyba łatwo będzie panu wytłumaczyć to wszystko małej Karli. Może wyjść za mąż za swojego ukochanego, przekonana, że jedyną winą ze strony jej matki była chęć (nic ponadto) odebrania sobie życia.

Wszystko to razem nie jest, niestety, tym, o co pan mnie prosił, a mianowicie sprawozdaniem z wydarzeń tak, jak się one rysują w mej pamięci. Pragnę teraz naprawić ten błąd. Opowiadałem już

panu obszernie o tym, co się działo w przededniu śmierci Amyasa — przejdźmy teraz do samego dnia tragedii.

Spałem bardzo źle. Myśl o fatalnym powikłaniu w życiu moich przyjaciół spędzała mi sen z powiek. Po długich bezowocnych rozmyślaniach, w jaki sposób mógłbym odwrócić katastrofę, zapadłem w głęboki sen dopiero o godzinie szóstej nad ranem. Nawet podanie rannej herbaty nie zdołało mnie wyrwać ze snu. Aż wreszcie około wpół do dziesiątej obudziłem się z ciężką głową, niewypoczęty. Wkrótce potem zdawało mi się, że słyszę jakiś ruch w pokoju na dole, który służył mi za laboratorium.



Musiał to być zapewne kot, bo okno było nie domknięte, jak je przez zaniechanie zostawiono poprzedniego dnia. Szpara była dość duża, aby kot mógł się przez nią przecisnąć. Wspominam o tym tylko dlatego, żeby wytłumaczyć, dlaczego udałem się do laboratorium.

Ubrałem się, zszedłem na dół i oglądając półki, spostrzegłem, że butelka zawierająca preparat cykuty jest trochę wysunięta z szeregu. Przyjrząwszy się uważniej, stwierdziłem, że jej zawartość znacznie się zmniejszyła. Poprzedniego dnia butelka była prawie pełna, obecnie zaś — niemal pusta.

Zamknąłem szczelnie okno i wyszedłem z pokoju, przekręcając klucz w drzwiach. Byłem zdumiony i zaniepokojony, a w takich wypadkach, muszę niestety wyznać, moje procesy myślowe ulegają znacznemu zwolnieniu.

W pierwszej chwili byłem tylko zaniepokojony, potem obawy moje zaczęły wzrastać, aż wreszcie ogarnął mnie wielki strach. Przepytałem całą służbę, wszyscy jednak kategorycznie twierdzili, że w ogóle nie wchodzili do laboratorium. Pomyślawszy jeszcze trochę, zdecydowałem się zatelefonować do brata z prośbą o radę.

Filip był bystrzejszy ode mnie. Zrozumiał powagę mojego odkrycia i

nalegał, żebym natychmiast się z nim zobaczył i naradził.

Wyszedłem i spotkałem na drodze pannę Williams, która przeprowiła się tutaj z przeciwległego brzegu w poszukiwaniu swej krnąbrnej uczennicy. Zapewniłem ją, że nie widziałem Angeli i że wcale tu nie była. Panna Williams zorientowała się zapewne, że stało się coś przykrego, bo spojrzała na mnie badawczo. Nie miałem jednak zamiaru wtajemniczać jej w to, co zaszło, posiedziałem więc tylko, żeby poszukała w sadzie — Angela miała tam ulubioną jabłoń — sam zaś szybko zszedłem na brzeg i przeprowiłem się na drugą stronę, do Alderbury.

Tam już czekał na mnie brat.

Poszliśmy razem tą ścieżką, którą już szliśmy kiedyś z panem. Orientuje się pan, że przechodząc obok ogrodu, musi się słyszeć wszystko, co się tam mówi. Poza stwierdzeniem jednak, że Amyas i Karolina kłócą się o coś, nie zwróciłem uwagi na ich słowa. Twierdzę z całą stanowczością, że z ust Karoliny nie padły żadne pogrożki. Tematem rozmowy była Angela, a Karolina, jak sądzę, prosiła o odroczenie terminu jej wyjazdu do szkoły. Amyas jednak był nieugięty. Krzyczał gniewnie, że postanowienia zapadło i on każe jej pakować manatki.

W momencie kiedy znaleźliśmy się na

wprost ogrodu, furtka się otworzyła i wyszła z niej Karolina. Minę miała nieco stroskaną. Uśmiechnęła się do mnie z wyrazem roztargnienia i powiedziała, że oboje z Amyasem rozbawiali o Angeli. W tej chwili nadeszła Elza, a że Amyas najwyraźniej chciał zabrać się czym prędzej do pracy, poszliśmy dalej ścieżką pod górę, żeby mu nie przeszkadzać.

Filip robił sobie potem gorzkie wyrzuty, że nie rozpoczęliśmy natychmiast jakichś kroków zapobiegawczych. Ja jednak się z nim nie zgadzam. Nie mieliśmy najmniejszych podstaw, do przypuszczeń, że ktoś planuje zabójstwo.

Co więcej, jestem teraz przekonany, że nikt zabójstwa nie planował. Jasne dla mnie było, że musimy coś przedsięwziąć, utrzymuję jednak nadal, że mieliśmy słuszość, chcąc przedtem wszystko szczegółowo przedyskutować. Trzeba było znaleźć właściwe wyjście — a poza tym zastanawiałem się kilkakrotnie, czy się mimo wszystko nie omyliłem. Czy istotnie poprzedniego dnia butelka była pełna? Nie należę do ludzi, którzy (jak mój brat Filip) są zawsze pewni swego. Pamięć lubi czasem płatać figle. Jak często, na przykład, jest się święcie przekonanym, że położyło się gdzieś jakąś rzecz, a potem okazuje się, że położyło się ją zupełnie gdzie indziej. Im usilniej

staralem się sobie przypomnieć, w jakim stanie znajdowała się butelka poprzedniego dnia — tym mniej byłem pewien i tym więcej miałem wątpliwości. Irytowało to bardzo Filipa, który zaczął już tracić cierpliwość.

Nie mogliśmy dyskutować dłużej na ten temat i na mocy milczącego porozumienia odłożyliśmy sprawę na później, po lunchu. (Muszę tu wtrącić, że mogłem zawsze wpaść do Alderbury na lunch, ilekroć miałem na to ochotę.)

Nieco później Karolina i Angela przyniosły nam piwo. Zapytałem Angelę, czemu uciekła, i powiedziałem, że panna Williams jest na nią bardzo zła, na co mi odpowiedziała, że poszła się kąpać,

dodając, że zupełnie nie rozumie, po co ma reperować tę starą zniszczoną sukienkę, kiedy przecież i tak, jadąc do szkoły, dostanie wszystko nowe. Ponieważ nie wyglądało na to, aby się nadarzyła sposobność dalszej rozmowy sam na sam z Filipem, a nadto chciałem jeszcze sam o wszystkim pomyśleć — powędrowałem sobie ścieżką w dół, w kierunku „Baterii”. Tuż nad „Baterią”, jak już panu wówczas pokazywałem, jest mała polanka wśród drzew, na której stała niegdyś stara ławka. Usiadłem na niej. Paliłem papierosa i rozmyślałem, przyglądając się jednocześnie Elzie pozującej Amyasowi.



Zawsze będę ją miał taką przed oczyma: zastygłą w pozie, w żółtej bluzeczce i ciemnogrnatowych spodniach, ; zarzuconym luźno na ramiona czerwonym swetrem.

Twarz jej jaśniała życiem, zdrowiem i jakimś wewnętrznym blaskiem. Wesołym głosem snuła plany na przyszłość.

Może się zdawać, że podsłuchiwałem, ale wcale tak nie było. Elza widziała mnie doskonale — zarówno ona, jak i Amyas, wiedzieli o mojej obecności. Skinęła mi ręką, skarżąc się, że Amyas zachowuje się dziś jak niedźwiedź i nie pozwala jej ani chwili odpocząć, chociaż cała już ścierpła i zdrętwiała od

pozowania. Amyas burknął, że on z pewnością jeszcze bardziej ścierpł od niej. Wszystkie mięśnie mu zeszywniały, to chyba reumatyzm. Elza odpowiedziała mu na to drwiąco: „Biedny staruszek”! Odparł na to, że ona bierze sobie zgrzybianego inwalidę.

Byłem zgorszony tą wesołą gadaniną o wspólnej przyszłości, boć zadawali przecież Karolinie tyle bólu. A mimo to nie mogłem potępiać Elzy. Była taka młoda, taka ufna, taka zakochana. W gruncie rzeczy nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi, nie rozumiała, co to jest cierpienie. Zakładała po prostu z naiwną ufnością dziecka, że Karolinie „nic się nie stanie”, że się szybko

pocieszę. Była zaślepiona, nie widziała nic poza sobą i Amyasem, poza ich wspólnym szczęściem. Już raz mi wytknęła moje staroświeckie poglądy. Ale czyż można spodziewać się litości po promiennej młodzieży? Uczucie to znane jest tylko ludziom starszym, bardziej doświadczonym.

Rzecz prosta, nie mówili wiele. Malarze nie lubią rozmawiać przy pracy. Elza odzywała się do niego mniej więcej co dziesięć minut, on zaś mruczał coś w odpowiedzi. W pewnej chwili Elza powiedziała:

— Masz chyba rację co do Hiszpanii: to będzie pierwszy kraj, do którego pojedziemy. I musisz mnie zaprowadzić

na walkę byków. To musi być cudowne. Ale ja wolałabym, żeby to byk zabijał toreadora, a nie odwrotnie. Rozumiem, co czuły rzymskie kobiety, patrząc na umierających gladiatorów. Ludzie warci są niewiele, ale zwierzęta są wspaniałe!

Sama Elza podobna była do zwierzęcia — młoda, prymitywna, nie znająca jeszcze smutnych doświadczeń człowieka dojrzałego ani jego wątpliwej mądrości. Moim zdaniem Elza nie zaczęła jeszcze myśleć — ona tylko czuła. Była jednak przy tym pełna życia, może w największym stopniu ze znanych mi osób.

Ostatni raz wtedy była taka promienna

i pewna siebie, jak gdyby cały świat do niej należał. To się nazywa, zdaje się, euforia, nieprawdaż? Rozległ się gong wzywający na lunch, wstałem więc i ruszyłem ścieżką w dół, a przy furtce przyłączyła się do mnie Elza. Po wyjściu z zacienionej polanki oślepiło mnie jaskrawe światło — prawie nic przed sobą nie widziałem. Amyas siedział rozparty na ławce, z rozrzuconymi ramionami. Wpatrywał się w obraz — często widziałem go w tej pozie. Skąd mogłem wiedzieć, że trucizna zaczęła wtedy już działać? Że gdy siedział na ławce, ogarniał go już bezwład?

Tak nie znosił chorób, choroby tak go

zawsze irytowały! Nigdy się nie przyznawał, że jest chory. Myślał pewnie, że dostał porażenia słonecznego — objawy są bardzo podobne, ale nie poskarżyłby się za nic.

— Nie chcę iść na lunch — powiedziała Elza.

Pomyślałem sobie, że mądrze robi, a na głos zawołałem:

— A więc do zobaczenia!

Oderwał oczy od portretu i spojrzał na mnie. Wyraz ich był dziwny. Jakby niechętny. Gniewne, wrogie spojrzenie.

Nie zrozumiałem go oczywiście.

Jeżeli przy malowaniu coś mu się nie udawało, często miał taki morderczy wyraz twarzy. Myślałem więc, że tak jest i teraz. Wydał przy tym jakiś pomruk. Ani ja, ani Elza nie widzieliśmy w jego zachowaniu nic niezwykłego. Ot, po prostu humory artysty.

Zostawiliśmy go więc samego i poszliśmy do domu śmiejąc się i rozmawiając. Gdyby to biedne dziecko wtedy wiedziało, że już go nie zobaczy żywego... No, ale chwała Bogu, nie wiedziała, mogła choć przez krótki czas jeszcze być szczęśliwa.

Karolina zachowywała się przy lunchu zupełnie normalnie. Była może tylko trochę zamyślona, ale nic poza tym.

A czyż to nie dowód, że nie miała z tym nic wspólnego? Nie mogła przecież tak świetnie udawać.

Potem ona i guwernantka znalazły go w ogrodzie. Gdy panna Williams biegła do domu, spotkałem ją. Prosiła, żebym zatelefonował po doktora, a sama wróciła do Karoliny.

Biedne dziecko... myślę tu o Elzie. Była to prawdziwie dziecięca, niepohamowana rozpacz. Dzieci nie wierzą, że życie może tak okrutnie z nimi postąpić. Karolina była zupełnie spokojna. Tak, pamiętam, zupełnie spokojna. Rzecz prosta, potrafiła lepiej nad sobą panować niż Elza. Nie znać też



było po niej skruchy, przynajmniej wtedy nie było jeszcze znać. Powieliała jedynie, że on sam się musiał otruć. A myśmy nie mogli w to uwierzyć. Elza z pasją cisnęła jej w twarz oskarżenie. Karolina być może zdawała sobie już sprawę, że podejrzenie padnie na nią. Tak, to zupełnie tłumaczyłoby jej zachowanie.

Filip był przekonany, że to ona popełniła tę zbrodnię.

Guwernantka okazała się wielce pomocna. Przede wszystkim zdołała poskromić Elzę. Kazała się jej położyć i wziąć jakieś uspokajające krople. A kiedy przybyła policja, zajęła się Angelą. Tak, ta kobieta była mocna jak

skała!

Potem już wszystko stało się zupełnym koszmarem. Policja rewidowała cały dom i zasypywała wszystkich pytaniami, roje reporterów snuły się dookoła domu: trzaskano aparatami fotograficznymi i domagano się wywiadów z każdym członkiem rodziny.

Istny koszmar...

Jeszcze teraz po upływie tylu lat, wszystko to wydaje mi się koszmarem.

Daj Boże — kiedy opowie już pan małej Karli, jak to wszystko było naprawdę — byśmy mogli zapomnieć o całej tej sprawie i nigdy już do niej nie

wracać!

Chociaż to na pozór zupełnie  
nieprawdopodobne, Amyas musiał  
jednak popełnić samobójstwo!

# Opowiadanie lady Dittisham

Spisałam tu całą historię mojej znajomości z Amyasem Crale'em aż do chwili jego tragicznej śmierci.

Po raz pierwszy ujrzałam go na przyjęciu w pewnej pracowni malarskiej. Pamiętam, że stał wtedy przy oknie, zobaczyłam go wchodząc... Spytałam, kto to, a ktoś opowiedział: „To Crale, ten malarz”. Powiedziałam od razu, że chciałabym go poznać. Rozmawialiśmy wtedy z sobą jakieś

dziesięć minut. Gdy ktoś wywiera na drugiej osobie takie wrażenie, jakie Amyas wywarł na mnie — to daremne są próby opisania tego. Jeżeli więc powiem, że przy Amyasie Crale'u wszyscy pozostali ludzie zbledli i rozplynęli się we mgle, to może w słabym stopniu oddam to wrażenie.

Natychmiast po tym spotkaniu postarałam się obejrzeć tyle jego obrazów, ile tylko było możliwe. Właśnie na Bond Street odbywała się jego wystawa. Jeden obraz był w Manchesterze, jeden w Leeds, dwa w galeriach londyńskich. Obejrzałam je wszystkie. Potem znów się spotkaliśmy i powiedziałam mu:

— Widziałam wszystkie pana obrazy.  
Moim zdaniem a cudowne!

Spojrzał na mnie ubawiony.

— Któż to panią upoważnił do  
wydawania ocen? — zapytał. — Nie  
sądzę, żeby pani знаła się choć trochę na  
malarstwie.

— Może się nie znam, ale i tak są  
wspaniałe.

Uśmiechnął się szeroko i powiedział:

— Niechże pani nie będzie  
afektowanym głuptaskiem!

— Wcale nie jestem. Chcę, żeby mnie

pan malował

— Jeżeli pani ma choć odrobinę oleju w głowie, powinna się pani zorientować, że nie robię portretów ładnych kobiet.

— To niekoniecznie musi być portret. A poza tym nie jestem ładną kobietą.

Spojrzał na mnie, jak gdyby widział mnie po raz pierwszy, i powiedział:

— Tak, może to prawda.

— Więc będzie mnie pan malował?

Przyglądał mi się uważnie z głową przechyloną na bok, potem powiedział:

— Dziwne z pani stworzenie...

— Jestem bogata, proszę pana. Mogę panu dobrze zapłacić.

— Dlaczego tak pani zależy na tym, żebym panią malował?

— Bo... bo chcę!

— I to ma być wystarczający powód?

— Tak. Zawsze zdobywam to, czego chcę.

— Jakżeż pani jest młoda, drogie dziecko!

— No więc, czy będzie mnie pan



malował?

Amyas wziął mnie za ramiona, odwrócił do światła i dokładnie mnie obejrzał. Potem cofnął się o kilka kroków, ja zaś stałam nieruchomo, czekając, co powie.

— Miałem kiedyś ochotę namalować stado niewiarygodnie kolorowych australijskich papużek, siadających na katedrze świętego Pawła. Gdybym namalował panią na tle tradycyjnego krajobrazu, uzyskałbym zupełnie taki sam efekt.

— Więc będzie mnie pan malował?

— Pani jest jednym z

najśliczniejszych, najwulgarniejszych, najjaskrawszych zlepków egzotycznych barw, jakie kiedykolwiek widziałem. Będę panią malował!

— W takim razie załatwione! — powiedziała.

— Ale muszę panią ostrzec, panno Elzo! Jeżeli będę panią malował, to przypuszczalnie zacznę się do pani zalecać.

— Liczę na to...

Powiedziałam to cicho i spokojnie. Słyszałam, jak odetchnął szybko, i dostrzegłam wyraz, który błysnął w jego oczach.

Widzi pan, jak nagłe było to wszystko.

W dwa czy trzy dni później spotkaliśmy się znowu. Powiedział mi wtedy, że chciałby, żebym pojechała do jego domu w Devonshire, bo tam będzie najodpowiedniejsze tło do obrazu. Dodał przy tym:

— Musi pani wiedzieć, że jestem żonaty. I bardzo kocham żonę.

Powiedziałam, że jeżeli ją kocha, to musi być bardzo miła. Odparł, że istotnie jest ogromnie miła.

— Więcej nawet — dodał. — Jest urocza i uwielbiam ją. Możesz to sobie powtarzać codziennie przed zaśnięciem,

moja mała!

Odpowiedziałam, że doskonale wszystko rozumiem.

W tydzień później zaczął obraz. Karolina Crale przywitała mnie bardzo życzliwie. Czułam, że nie lubi mnie specjalnie, ale i dlaczegoż by miała mnie lubić? Amyas był bardzo ostrożny. Nigdy nie powiedział słowa, którego by nie mogła usłyszeć jego żona — ja zaś zachowywałam się względem niego uprzejmie oficjalnie. W głębi duszy jednak czuliśmy zupełnie co innego.

Po dziesięciu dniach powiedział mi, że mam wracać do Londynu.

— Ale przecież obraz nie jest jeszcze skończony — odpowiedziałam.

— Ledwie go zacząłem. Prawdę mówiąc, chodzi o to, że nie mogę cię malować, Elzo.

— Dlaczego?

— Wiesz dobrze, dlaczego. I dlatego właśnie musisz wyjechać. Nie mogę myśleć o obrazie, nie mogę myśleć o niczym, myślę tylko o tobie.

Byliśmy wtedy w ogrodzie „Baterii”. Był upalny słoneczny dzień. Wokoło świergotały ptaki i brzęczały pszczoły. Świat powinien był wydawać mi się w takim dniu szczęśliwy i spokojny. Było

jednak inaczej. Nastrój miał w sobie coś z tragedii. Jak gdyby odbijało się już w nim to, co miało się stać.

Chociaż wiedziałam, że mój wyjazd do Londynu na nic się nie zda, odpowiedziałam jednak:

— Doskonale. Wyjadę, jeśli każesz.

— Słusznie.

Wyjechałam więc i nie pisałam do niego. Wytrzymał dziesięć dni, a potem przyjechał. Był tak wymizerowany i zgnębiony, że się przeraziłam.

— Ostrzegałem cię, Elzo — powiedział. — Nie mów, że cię nie

ostrzegałem...

— Czekałam na ciebie —  
powiedziałam. — Wiedziałam, że  
przyjedziesz.

Jęknął z rozpaczą:

— Są rzeczy silniejsze od człowieka.  
Pragnę cię tak, że nie mogę jeść ani  
spać, ani znaleźć chwili wypoczynku.

Odpowiedziałam, że znam to, bo ze  
mną jest tak samo od pierwszej chwili,  
kiedy go ujrzałam. To po prostu fatum i  
nie ma co z nim walczyć.

— Tyś nie walczyła zbyt silnie, Elzo?  
Odparłam, że nie walczyłam wcale.

Powiedział, że chciałby, abym nie była taka młoda, ale oświadczyłam, że to nie ma nic do rzeczy. Mogę chyba śmiało powiedzieć, że przez kilka następnych tygodni byliśmy nieopisanie szczęśliwi. Ale słowo „szczęście” może nie jest właściwym określeniem. To było uczucie głębsze, a jednocześnie jakby groźne.

Byliśmy stworzeni dla siebie, odnaleźliśmy się i oboje wiedzieliśmy, że musimy zostać ze sobą na zawsze.

Ale zdarzyło się coś jeszcze. Amyasa zaczęła prześladować myśl o nie dokończonym obrazie. Powiedział raz do mnie:



— Ciekawe... Przedtem nie mogłem cię malować. Ty sama mi w tym przeszkadzałaś. A teraz chcę cię namalować, Elzo, i czuję, że to będzie mój najlepszy obraz. Palą mnie wprost i pieką palce, żeby schwycić za pędzel i patrzeć, jak siedzisz na tym starym parapecie. Konwencjonalny błękit morza, czcigodne angielskie drzewa. A ty... ty na tym tle, niby przeszywający, triumfalny wrzask! I muszę cię w ten sposób namalować! A póki będę pracował, nie zniosę, żeby mi przeszkadzano i zawracano mi głowę. Kiedy obraz będzie skończony, powiem Karolinie prawdę i rozwijamy tę całą gmatwaninę.

— Czy Karolina będzie robić trudności z rozwodem? — zapytałam.

Odpowiedział, że nie przypuszcza, ale z kobietami nigdy nic nie wiadomo. Ja ze swej strony stwierdziłam, że będzie mi przykro, jeśli ją to zmartwi, ale trudno, takie rzeczy się zdarzają.

— Bardzo to logiczne i rozsądne, Elzo — zauważył. — Ale Karolina jednak nie jest i nigdy nie była rozsądna, i już na pewno nie będzie rozsądna w tym wypadku. Bo uważasz, ona mnie kocha.

Odparłam, że to rozumiem, ale jeżeli go kocha, to jego szczęście będzie dla niej sprawą najważniejszą i w każdym razie nie będzie go chciała zatrzymać

przy sobie siłą.

— Życie nie da się rządzić mądrymi książkowymi maksymami — rzekł Amyas. — Nie zapominaj, że natura jest drapieżna, ma zęby i pazury.

— Jesteśmy chyba ludźmi cywilizowanymi — powiedziałam, ale Amyas wybuchnął śmiechem.

— „Cywilizowanymi”! Bzdury! Karolina z pewnością będzie cierpieć. Nie rozumiesz, co to jest cierpienie?

— To jej nic nie mów.

— Nie, tego się nie uniknie. Musisz być moja, Elzo. Jawnie, wobec całego

świata.

— A jeżeli ona nie zechce ci dać rozwodu?

— Tego się nie boję.

— A więc czego?

— Sam nie wiem — odpowiedział z wolna.

Widzi pan, Amyas znał Karolinę. Ja jej nie znałam.

Gdybym choć podejrzewała...

Pojechaliśmy znowu do Alderbury. Tym razem sytuacja była bardzo trudna,

Karolina nabrała podejrzeń. Bardzo mi się to nie podobało, wcale a wcale mi się to nie podobało. Nigdy nie znosiłam kłamstwa i zatajania. Uważałam, że powinniśmy jej o wszystkim powiedzieć, Amyas jednak nie chciał o tym słyszeć.

Najdziwniejsze było to, że go cała ta sprawa w gruncie rzeczy nic nie obchodziła. Był do Karoliny bardzo przywiązany, nie chciał jej sprawiać bólu, a przecież nic sobie z tego nie robił, czy postępuje uczciwie, czy nieuczciwie. Malował z jakimś zapamiętaniem i nic poza tym dla niego nie istniało. Nigdy dotychczas nie widziałam go w chwili natchnienia i

dopiero teraz pojęłam, co to za wielki talent. Był tak pochłonięty robotą, że nie liczył się nawet z elementarnymi zasadami przyzwoitości. Dla niego stan taki był rzeczą zupełnie naturalną, dla mnie jednak sprawy wyglądały inaczej. Znalazłam się w okropnej sytuacji. Karolinę gniewała moja obecność, czemu się trudno zresztą dziwić. Żeby wyjaśnić sytuację, pozostawało jedno tylko wyjście: powiedzieć jej uczciwie prawdę.

Amyas jednak powtarzał wciąż wymówkę, że dopóki nie skończy obrazu, nie chce żadnych dramatów i scen. Ja natomiast twierdziłam, że przypuszczalnie żadnych scen nie

będzie. Karolina jest na to zbyt dumna i ma zbyt wiele godności.

— Chcę być uczciwa — należałam.  
— Musimy być uczciwi.

— Pal licha uczciwość —  
odpowiadał zirytowany. — Widzisz  
przecież, u diabła, że maluję!

Rozumiałam jego stanowisko, ale on nie chciał zrozumieć mojego.

Wreszcie nie wytrzymałam. Karolina zaczęła opowiadać coś o projektach, które oboje z Amyasem mają na przyszłą jesień. Mówiła o tym z całą ufnością. Poczulałam nagle, że to, co robimy, jest ohydne, nie powinniśmy pozwolić jej

się ludzi — a poza tym byłam może zła, bo doprawdy traktowała mnie w sposób bardzo przykry, a zarazem tak subtelny, że trudno było jej zarzucić coś konkretnego.

Palnęłam jej więc prawdę w oczy. Do dziś sędzę, że miałam do pewnego stopnia słuszość — chociaż nie zrobiłabym tego oczywiście, gdybym choć przez sekundę mogła przewidzieć, co z tego wyniknie.

Bomba pękła. Amyas był na mnie wściekły, musiał jednak przyznać, że powiedziałam prawdę.

Zachowanie się Karoliny było dla mnie zagadką. Poszliśmy wszyscy na



herbatę do Mereditha Blake'a i Karolina panowała nad sobą wspaniale. Śmiała się i rozmawiała. W swojej głupocie sądziłam, że pogodziła się z losem i już się nie przejmuje. Krępujące było to, że nie mogłam wyjechać z Alderbury, bo Amyas wpadłby w furję, gdybym o tym choć wspomniała. Myślałam, że może Karolina wyjedzie, ułatwiłoby to nam wszystkim sytuację.

Nie widziałam, jak wzięła cykutę. Chcę być zupełnie szczerą, powiem więc, że być może wzięła ją z myślą o samobójstwie, jak to potem twierdziła.

Ale w głębi serca nie wierzę w to. Moim zdaniem należała ona do owych piekielnie zazdrosnych kobiet, które nie

oddadzą niczego, co, jak sądzą, jest ich własnością. Moim zdaniem gotowa była raczej go zabić, aniżeli pozwolić mu odejść raz na zawsze z inną kobietą. Mam wrażenie, że już wtedy postanowiła, że go zabije. Wykład Mereditha o własnościach cykuty podsunął jej tylko sposób wykonania powziętego już postanowienia. Była mściwa i zawzięta z natury. Amyas wiedział od początku, że jest niebezpieczna. Ja nie miałam o tym pojęcia.

Nazajutrz rano miała ostateczną rozmowę z Amyasem. Słyszałam prawie wszystko z tarasu. Amyas był wspaniały. Niesłychanie cierpliwy i spokojny.

Zaklinał ją, żeby była rozsądna, zapewniał, że jest ogromnie przywiązany do niej i do dziecka, i to się nigdy nie zmieni. Zrobi wszystko, żeby im zapewnić przyszłość. Potem powiedział trochę już twardziej:

— Zrozumże wreszcie! Postanowiłem ożenić się z Elzą i nic mnie od tego nie powstrzyma. Zawsze mówiliśmy, że zostawiamy sobie zupełną swobodę. Przecież takie rzeczy się zdarzają.

— Rób, jak chcesz. Ja cię ostrzegłam — powiedziała cicho Karolina, ale w głosie jej zabrzmiała jakaś dziwna nuta.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Karolino?

— Należysz do mnie i nie pozwolę ci odejść. Raczej cię zabiję, niż cię oddam tej dziewczynie...

W tej chwili na taras wszedł Filip Blake. Wstałam więc i podeszłam do niego. Nie chciałam, żeby słyszał, co tamci mówią.

Po chwili zjawił się Amyas i powiedział, że czas wracać do roboty. Poszliśmy więc razem do „Baterii”. Amyas mówił niewiele. Powiedział mi tylko, że Karolina robi trudności, ale, na litość boską, nie mówmy o tym. Musi się skupić do pracy. Jeszcze dzień, powiedział, i obraz będzie skończony.

— I to będzie moja najlepsza rzecz —

dodał. — Chociażby miała być opłacona krwią i łzami.

Trochę później poszłam do domu po sweter, bo wiał chłodny wiatr. Po powrocie zastałam w ogrodzie Karolinę. Przypuszczam, że chciała jeszcze po raz ostami zaapelować do jego uczuć. Oprócz niej byli tam Filip i Meredith Blake.

Wtedy właśnie Amyas powiedział, że chce mu się pić, a piwo w szopie jest za ciepłe. Karolina obiecała, że zaraz przyśle mu z domu zmrożone piwo. Powiedziała to tonem zupełnie naturalnym, niemal przyjaznym. Ta kobieta była wyborną aktorką. Przecież wiedziała już wtedy, co zamierza zrobić.

Po jakichś dziesięciu minutach przyniosła piwo. Amyas pogrążony był w pracy. Nalała piwa do szklanki i postawiła ją przy nim. Żadne z nas nie patrzyło na nią. Amyas był całkowicie zaabsorbowany malowaniem, ja zaś nie mogłam zmienić pozy. Amyas jak zwykle wypił piwo duszkiem. Potem skrzywił się i powiedział, że piwo ma wstrętny smak, ale przynajmniej jest zimne.

Ale nawet kiedy to powiedział, nie zrodziło się we mnie żadne podejrzenie. Roześmiałam się tylko i powiedziałam:

— Aha... wątróbka!

Karolina odeszła, gdy zobaczyła, że wypił piwo.

Mniej więcej w czterdzieści minut później Amyas zaczął się skarżyć na bóle i sztywność kończyn. Wyraził przypuszczenie, że to reumatyzm. Amyas zawsze niechętnie przyznawał się do wszelkich dolegliwości i nie znosił, żeby się przy nim krzątano. Zakończył więc lekkim tonem:

— To pewno starość. Wzięłaś sobie zgrzybiałego starucha, Elzo.

Odpowiedziałam równie lekko, zauważyłam jednak, że nogi ma sztywne, porusza się dziwnie i skrzywił się kilka razy. Ani na chwilę nie przyszło mi do

głowy, że to może nie być reumatyzm. Wsunął ławkę, usiadł na niej i tylko co pewien czas dotykał pędzlem płótna tu i ówdzie. Zachowywał się tak niekiedy podczas pracy. Siedział bez ruchu, przenosząc wzrok ze mnie na płótno. Potrafił tak siedzieć choćby pół godziny, nie widziałam więc w tym nic szczególnego.

Usłyszeliśmy gong wzywający na obiad, ale Amyas oświadczył, że nie pójdzie. Zostanie tutaj i nie chce nic jeść. To mu się też nieraz zdarzało, a poza tym wolał nie jeść, niż znaleźć się znów twarzą w twarz z Karoliną.

Mówił jakoś dziwnie bełkotliwie. Ale i to mu się zdarzało, kiedy praca nie szła



mu tak, jak sobie życzył.

Tymczasem przyszedł po mnie Meredith Blake. Powiedział coś do Amyasa, ale ten tylko odburknął niewyraźnie.

Poszliśmy więc razem do domu, zostawiając Amyasa w ogrodzie. Zostawiliśmy go tam na samotną śmierć. Mało stykałam się dotąd z chorobami — niewiele się na nich znałam. Sądziłam, że Amyas jest po prostu w złym humorze, jak to się zdarza artystom. Gdybym wiedziała... gdybym sobie zdawała sprawę... może szybka pomoc lekarska zdołałaby go jeszcze uratować... O Boże! Czemuż... ale nie

warto teraz o tym myśleć. Byłam ślepa.  
Ślepa, tępa kretyńska!

Niewiele już zostało do powiedzenia!

Po lunchu Karolina i guwernantka poszły do ogrodu. Meredith poszedł za nimi. Po chwili jak szalony przybiegł z powrotem i powiedział, że Amyas nie żyje.

Wtedy zrozumiałam! To znaczy, zrozumiałam, że to dzieło Karoliny. Ale wciąż jeszcze nie myślałam o truciznie. Myślałam raczej, że poszła tam i zastrzeliła go albo zasztyletowała.

Chciałam się na nią rzucić... zabić ją...

Jak mogła to zrobić! Jak mogła? Był taki pełen życia energii. Zniszczyć to, sprawić, żeby stał się zimny i bezwładny! Żeby tylko nie odszedł do mnie!

Straszna kobieta...

Straszna, okrutna, mściwa kobieta...

Nienawidzę jej. Wciąż jeszcze jej nienawidzę.

I nawet jej nie powiesili.

Powinni byli ją powiesić...

Ale nawet taka kara była dla niej za lekka...

Nienawidzę jej... nienawidzę...  
nienawidzę...

# Opowiadanie Cecylii Williams

*Szanowny Panie!*

*Przesyłam panu opis tych wypadków z września 19.... których sama byłam świadkiem.*

*Opisałam wszystko najzupełniej szczerze, nic nie zatajając. Może pan to pokazać Karli Crale. Będzie to może dla niej bolesne, ale zawsze byłam zwolenniczką prawdy. Wszelkie półśrodki przynoszą tylko szkodę.*

*Człowiek musi odważnie patrzeć  
prawdzie w oczy. Bez takiej odwagi  
życie nie ma dla niego wartości.  
Najwięcej krzywdy w życiu robią nam  
ludzie, którzy chronią nas przed  
rzeczywistością.*

*Z wyrazami poważania Cecylia  
Williams*

Nazywam się Cecylia Williams... W  
r. 19... pani Crale zaangażowała mnie  
jako guwernantkę do swej przyrodniej  
siostry, Angeli Warren. Miałam  
wówczas czterdzieści osiem lat.

Przystąpiłam do pełnienia

obowiązków w Alderbury, bardzo pięknej posiadłości ziemskiej w południowym Devonie, należącej od wielu pokoleń do rodziny Crale'ów. Wiedziałam, że pan Crale jest znanym malarzem, ale nie widziałam go nigdy do chwili, kiedy zamieszkałam w Alderbury.

Domownikami byli państwo Crale'owie, Angela Warren (wówczas piętnastoletnia dziewczynka) oraz troje służących, zatrudnionych tam już od wielu lat.

Moja uczennica okazała się bardzo interesującym i obiecującym dzieckiem. Była wybitnie uzdolniona i nauczanie jej stanowiło prawdziwą przyjemność. Była

wprawdzie dość dzika i niesforna, wynikało to jednak równie z jej żywego usposobienia, a zawsze lubiłam żywe uczennice. Nadmiar żywości zazwyczaj można skierować na tory pożytecznej pracy i samodoskonalenia. Angela na ogół dość łatwo poddawała się dyscyplinie. Była nieco rozpieszczona. Winę za to ponosiła przede wszystkim pani Crale, która okazywała jej zbyt wielką pobłażliwość. Pan Crale był czynnikiem, że tak powiem, dezorganizującym. Jednego dnia pozwalał dziewczynce na wszystko, innego znów traktował ją z nadmierną surowością. Można by go określić jako człowieka kierującego się nastrojami — prawdopodobnie z powodu tak zwanego



artystycznego temperamentu.

Ja osobiście nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego posiadanie zdolności artystycznych ma zwalniać człowieka od trzymania się w korbach. Zresztą obrazy pana Crale'a nie były specjalnie w moim guście. Rysunek wydawał mi się wadliwy, kolory przesadzone, ale oczywiście nie czułam się powołana do wydawania opinii w tych sprawach.

Wkrótce przywiązałam się głęboko do pani Crale. Podziwiałam jej charakter i męstwo, z którym stawiała czoło trudnościom swego życia. Pan Crale nie był specjalnie wzorowym małżonkiem i sędzę, że jego postępowanie

przysparzało jej licznych cierpień. Kobieta o silniejszym charakterze dawno by już opuściła takiego męża, ale pani Crale nie myślała nawet nigdy o takim kroku. Tolerowała zdrady i wybaczała mu je — aczkolwiek nie w pokorze i milczeniu. Protestowała, i to bardzo gwałtownie.

Mówiono w sądzie, że żyli ze sobą jak pies z kotem. Nie użyłabym takiego określenia: pani Crale miała zbyt wiele godności osobistej, aby można było w ten sposób o niej powiedzieć. Kłócili się jednak nieraz. W tych warunkach zresztą było to moim zdaniem zupełnie naturalne.

Przebywałam już od dwóch lat w domu państwa Crale'ów, kiedy na horyzoncie zjawiała się panna Elza Greer. Przyjechała do Alderbury w lecie 19... Pani Crale nie знаła jej przedtem. Była przyjaciółką pana Crale'a i, jak mówiono, zjechała do Alderbury po to, żeby pozować mu do portretu. Od razu rzuciło się w oczy, że Crale jest zakochany w dziewczynie, ona zaś nie robi nic, żeby go zniechęcić. Zachowywała się moim zdaniem okropnie, była niesłychanie arogancka w stosunku do pani Crale i jawnie flirtowała z jej mężem.

Pani Crale, rzecz prosta, nie rozmawiała o tym ze mną, ale doskonale

się orientowałam, że jest zaniepokojona i zmartwiona, toteż robiłam wszystko, co mogłam, żeby ją rozerwać i jej ulżyć. Panna Greer codziennie pozowała panu Crale'owi, zauważyłam jednak, że portret nie postępuje naprzód tak, jak powinien. Widocznie mieli sobie moc do powiedzenia.

Uczennica moja, dzięki Bogu, nie bardzo się orientowała w całej sytuacji. Chociaż doskonale rozwinięta umysłowo, Angela była pod pewnymi względami jeszcze zupełnie dziecinna. Nie interesowała się wcale nieodpowiednią dla niej lekturą ani nie zdradzała niezdrowej ciekawości, jaką można często zaobserwować u

dziewcząt w jej wieku.

Nie widziała wskutek tego nic zdrożnego w przyjaźni pana Crale'a z panną Greer. Nie lubiła jednak panny Greer i uważała, że jest głupia. Miała zresztą zupełną słuszność, bo chociaż — o ile mi wiadomo — panna Greer otrzymała staranne wykształcenie, nie zaglądała nigdy do książek i zdradzała zupełny brak orientacji w literaturze. Co więcej, nie potrafiłaby prowadzić rozmowy na żaden intelektualny temat.

Zainteresowanie jej ograniczało się wyłącznie do własnej powierzchowności, strojów i mężczyzn.

Angela zapewne nie domyślała się

wcale, że jej siostra czuje się nieszczęśliwa. W owym okresie nie była zbyt spostrzegawcza. Spędzała większość czasu na takich dzikich rozrywkach jak wdrapywanie się na drzewa albo wariacka jazda na rowerze. Ale była poza tym namiętną wielbicielką książek i zdradzała doskonały smak literacki.

Pani Crale zawsze starannie ukrywała przed Angela swoje zmartwienia i w obecności siostry zmuszała się do wesołości i pogody.

Panna Greer wróciła do Londynu, z czego wszyscy byliśmy bardzo zadowoleni. Służba nie lubiła jej tak samo jak ja. Należała do osób, które

sprawiają mnóstwo kłopotu, a potem zapominają nawet za to podziękować.

Wkrótce potem pan Crale wyjechał również i wiedziałam doskonale, że pojechał za nią. Strasznie mi było żal pani Crale, bo odczuwała to wszystko bardzo dotkliwie. Byłam bardzo rozgoryczona na pana Crale'a. Mężczyzna, który ma czarującą, pełną wdzięku, inteligentną żonę, nie powinien jej w ten sposób traktować. Zresztą zarówno ona, jak i ja, miałyśmy nadzieję, że ten romans wkrótce się skończy. Oczywiście nie rozmawiałyśmy o tym ze sobą, ale pani Crale wiedziała doskonale, co czuję i myślę.

Niestety, po kilku tygodniach oboje wrócili, z wyjaśnieniem, że ma się znów rozpocząć pozowanie.

Pan Crale malował teraz z całkowitym zapamiętaniem. Zdawałoby się, że nie tyle go interesuje sama dziewczyna, ile jej portret. Mimo to doskonale rozumiałam, że to nie jest zwykła miłośćka z rzędu tych, których świadkami byłyśmy już kilka razy. Dziewczyna mocno wpiła w niego szpony i wiedziała, do czego dąży. Był jak wosk w jej ręku.

Kryzys nastąpił w przeddzień śmierci pana Crale'a, a mianowicie siedemnastego września. Przez ostatnie kilka dni panna Greer zachowywała się



szczególnie zuchwale. Była już pewna swego i chciała pokazać, jak ważną jest osobą. Pani Crale natomiast postępowała jak prawdziwa dama. Była lodowato uprzejma, dając jednak wyraźnie do zrozumienia, co sądzi o pannie Greer.

Owego dnia, siedemnastego września, kiedy siedzieliśmy wszyscy po lunchu w saloniku, panna Greer wystąpiła ze zdumiewającym oświadczeniem na temat tego, jak zamierza przemeblować pokój, gdy zamieszka na stałe w Alderbury.

Pani Crale oczywiście nie mogła pominąć tych słów milczeniem. Na jej

pytanie panna Greer miała czelność  
oznajmić w obecności nas wszystkich,  
że wychodzi za mąż za pana Crale'a.  
Wyjawiała zamiar poślubienia człowieka  
żonatego i powiedziała to jego własnej  
żonie!

Byłam bardzo, bardzo zła na pana  
Crale'a. Jak mógł pozwolić, żeby taka  
dziewczyna obrażała jego żonę w jej  
własnym domu! Jeżeli miał zamiar uciec  
z nią, powinien był z nią wyjechać,  
zamiast przywozić ją do domu i  
pokrywać jej zuchwalstwo. Można sobie  
wyobrazić, co musiała odczuwać pani  
Crale, mimo to jednak nie opuściła jej  
zwykła godność. W tej chwili do pokoju  
wszedł jej mąż, natychmiast więc

zwróciła się do niego o potwierdzenie słów Elzy.

Rzecz jasna, pan Crale rozżłościł się na pannę Greer za to lekkomyślne forsowanie wydarzeń. Pomijając już inne względy, stawiało go to w niekorzystnym świetle, a mężczyźni bardzo tego nie lubią. To rani ich próżność.

Ten olbrzymi mężczyzna stał na środku pokoju z miną tak zakłopotaną i głupią jak przyłapany na psocie uczeń. Żona jego bez wątpienia panowała nad sytuacją. Wyjąkał w końcu, że owszem, to prawda, ale nie chciał, żeby w ten sposób o tym się dowiedziała.

Nie widziałam nigdy w życiu spojrzenia takiej pogardy, jak to, które mu rzuciła pani Crale. Wyszła z pokoju z wysoko podniesioną głową. Była piękna, znacznie piękniejsza od tej wyzywającej dziewczyny — i chód miała królewski.

Pragnęłam z całego serca, żeby Amyasa Crale'a spotkała kara za jego okrucieństwo i za upokorzenie, które zadał tej szlachetnej, od tak dawna już udręczonej kobiecie. Po pierwsze chciałam wyrazić pani Crale swoje uczucia, ale powstrzymała mnie, mówiąc:

— Musimy się zachowywać, jakby nic nie zaszło. Tak będzie najlepiej. Idziemy

wszyscy na herbatę do Mereditha Blake'a.

Powiedziałam tylko:

— Pani jest wspaniała, pani Crale.

— Pani nie wie... — rzekła, a potem, wychodząc już z pokoju, wróciła i ucałowała mnie. — Jest pani dla mnie wielką pomocą — szepnęła.

Poszła następnie do swego pokoju i zdaje się, że płakała. Zobaczyłam ją dopiero, kiedy już całe towarzystwo wyruszało z domu. Miała na sobie kapelusz z dużym rondem, który ocieniał jej twarz i który nosiła bardzo rzadko.

Pan Crale był zakłopotany, ale starał się nie dać tego po sobie poznać. Pan Filip Blake usiłował zachowywać się tak jak zwykle. Panna Greer natomiast wyglądała jak kot, któremu udało się wylizać śmietankę z dzbanka. Miało się wrażenie, że mruczy wprost z zadowolenia.

Wszyscy wyszli i wrócili około szóstej. Tego wieczora nie widziałam już pani Crale w cztery oczy. Przy obiedzie była bardzo spokojna i opanowana i wczesnie udała się na spoczynek. Wątpię, czy ktokolwiek prócz mnie zdawał sobie sprawę, jak bardzo cierpiała.

Wieczorem dalej ciągnęła się kłótnia

między panem Crale'em a Angłą. Znowu wyplęła stara sprawa szkoły. Pan Crale był podrażniony i zdenerwowany do ostateczności, ona zaś bardziej dokuczliwa niż zwykle. Sprawę tę już przecież rozstrzygnięto, zakupiono ekwipunek i nie miało sensu wszczynanie dyskusji na nowo. Angela jednak uznała za stosowne wystąpić z pretensjami. Wyczuwała zapewne napiętą atmosferę i ulegała jej działaniu, podobnie jak wszyscy inni. Byłam niestety zbyt pogrążona we własnych myślach, toteż nie postarałam się jej poskromić, jakby należało. Skończyło się na tym, że Angela rzuciła w pana Crale'a przyciskiem do papierów i wybiegła z pokoju.

Wyszłam natychmiast za nią i powiedziałam ostro, że robi mi wstyd swoim dziecinnyim zachowaniem. Była jednak wciąż bardzo wzburzona, uznałam więc, że najlepiej będzie zostawić ją samą.

Wahałam się chwilę, czy nie wejść do pokoju pani Crale, ale doszłam do wniosku, że może jej to nie być miłe. Nieraz tego żałowałam, bo trzeba było przewyciężyć skrupuły i porozmawiać z nią szczerze. Może wszystko byłoby inaczej. Pani Crale przecież nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Podziwiałam hart ducha i opanowanie, ale muszę z żalem przyznać, że czasami może ono zaprowadzić za daleko. Lepiej



jest dać upust uczuciom.

Idąc do swego pokoju, spotkałam pana Crale'a. Powiedział mi dobranoc, ale mu nie odpowiedziałam.

Nazajutrz, pamiętam, była piękna pogoda. Kiedy się obudziłam, zdawało mi się, że wśród takiej ciszy i spokoju nawet mężczyzna musi odzyskać rozsądek.

Zanim zeszłam na śniadanie, wstąpiłam po Angelę, lecz już jej nie zastałam. Podniosłam rozdartą spódnicę, którą zostawiła na podłodze, zabrałam ją z sobą, żeby po śniadaniu kazać ją dziewczynce zreperować. Okazało się jednak, że Angela wzięła z kuchni chleb

z marmoladą i gdzieś wyszła. Po śniadaniu wyruszyłam jej szukać. Wspominam o tym żeby wytłumaczyć, czemu nie mogłam być tego ranka dłużej z panią Crale. Uważałam jednak, że moim obowiązkiem jest znaleźć Angelę. Zawsze była bardzo nieposłuszna i uparta, jeżeli chodziło o reperację ubrania, a nie miałam zamiaru tolerować nieposłuszeństwa.

Ponieważ zauważyłam brak jej kostiumu kąpielowego, poszłam poszukać jej na plaży. Nie było jej ani w wodzie, ani na skałach, pomyślałam więc, że poszła może do pana Meredith'a Blake'a. Byli z sobą w wielkiej przyjaźni. Przeprowadziłam się łódką na

drugą stronę i podjęłam znów poszukiwania. Ponieważ nigdzie jej nie było, wróciłam do domu. Zastałam panią Crale, pana Mereditha Blake'a i pana Filipa Blake'a na tarasie.

Ranek był upalny i duszny. Pani Crale zaproponowała wobec tego zimne piwo.

Jeszcze w epoce wiktoriańskiej zbudowano przy domu małą oranżerię, ale pani Crale nie lubiła jej i nigdy nie hodowała tam roślin. Oranżerię przerobiono na coś w rodzaju baru, gdzie stały na półkach różne butelki ginu, wermutu, lemoniady, imbirówki itd. Była tam też mała lodówka napełniana codziennie lodem, w której zawsze przechowywano kilka butelek

piwa i imbirówki.

Pani Crale udała się tam po piwo, ja poszłam z nią. Angela stała przy lodówce, wydając właśnie butelkę piwa.

Pani Crale weszła przede mną.

— Wezmę butelkę piwa i zaniosę Amyasowi — powiedziała.

Trudno już dzisiaj ustalić, czy powinnam była już wtedy powziąć jakieś podejrzenie. Mówiła zupełnie normalnym głosem. Muszę jednak wyznać, że w owej chwili moja uwaga była skupiona nie na niej, lecz na Angeli. Angela stała przy lodówce i

stwierdziłam z radością, że się zaczerwieniła i była mocno zakłopotana.

Dałam jej dość surową reprimendę, którą ku mojemu zdziwieniu przyjęła bardzo potulnie. Spytałam, gdzie była, na co mi odpowiedziała, że chodziła się kąpać.

— Nie widziałam cię na plaży — zauważyłam. Angela roześmiała się. Zapytałam wówczas, gdzie podziała swój sweterek, na co usłyszałam odpowiedź, że musiała go zostawić na plaży.

Wspominam o tych szczegółach dla wyjaśnienia, czemu pozwoliłam, aby pani Crale sama zaniósła piwo do

ogrodu.

Reszta tego poranka zatarła mi się zupełnie w pamięci. Angela przyniosła swoje przybory do szycia i zreperowała spódnicę bez dalszych protestów. Ja, zdaje się, naprawiałam jakąś bieliznę domową. Pan Crale nie przyszedł na lunch. Byłam zadowolona, że posiada choć tyle przyzwoitości.

Po lunchu pani Crale oświadczyła, że idzie do ogrodu. Chciałam zabrać z plaży sweterek Angeli, poszłyśmy więc razem. Pani Crale weszła do ogrodu, ja schodziłam dalej, gdy nagle zatrzymał mnie jej krzyk. Jak już panu podczas pańskiej wizyty powiedziałam, poleciła mi zatelefonować po doktora. Po drodze

spotkałam pana Mereditha Blake'a, któremu przekazałam polecenie, sama zaś wróciłam do pani Crale.

Oto moje zeznania, tak jak je złożyłam na śledztwie, a potem w sądzie.

Teraz jednak opiszę panu coś, o czym nigdy dotychczas nikomu nie mówiłam. Nie zadano mi nigdy takiego pytania, na które musiałabym udzielić kłamliwej odpowiedzi. Ale zawiniłam o tyle, że przemilczałam pewne fakty, choć wcale tego nie żałuję. Postąpiłabym dziś tak samo. Zdaję sobie jasno sprawę, że ujawniając je obecnie, mogę się narazić na potępienie opinii publicznej, nie sądzę jednak, aby po tak długim czasie

ktokolwiek miał brać tę sprawę zbyt poważnie, zwłaszcza że i bez moich zeznań na Karolinę Crale zapadł wyrok skazujący.

Oto, co zaszło:

Jak już powiedziałam, spotkałam na ścieżce pana Mereditha Blake'a i czym prędzej zbiegłam znowu do ogrodu. Byłam w miękkich sandałach, a zawsze miałam lekki chód. Podeszłam do otwartych drzwi „Baterii” i ujrzałam, że pani Crale wyciera starannie chusteczką butelkę od piwa. Następnie ujęła rękę zmarłego męża i zacisnęła jego palce wokół butelki. Widać było, że nasłuchuje z napięciem, czy ktoś nie nadchodzi. Strach malujący się na jej



twarży zdradził mi prawdę.

Zrozumiałam wtedy ponad wszelką wątpliwość, że Karolina Crale sama otruła męża. Jeżeli chodzi o mnie, nie potępiam jej za to. Doprowadził ją do ostatecznych granic wytrzymałości ludzkiej i sam ściągnął na siebie karę.

Nigdy nie wspomniałam o tym incydencie pani Crale i ona do końca nie wiedziała, że to widziałam.

Nigdy bym też tego nie wspomniała, jest jednak osoba, która moim zdaniem ma prawo o tym się dowiedzieć.

Córka Karoliny Crale nie powinna opierać swego życia na kłamstwie.

Choćby poznanie prawdy miało być dla niej bardzo bolesne, prawda jest najważniejsza.

Proszę jej powiedzieć ode mnie, że nikt nie ma prawa sądzić jej matki. Doprowadzono ją do granic tego, co może znieść kochająca kobieta. Córka powinna to zrozumieć i wybaczyć.

# Opowiadanie Angeli Warren

Szanowny Panie!

Dotrzymując przyrzeczenia, spisałam wszystko, co sobie przypominam ze strasznej historii, która się wydarzyła przed szesnastoma laty. Ale dopiero gdy zaczęłam pisać, zdałam sobie sprawę, jak niewiele pamiętam. Z okresu poprzedzającego tragedię mało mogę sobie przypomnieć.

Pamiętam jak przez mgłę letnie dni i

poszczególne wypadki, ale nie mogę nawet stwierdzić na pewno, którego lata się wydarzyły. Śmierć Amyasa była dla mnie po prostu piorunem z jasnego nieba. Spadła bez ostrzeżenia i nie pamiętam wydarzeń, które do niej doprowadziły.

Staralam się uprzytomnić sobie, czy można się było tego spodziewać, czy nie. Czyżby wszystkie piętnastoletnie dziewczęta były tak ślepe, głuche i tępe, jak ja? Możliwe, że tak. Orientowałam się dość bystro, w jakim nastroju jest dana osoba, ale nie troszczyłam się nigdy o to, co powoduje taki czy inny nastrój.

Ponadto w tym właśnie okresie

zaczęłam nagle odkrywać magię słów. Rzeczy przeczytane, urywki poezji, dramatów Szekspira, wszystko to brzmiało mi ustawicznie w uszach. Pamiętam jeszcze, że idąc ścieżką przez ogród warzywny, powtarzałam sobie w upojeniu:

*...pod szklivem toni zielonej,  
przejrzystej...*

Słowa te były tak piękne, że musiałam powtarzać je bez końca.

A prócz tych wszystkich nowych odkryć i wrażeń było jeszcze tyle rzeczy, za którymi przepadałam, odkąd sięgam pamięcią. Pływanie, wspinanie się na drzewa, zajadanie owoców wprost z

drzewa, płatanie figłów chłopcom  
stajennym albo karmienie koni.

Karolina i Amyas reprezentowali dla  
mnie ustalony porządek rzeczy, którego  
nigdy nie podawałam w wątpliwość.  
Byli centralnymi postaciami mojego  
świata, ale nie myślałam wcale o nich  
czy o ich sprawach, nie zastanawiałam  
się, co myślą lub czują.

Nie zwróciłam też specjalnej uwagi  
na przyjazd Elzy Greer. Uważałam, że  
jest głupia i nie wydała mi się nawet  
ładna. Traktowałam ją jako bogatą, lecz  
nieprzyjemną osobę, którą Amyas  
maluje.

Pierwszym sygnałem, że coś wisi w

powietrzu, było to, co usłyszałam przypadkiem z tarasu, dokąd uciekłam kiedyś po lunchu. Elza mówiła, że wychodzi z mężem za Amyasa! Wydało mi się to śmieszne. Pamiętam, że zahaczyłam o to Amyasa. Było to w ogrodzie w Handcross.

— Dlaczego Elza mówi, że wychodzi za ciebie za męża? — zapytałam. — Przecież to niemożliwe. Nie można mieć dwóch żon. To jest bigamia i za to się idzie do więzienia.

Amyas strasznie się rozzłościł i zapytał:

— Gdzieś o tym, u diabła, słyszała?

Odpowiedziałam, że słyszałam przez otwarte okno biblioteki.

Rozzłościł się jeszcze bardziej i powiedział, że już najwyższy czas, żebym wyjechała do szkoły i oduczyła się podsłuchiwania.

Do dziś pamiętam, jaka byłam o to na niego rozzalona. Bo to było takie niesprawiedliwe. Absolutnie i całkowicie niesprawiedliwe.

Wyjąkałam z gniewem, że wcale nie podsłuchiwałam. W każdym razie, po co Elza wygaduje takie głupstwa?

Amyas oświadczył, że to tylko żart. Powinno mi to być wystarczyc — i



prawie wystarczyło, ale niezupełnie.

Kiedy wracałyśmy z Elzą, odezwałam się do niej:

— Pytałam Amyasa, co pani miała na myśli, mówiąc, że wychodzi za niego za mąż, a on powiedział, że to był żart.

Powiedziałam tak, żeby jej dokuczyć, ale ona uśmiechnęła się tylko.

Nie podobał mi się jej uśmiech. Poszłam na górę do pokoju Karoliny. Przebierała się właśnie do obiadu. Zapytałam ją wprost, czy to możliwe, żeby Amyas ożenił się z Elzą. Pamiętam, co mi odpowiedziała, jak gdyby to było dzisiaj. Musiała mówić z wielkim

naciskiem.

— Amyas ożeni się z Elzą tylko po mojej śmierci — rzekła.

To mnie zupełnie uspokoiło. Zdawało mi się, że śmierć jest oddalona od nas o całe wieki. Mimo to byłam wciąż wściekła na Amyasa o to, co powiedział po południu, i zaczepiałam go bez przerwy podczas obiadu. Pokłóciliśmy się w końcu tak, że wypadłam z pokoju, położyłam się do łóżka i płakałam jak bóbr, dopóki nie zasnęłam.

Niewiele przypominam sobie z popołudnia spędzonego u Mereditha Blake'a, chociaż pamiętam, że czytał nam głośno wyjątki z Fedona opisujące

śmierć Sokratesa. Nigdy dotąd tego nie słyszałam i zdawało mi się, że to najpiękniejsza rzecz na świecie. To, owszem, pamiętam, ale nie przypominam sobie, kiedy to było. Gdy teraz sięgam pamięcią w te czasy, mogłoby się to zdarzyć któregokolwiek dnia owego lata.

Nie pamiętam także, co się działo nazajutrz, chociaż długo o tym myślałam. Mam wrażenie, że się kąpałam i że kazano mi coś reperować.

Ale wszystko to jest bardzo mgliste aż do chwili, kiedy Meredith przybiegł zdyszany z dziwnie poszarzałą twarzą. Pamiętam, że filiżanka od kawy spadła na ziemię i stukła się. Elżę ją upuściła.

Potem przypominam sobie, jak pobiegła, popędziła jak szalona ścieżką w dół i jaki miała okropny wyraz twarzy.

Powtarzałam sobie ciągle: „Amyas nie żyje”, ale to mi się po prostu nie mieściło w głowie.

Potem pamiętam, że przyszedł doktor Faussett i że miał bardzo poważną minę. Panna Williams krzątała się przy Karolinie. Obijałam się po domu jak błędna owca, płacząc się wszystkim pod nogami. Czułam się okropnie, jakby mi się zbierało na mdłości. Nie puszczono mnie do ogrodu i nie mogłam zobaczyć Amyasa. Ale wkrótce nadeszła policja. Policjanci zapisywali coś w notesach, a

w końcu przynieśli jego ciało na noszach przykrytych kocem.

Potem panna Williams zabrała mnie do pokoju Karoliny. Karolina leżała na kanapie. Była bardzo blada, wyglądała na ciężko chorą. Ucałowała mnie i powiedziała, że chciałaby, żebym wyjechała jak najprędzej, i że to wszystko jest okropne, ale powinnam się starać o tym nie myśleć. Miałam pojechać do lady Tressillian, gdzie była już mała Karla, ponieważ w naszym domu miało pozostać możliwie jak najmniej osób.

Przytuliłam się do Karoliny i powiedziałam, że nie chcę wyjeżdżać, że chcę z nią zostać. Tłumaczyła mi, że

wie o tym, ale będzie dla mnie lepiej, jeżeli wyjadę, a poza tym oszczędzę jej w ten sposób wielu zmartwień. Tutaj wtrąciła się panna Williams:

— Najlepiej pomożesz siostrze, Angelo, jeżeli usłuchasz jej bez oporu i łez.

Powiedziałam więc, że zrobię, cokolwiek Karolina sobie życzy, a ona powiedziała na to: „Jesteś bardzo kochana, Angelo”. Uściskała mnie i zapewniła, iż nie mam się czym martwić i powinnam o tym wszystkim jak najmniej mówić i myśleć.

Musiałam zejść na rozmowę z inspektorem policji. Był dla mnie

bardzo uprzejmy, pytał, kiedy widziałam ostatni raz Amyasa i zadawał mi wiele innych pytań, które mi się wtedy wydały bezprzedmiotowe, ale których cel, oczywiście, dzisiaj rozumiem. Przekonał się, że nie potrafię dodać nic takiego, czego by już nie słyszał od innych. Oświadczył więc pani Williams, że nie ma żadnych zastrzeżeń co do mojego wyjazdu do Ferrilby Grange, domu lady Tressillian.

Pojechałam więc tam i lady Tressillian była dla mnie bardzo dobra. Ale rzecz prosta dowiedziałam się wkrótce prawdy, Karolinę natychmiast niemal aresztowano. Byłam tak tym przerażona i wstrząśnięta, że się

rozchorowałam.

Potem dowiedziałam się, że Karolina ogromnie się o mnie martwiła. To na jej naleganie wysłano mnie z Anglii, zanim się jeszcze rozpoczął proces. Ale już panu zresztą to wszystko mówiłam.

Jak pan widzi, niewiele, niestety, mam do opisanego. Od czasu naszej rozmowy usilnie starałam się odświeżyć te moje skąpe wspomnienia, dokładałam wysiłków, żeby uprzytomnić sobie wyraz twarzy lub reakcję tej czy innej osoby. Nie przypominam sobie nic, co by nasuwało przypuszczenie o czyjejś winie. Furia Elzy, szara zatroskana twarz Meredith, gniew i wściekłość Filipa — wszystko wydaje mi się



zupełnie naturalne! Sądzę jednak, że któreś z nich mogło przecież udawać.

Wiem tylko jedno: Karolina tego nie zrobiła. Jestem o tym najgłębiej przekonana i nigdy nie zmienię zdania, lecz nie jestem w stanie przytoczyć na to żadnego dowodu, prócz dokładnej znajomości jej charakteru.

# Część 3

# Rozdział pierwszy

## Wnioski

Karla Lemarchant podniosła oczy, w których malowało się zmęczenie i ból. Gestem pełnym znużenia odsunęła włosy z czoła.

— Wszystko to jest tak zawile — rzekła. Ręką dotknęła zwoju manuskryptów. — Punkt widzenia jest za każdym razem inny. Każda z tych osób widzi moją matkę inaczej. Fakty jednak pozostają te same. Jeżeli chodzi o fakty, wszyscy są zgodni.

— Czy po przeczytaniu tych sprawozdań czuje pani zniechęcenie? — zapytał Poirot.

— Chyba tak. A pan nie?

— Nie. Moim zdaniem to bardzo cenne dokumenty i zawierają moc informacji.

Poirot powiedział to powoli i jakby z ociąganiem.

— Bodajbym ich nigdy nie czytała.

— Ach, więc tak na panią podziały?

— Wszyscy myślą, że to ona zrobiła — rzekła z goryczą Karla. — Wszyscy,

z wyjątkiem jednej cioci Angeli. A jej zdanie nie gra tu żadnej roli, bo pozbawione jest wszelkich podstaw. Należy po prostu do osób lojalnych, które trwają przy kimś w doli i niedoli. Powtarza po prostu: „Karolina nie mogła tego zrobić!”

— Tak interpretuje pani jej słowa?

— A jak inaczej mogłabym je interpretować? Sama się zorientowałam, że jeśli moja matka nie popełniła zbrodni, to musiała ją popełnić jedna z pozostałych pięciu osób. Stworzyłam sobie nawet kilka teorii co do pobudek.

— Ach, to ciekawe! Niech mi pani o nich opowie.

— O, to byty tylko teorie. Weźmy na przykład Filipa Blake'a. Jest maklerem giełdowym, był najlepszym przyjacielem mojego ojca. Ojciec pewnie mu ufał, a artyści są zwykle niedbali w sprawach pieniężnych. Być może Filip Blake znalazł się w trudnościach i użył pieniędzy ojca. Może skłonił ojca do podpisania jakiegoś dokumentu, a potem wszystko miało wyjść na jaw i tylko śmierć mojego ojca mogła go uratować. To pierwsza koncepcja.

— Wcale nieźle pomyślane. Cóż dalej?

— Następnie Elza. Filip Blake twierdzi, że była zbyt trzeźwa i rozważna, żeby się uciekać do trucizny,

ale ja wcale tego nie jestem pewna. Przypuśćmy, że moja matka poszła do niej i powiedziała, że nie da rozwodu, że nic nie zdoła jej do tego skłonić. Może pan mówić, co pan chce, ale moim zdaniem Elza była w głębi duszy mieszczką i chciała wyjść za mąż według wszelkich prawideł. W takim wypadku Elza była całkowicie zdolna do tego, żeby skraść truciznę. Miała owego popołudnia doskonałą sposobność. Pragnęła pozbyć się mojej matki. Uważam, że to by zupełnie leżało w charakterze Elzy. A potem, być może, na skutek jakiegoś przypadku zamiast Karoliny wypił truciznę Amyas.

— I to znowu wcale nieźle

wykoncypowane. No, a co dalej?

— No więc... przypuszczam, że może... Meredith — rzekła z wolna Karolina.

— Ach, Meredith Blake?

— Tak. Widzi pan, dla mnie Meredith to typ potencjalnego mordercy. Człowiek powolny, lękliwy, z którego inni się podśmiewali, i w głębi duszy może czuł o to urazę. A potem mój ojciec ożenił się z kobietą, którą on chciał poślubić. Ojciec osiągnął w życiu powodzenie i był bogaty. I to przecież Meredith preparował te wszystkie trucizny! Może świadomość, że będzie kiedyś mógł kogoś otruć, sprawiała mu



przyjemność. Chcąc odwrócić od siebie podejrzenia, postarał się rozgłosić, że mu tę truciznę skradziono. Ale najprawdopodobniej to on sam ją zabrał. Dopuszczam nawet myśl, że chciał, żeby Karolinę powieszono, bo go przed laty odrzuciła. Wie pan, to, co on opisuje w swoim sprawozdaniu, wydaje mi się trochę podejrzanę... to, że ludzie robią często rzeczy niezgodne z ich charakterem. Bo jeżeli miał siebie samego na myśli?

— Ma pani rację, przynajmniej pod tym względem, że nie należy wszystkiego brać bezkrytycznie. Ktoś mógł napisać coś celowo, żeby wprowadzić czytelnika w błąd.

— O, wiem. Pamiętam też i o tym.

— A czy ma pani jeszcze jakieś inne koncepcje?

— Zanim przeczytałam sprawozdanie, zastanawiałam się także nad panną Williams. W razie wyjazdu Angeli do szkoły musiała stracić posadę. Gdyby jednak Amyas zmarł nagle, Angela najprawdopodobniej zostałaby w domu. Oczywiście, zastrzegam, że tylko wówczas, gdyby tę śmierć uznano za naturalną, co mogłoby się łatwo zdarzyć, gdyby Meredith nie zauważył braku cykuty. Czytałam o działaniu tej trucizny i dowiedziałam się, że nie pozostawia ona wyraźnych śladów, dających się wykryć w razie sekcji. Można było

podejrzewać udar słoneczny. Wiem, że groźba utraty posady nie jest wiarygodnym motywem zbrodni. Ale popełniano już zbrodnie dla bardzo błahych powodów. Niekiedy w grę wchodziły drobne kwoty pieniężne. A guwernantka w średnim wieku, może niezbyt wykwalifikowana, mogła się przestraszyć, bo nie widziała przed sobą żadnej przyszłości. Jak powiadam, taki był tok moich myśli przed przeczytaniem sprawozdań. Ale z tego opisu wylania się zupełnie inny obraz panny Williams. Nie sprawia też wcale wrażenia osoby o niedostatecznych kwalifikacjach.

— Bo też nią nie jest. To jeszcze dziś energiczna i inteligentna niewiasta.

— Wiem o tym. To się od razu czuje. A przy tym sprawia wrażenie osoby całkowicie godnej zaufania. I to mnie właściwie najbardziej zmartwiło. Ach, pan wie, pan rozumie... i nie bierze mi pan tego za złe, oczywiście? Przez cały czas podkreślał pan, że chodzi panu wyłącznie o wykrycie prawdy. Cóż, wykryliśmy ją chyba? Panna Williams ma słuszość. Trzeba przyjąć prawdę taką, jaka jest. Nie wolno budować życia na kłamstwie tylko dlatego, że chce się wierzyć w to, a nie w co innego. A więc dobrze. Potrafię pogodzić się z prawdą! Moja matka nie była niewinna. Napisała do mnie ten list w chwili słabości, kiedy się czuła nieszczęśliwa i chciała oszczędzić mi

cierpienia. Nie osądzam jej. Może sama postąpiłabym podobnie. Nie mam pojęcia, co więzienie może zrobić z człowiekiem. I nie potępiam jej także. Jeżeli tak strasznie kochała mojego ojca, to nie mogła pewno nad sobą zapanować. Ale i ojca nie potępiam całkowicie. Rozumiem trochę jego stanowisko. Miał w sobie tyle życia, pragnął tylu rzeczy... Trudno, nie mógł nic na to poradzić — taki już był. A przy tym był wielkim malarzem. Moim zdaniem takiemu człowiekowi trzeba wiele wybaczyć.

Zwróciła zaróżowioną z podniecenia twarz ku Poirotowi i podniosła wyzywająco głowę.

— A więc... jest pani zadowolona?

— Zadowolona? — powtórzyła Karla Lemarchant, a głos jej załamał się lekko.

Poirot pochylił się ku niej i poklepał ją po ramieniu.

— Niech pani mnie posłucha — rzekł. — Rezygnuje pani z walki w chwili, kiedy warto ją kontynuować bardziej niż kiedykolwiek. W chwili, kiedy ja, Herkules Poirot, mam już dość dokładne pojęcie o tym, co zaszło w rzeczywistości.

— Panna Williams kochała moją matkę — powiedziała Karla — i widziała, widziała na własne oczy, jak

matka zacierała ślady, pozorując samobójstwo. Jeżeli pan jej wierzy...

Herkules Poirot wstał.

— *Mademoiselle* — powiedział — właśnie twierdzenie panny Cecylii Williams, że widziała, jak matka pani sfalszowała odciski palców Amyasa Crale'a na butelce od piwa — na butelce — niech pani pamięta, jest głównym argumentem, który przekonuje mnie ostatecznie i niezbicie, że matka pani nie zabiła pani ojca.

Pokiwał głową i wyszedł, pozostawiając w pokoju osłupiałą Karłę.





# Rozdział drugi

## Herkules Poirot zadaje pięć pytań

— No i cóż, panie Poirot?

W głosie Filipa Blake'a brzmiała irytacja.

— Muszę panu podziękować za tak wspaniałe i przejrzyste opisy tragedii państwa Crale'ów.

— Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony — odpowiedział Blake

zażenowany komplementem. — To doprawdy zdumiewające, ile szczegółów sobie przypomniałem, kiedy się zabrałem do pisania.

— Powtarzam, że pańskie sprawozdanie było niezwykle przejrzyste i dokładne. Niemniej jednak były w nim pewne luki, prawda?

— Luki? — Filip Blake zmarszczył czoło.

Głos Herkulesa Poirota nabrał twardszego brzmienia:

— Pańskie opowiadanie było, że tak powiem, niezupełnie szczere. Dowiedziałem się, na przykład, proszę

pana, że przynajmniej jeden raz widziano, jak pani Crale wychodziła w nocy z pańskiego pokoju o godzinie dość niezwykłej.

Zapadło milczenie przerywane jedynie ciężkim oddechem Filipa Blake'a. Wreszcie spytał:

— Kto to panu powiedział?

— Mniejsza o to, kto mi powiedział. Najważniejsze jest, że wiem.

Znowu zapadło milczenie. Wreszcie Filip Blake zdecydował się i rzekł:

— Jak widać, wpadł pan przypadkowo na ślad ściśle osobistej

sprawy. Przyznaję, że nie bardzo się to godzi z tym, co napisałem, ale tylko na pozór. Muszę teraz powiedzieć panu prawdę.

Otóż, proszę pana, czułem rzeczywiście niechęć do Karoliny Crale, ale równocześnie bardzo mnie ona pociągała. Być może ten drugi czynnik był źródłem pierwszego. Buntowałem się przeciwko władzy, jaką miała nade mną i rozpamiętując nieustannie jej najgorsze cechy, starałem się stłumić uczucie, które mnie ku niej popychało. Nigdy jej właściwie nie lubiłem — jeżeli pan to rozumie — zawsze jednak gotów byłem się w niej zakochać. Już jako chłopiec kochałem się w niej, ale

nie zwracała na mnie uwagi. Trudno mi było to jej wybaczyć.

Moja szansa nadeszła, kiedy Amyas tak się zadurzył w Elzie Greer. Sam nie wiem, jak się to stało, ale wyznałem wtedy Karolinie, że ją kocham. Odpowiedziała z całym spokojem: „Tak, zawsze to tym wiedziałam!”

Bezczelna kobieta! Zdawałem sobie, oczywiście, sprawę, że mnie nie kocha, ale widziałem równocześnie, że jest zaniepokojona i rozgoryczona romanssem Amyasa. To są momenty psychologiczne, kiedy kobietę bardzo łatwo zdobyć. Zgodziła się przyjść do mnie tejże nocy.

Blake urwał. Trudno mu było mówić

dalej.

— Przyszła do mojego pokoju. A potem, kiedy ją miałem w ramionach, powiedziała z zimną krwią, że to wszystko na nic, że jak się okazuje, jest typem kobiety monogamicznej. Należy do Amyasa na śmierć i życie. Przyznała, że postąpiła ze mną bardzo brzydko, ale nic na to nie może poradzić. Prosiła, żebym jej przebaczył. I odeszła. Odeszła! I pan się dziwi, panie Poirot, że moja nienawiść do niej wzmożła się stokrotnie? Dziwi się pan, że nigdy jej tego nie wybaczyłem? Nie mogłem jej wybaczyć tej zniewagi, a także faktu, że zabiła przyjaciela, którego kochałem bardziej niż kogokolwiek innego na

świecie. Nie chcę o tym mówić, słyszy pan? — zakończył Filip Blake, drżąc cały. — Oto moja odpowiedź! A teraz proszę już odejść. I niech pan mi nigdy już nie wspomina o tej sprawie!

— Chciałbym, aby mi pan powiedział, panie Blake, w jakiej kolejności goście opuszczali wtedy pańskie laboratorium?

— Ależ, drogi panie Poirot — zaprotestował Meredith. — Po szesnastu latach! Czy mogę pamiętać? Powiedziałem już panu, że Karolina wyszła ostatnia.

— Jest pan tego pewien?

— Tak jest... przynajmniej... tak mi się zdaje...

— Chodźmy tam teraz. Bo, widzi pan... Musimy tego być zupełnie pewni!

Wciąż protestując, Meredith Blake zaprowadził gościa do laboratorium. Otworzył drzwi z klucza i podniósł żaluzje.

— A więc, drogi przyjacielu — rzekł Poirot tonem nie znoszącym sprzeciwu — pokazywał pan gościom swoje najciekawsze preparaty ziołowe. Niech pan teraz zamknie oczy i myśli...

Meredith Blake usłuchał. Poirot wyjął z kieszeni chusteczkę i powiewał nią w



powietrzu. Nozdrza Blake'a zadrgały lekko. Szepnął:

— Tak, tak... to dziwne, jak się człowiekowi raptem wszystko przypomina. Karolina, pamiętam, miała wtedy jasnokawową suknię, Fil miał znudzoną minę. Zawsze uważał, że moja mania zielarska jest idiotyczna.

— Niech pan się teraz skupi. Ma pan już wyjść z pokoju. Zamierza pan pójść do biblioteki, gdzie odczyta pan gościom ustęp o śmierci Sokratesa. Kto wychodzi z pokoju pierwszy? Czy pan?

— Tak... Elza i ja. Ona pierwsza przeszła przez drzwi, ja szedłem tuż za nią... Rozmawialiśmy. Zaczekałem, aż

wszyscy wyjdą, żeby zamknąć drzwi na klucz. Filip... Tak, następny był Filip. I Angela. Wypytywała go o grę na giełdzie. Przeszli przez hol. Amyas tuż za nimi. Wciąż jeszcze czekałem — oczywiście, na Karolinę.

— Zatem jest pan pewien, że Karolina pozostała w tyle? Czy widział pan, co robiła?

Blake potrząsnął głową.

— Nie, stałem odwrócony plecami do drzwi. Rozmawiałem z Elzą. Zanudzałem ją pewnie, opowiadałem, że zgodnie z dawnymi zabobonami pewne zioła należy zbierać podczas pełni księżyca. Potem wyszła Karolina... dość

pospiesznie, zdaje się... i zamknąłem drzwi na klucz.

Zamilkł i patrzył na Herkulesa Poirota, który chował chusteczkę do kieszeni. Meredith Blake skrzywił nos z wyrazem niesmaku i pomyślał: „Fe! ten facet się perfumuje!” Na głos powiedział:

— Jestem najzupełniej pewien kolejności. Była następująca:

Elza, ja, Filip, Angela i wreszcie Karolina. Czy to się panu na coś przyda?

— Wszystko się zgadza — odparł Poirot. — Proszę pana, chciałbym tu urządzić niewielkie zebranie. Sądzę, że

nie nastęczy to zbytich trudności...

— I cóż? — spytała Elza Dittisham z zaciekawieniem, jak dziecko.

— Chciałbym pani zadać pewne pytanie, madame.

— Słucham...

— Kiedy wszystko się skończyło — mam na myśli proces — czy Meredith Blake oświadczył się o pani rękę?

Elza spojrzała na gościa ze zdziwieniem. Twarz jej przybrała wyraz pogardliwy, niemal znudzony.

— Owszem. Czemu pan o to pyta?

— Czy oświadczyły te były dla pani niespodzianką?

— Czy ja wiem? Doprawdy, nie przypominam sobie.

— Co mu pani odpowiedziała?

Elza roześmiała się.

— Jak pan sądzi? Po Amysie — Meredith? Byłoby to śmieszne! To było z jego strony bardzo głupie. Ale on zawsze był głupi.

Uśmiechnęła się nagle.

— Chciał, uważa pan, „bronić mnie, zaopiekować się mną”. Tak mi tłumaczył. Myślał, podobnie zresztą jak i wszyscy, że proces był dla mnie okropnym przejściem. A reporterzy! A te groźne wrzeszczące tłumy! A błoto, którym mnie obrzucano!

Zamyśliła się na chwilę, a potem rzekła:

— Poczciwy, stary Meredith! Cóż to za osioł! — i roześmiała się znowu.

Herkules Poirot znów czuł na sobie bystre, badawcze spojrzenie panny Williams, doznając po raz drugi

wrażenia, że przeżyte lata topnieją i staje się znowu małym, zmieszanym i pokornym chłopcem.

Wyjaśnił, że chodzi mu o odpowiedź na pewne pytanie.

Panna Williams wyraziła gotowość wysłuchania tego pytania.

Poirot rzekł wolno, starannie dobierając słowa:

— Jako bardzo jeszcze małe dziecko Angela Warren odniosła ciężką ranę. W moich notatkach znalazłem o tym dwie wzmianki. W jednej mówi się, że Karolina Crale rzuciła w dziecko przyciskiem do papieru, w drugiej, że

zaatakowała je żelaznym drążkiem.  
Która z tych wersji jest prawdziwa?

— Nigdy nie słyszałam o żelaznym drążku — odparła zdecydowanym tonem panna Williams. — Prawdziwa wersja jest ta o przycisku.

— Kto panią informował, jeśli wolno zapytać?

— Sama Angela. Opowiedziała mi o tym z własnej chęci wkrótce po moim przyjeździe do Alderbury. Dotknęła palcami policzka i powiedziała: „To zrobiła Karolina, kiedy jeszcze byłam małą. Rzuciła we mnie przyciskiem. Bardzo proszę, żeby pani o tym nie mówiła, bo ją to okropnie wytrąca z



równowagi”.

— A czy sama pani Crale wspominała pani o tym kiedykolwiek? — Tylko aluzjami, zakładała bowiem, że znam tę historię. Przypominam sobie, jak raz powiedziała: „Pani uważa, że ja psuję Angelę, wiem o tym, ale widzi pani, mam wciąż uczucie, że nie mogę jej niczym wynagrodzić tej krzywdy”. Innym razem powiedziała: „Świadomość, że się okaleczyło innego człowieka, jest największym ciężarem, jaki można dźwigać w życiu”.

— Dziękuję pani, panno Williams. To wszystko, co chciałem wiedzieć.

— Nie rozumiem pana — rzekła ostro

panna Williams. — Czy pokazał pan Karli moje sprawozdanie?

Poirot skinął potakująco.

— A mimo to wciąż jeszcze... —  
urwała w pół zdania.

— Proszę się chwilę zastanowić. Gdyby pani przechodziła koło sklepu z rybami i zobaczyła na wystawie dwanaście ryb, przypuszczałyby pani, że wszystkie są prawdziwe, nieprawdaż? A przecież jedna z nich mogłaby być tylko atrapą.

Panna Williams odpowiedziała z zapalem:

— To mało prawdopodobne i w ogóle...

— Ale niewykluczone. Raz jeden z moich przyjaciół umieścił na jakiejś wystawie sztuczną rybę (zajmował się wypychaniem zwierząt, proszę pani), żeby porównywano ją z prawdziwą. A gdyby pani zobaczyła w grudniu w jakimś salonie wazon cynii, byłaby pani przekonana, że kwiaty są sztuczne. A tymczasem mogłyby to być prawdziwe kwiaty, przesłane samolotem z Bagdadu.

— Co mają znaczyć te niedorzeczne zagadki? — zapytała panna Williams.

— Mają pani dowieść, że najlepiej się widzi oczyma myśli...

Zbliżając się do wielkiego domu przy Regent Park, Poirot zwolnił nieco kroku.

Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że wcale nie chce zadawać Angeli Warren dalszych pytań. Jedyne pytanie, na które chciał mieć odpowiedź, mogło jeszcze poczekać...

W gruncie rzeczy sprowadziło go tu wyłącznie zamiłowanie do symetrii. Pięć osób, a więc powinno być pięć pytań. Tak będzie ładniej, to wyraźniej zaokrągli całe zagadnienie. E, co tam! Już sobie coś wymyśli.

Angela Warren powitała go niemal z

ożywieniem. Zapytała od razu:

— Czy pan coś znalazł? Osiągnął pan jakieś wyniki?

Poirot powoli kiwnął głową, upodabniając się zupełnie do porcelanowego mandaryna.

— Zrobiłem wreszcie pewne postępy.

— Filip Blake? — rzekła z intonacją na pół pytającą, a na pół twierdzącą.

— *Mademoiselle*, nie chcę na razie nic jeszcze mówić. Czas jeszcze nie nadszedł. Chciałem tylko prosić panią o przybycie do Handcross Manor. Wszyscy inni już mi to przyrzekli.

— Co ma pan zamiar zrobić? — zapytała, marszcząc lekko brwi. — Zrekonstruować coś, co stało się szesnaście lat temu?

— Może tylko spojrzeć na to pod innym kątem. Przyjedzie pani?

— O, tak, przyjadę — odpowiedziała Angela powoli. — To bardzo ciekawe zobaczyć tych wszystkich ludzi po tak długim czasie. Być może będę patrzyła na nich pod innym kątem, jak to pan powiedział.

— I zabierze pani ze sobą list, który mi pani wówczas pokazała?

Angela zmarszczyła brwi.

— Ten list należy tylko do mnie. Panu wyjątkowo pokazałam go w słusznym i dobrym celu, ale bynajmniej nie pozwolę, żeby czytały go osoby obce i nieżyczliwe.

— Ale pani pozwoli, abym pokierował panią w tej sprawie.

— Stanowczo nie. Owszem, zabiorę ze sobą list, ale postąpię według własnego rozeznania, które, śmiem twierdzić, nie gorsze jest od pańskiego.

Poirot rozłożył ręce gestem rezygnacji. Wstając dodał jeszcze:

— Pozwoli pani zadać sobie jedno małe pytanie?

— A mianowicie?

— Na krótko przed tragedią czytała pani książkę Somerseta Maughama *Księżyc i miedziak*, prawda?

Angela spojrzała na niego zdumiona, a potem odpowiedziała:

— Zdaje mi się... ależ owszem... rzeczywiście tak było. Ale skąd pan o tym wie?

Patrzyła na niego z niekłamaną ciekawością.

— Chcę pani dowieść, że nawet w drobnych, mało znaczących sprawach jestem swego rodzaju czarodziejem.



Wiem o pewnych rzeczach, o których mi nikt nie mówi.

# Rozdział trzeci

## Rekonstrukcja

Popołudniowe słońce wpadało przez okna laboratorium w Handcross Manor. Wniesiono do pokoju kilka foteli i kanapkę. Meble te jednak może bardziej jeszcze podkreślały jego zaniedbanie.

Meredith Blake, nieco zakłopotany, szarpiąc wąsa, prowadził bezładną rozmowę z Karłą. W pewnej chwili powiedział:

— Moja droga, jesteś bardzo podobna

do matki, a równocześnie zupełnie od niej różna.

— W czym jestem podobna, a w czym nie? — zapytała.

— Masz jej cerę, kolor włosów i ruchy. Ale jesteś... jakby to powiedzieć? Mocniej zarysowana...

Filip Blake z głęboką pionową zmarszczką na czole wyglądał przez okno, bębniąc niecierpliwie palcami po parapecie.

— Co za sens ma to wszystko? — rzucił w końcu. — Takie prześliczne sobotnie popołudnie...

Herkules Poirot wylał czym prędzej oliwę na wzburzone fale.

— Ach, bardzo przepraszam... wiem, to karygodne, że psuję panu partię golfa. *Mais voyons*[8], panie Blake, to córka najlepszego pańskiego przyjaciela. Poświęci się pan dla niej, nieprawdaż?

W tej chwili kamerdyner zaanonsował:

— Panna Warren.

Meredith podszedł, aby ją powitać.

— To piękne z twojej strony, że znalazłaś czas, Angelo, wiem przecież, jaka jesteś zajęta.

Następnie podprowadził ją do okna.

— Halo, ciociu Angelo! — zawołała Karla. — Czytałam twój artykuł w „Timesie” dziś rano. To przyjemnie mieć taką sławną krewniaczkę.

Wskazała wysokiego młodzieńca o kwadratowej twarzy i spokojnych szarych oczach.

— Pozwól, to John Rattery. Mamy zamiar... mamy nadzieję się pobrać.

— O! — zawołała Angela Warren — nie wiedziałam...

Meredith poszedł tymczasem przywitać następnego gościa.

— Panno Williams, to już szmat czasu, jak się nie widzieliśmy.

Szczupła, drobna, lecz wciąż jeszcze nieugięta stara guwernantka weszła do pokoju. Oczy jej spoczęły badawczo na Herkulesie Poirot, aby się po chwili przenieść na wysoką postać w dobrze skrojonym sportowym kostiumie.

Angela Warren podeszła, aby się z nią przywitać i powiedziała z uśmiechem:

— Czuję się znowu jak pensjonarka.

— Jestem z ciebie bardzo dumna, moja droga — rzekła panna Williams. — Przynosisz mi zaszczyt. A to jest chyba Karla? Na pewno mnie nie

pamięta. Była wtedy za mała...

— Co to wszystko ma znaczyć? — spytał rozdrażniony Filip Blake. — Nikt mi nic nie powiedział...

— Nazwałbym to — odpowiedział Herkules Poirot — wycieczką w przeszłość. Może byśmy usiedli? W ten sposób, kiedy ostatni gość przybędzie, będziemy już gotowi i przystąpimy wtedy do rzeczy, do wywoływania duchów.

— Co to za błazeństwo? — zawołał Filip Blake. — Nie ma pan chyba zamiaru urządzać tutaj seansu spirytystycznego?

— Nie, nie, nic podobnego. Przedyskutujemy sobie tylko pewne wydarzenia, do których doszło bardzo dawno temu. Przedyskutujemy je i, być może, jaśniej się zorientujemy w ich przebiegu. Co się zaś tyczy duchów, to nie zmaterializują się one, ale któż może zapewnić, że nie ma ich tutaj, w tym pokoju, chociaż ich nie widzimy? Kto może przysiąc, że Amyas i Karolina nas nie słuchają?

— Zupełny absurd... zaczął Filip Blake, lecz urwał, gdyż drzwi się otworzyły i kamerdyner zaanonsował lady Dittisham.

Elza Dittisham weszła do pokoju z owym właściwym sobie wyrazem



twarzy — leciutko znudzonym i pogardliwym. Uśmiechnęła się niedbale do Meredith, spojrzała chłodno na Angelę i Filipa i podeszła do krzesła stojącego nieco na uboczu pod oknem. Rozpięła pod szyją jasne kosztowne futro i odrzuciła je na ramiona. Przez chwilę rozglądała się po pokoju, potem zatrzymała wzrok na Karli, która odpłacała jej uważnym spojrzeniem, taksującym tę kobietę, która wniosła taki zamęt w życie jej rodziców. Na jej młodej, skupionej twarzy nie znać było nienawiści, lecz jedynie zaciekawienie.

— Przepraszam, jeżeli się spóźniłam, panie Poirot — rzekła Elza.

— To bardzo ładnie, że pani przyjechała, *madame*.

Cecylia Williams prychnęła niechętnie, ale Elza wytrzymała jej wrogie spojrzenie z całkowitą obojętnością.

— Nigdy bym pani nie poznała, Angelo — powiedziała. — Ile to już lat? Szesnaście?

Herkules Poirot skorzystał z nadarzającej się okazji.

— Tak, szesnaście lat już upłynęło od wypadków, o których będziemy mówić. Ale proszę pozwolić, że przede wszystkim wyjaśnię, po co się tu

zebraliśmy.

Opowiedział w kilku słowach, jak Karla zwróciła się do niego i jak podjął się proponowanego mu zadania. Następnie ciągnął szybko dalej, nie zwracając uwagi na coraz bardziej zagniewaną twarz Filipa i pełen niesmaku grymas Mereditha.

— Podjąłem się zadania i zabrałem się do pracy, aby wykryć prawdę.

Karla Lemarchant zagłębia w staroświeckim fotelu słyszała słowa Poirota jakby z wielkiej odległości. Przysłoniwszy dłonią oczy, obserwowała ukradkiem pięć twarzy. Czy może sobie wyobrazić, że któraś z

tych osób popełniła morderstwo? Egzotyczna Elza, popędliwy, zażywny Filip, kochany, dobry, miły pan Meredith Blake, ta herod-baba guwernantka albo zrównowazona, imponująca Angela Warren?

Czy gdyby wyteżyła wszystkie siły duchowe, mogłaby wyobrazić sobie, jak jedna z tych osób kogoś zabija? Owszem, być może, ale nie byłoby to właściwie tego rodzaju morderstwo. Mogła sobie wyobrazić. Mogła sobie wyobrazić, jak Filip Blake dusi jakąś kobietę w ataku furii. Owszem, to mogła sobie wyobrazić... Mogła też sobie wyobrazić, jak Meredith Blake grozi rewolwerem włamywaczowi i

rewolwer przypadkiem wypala... Mogła sobie wyobrazić, jak Angela Warren również strzela z rewolweru — chociaż wcale nie przypadkowo. Nie z pobudek osobistych, ale na przykład, gdyby zależały od tego losy ekspedycji! I jak Elza w jakimś fantastycznym pałacu, spoczywając na jedwabnym wezglówiu, mówi niedbale: „Wyrzucić tego nędznika za balustradę!” Wszystko to były fantastyczne obrazy, ale nawet w najfantastyczniejszych rojeniach nie zdołałaby wyobrazić sobie, że panna Williams zabija kogokolwiek. I jeszcze jeden fantastyczny obraz: „Czy zdarzyło się pani kogoś zabić, panno Williams?” „Rozwiąż zadanie, Karlo, i nie zadawaj niemądrych pytań. Bardzo

brzydko jest kogoś zabijać”.

„Muszę chyba być chora — pomyślała Karla — dość tego. Słuchaj, słuchaj, idiotko, co mówi ten mały człowieczek, który twierdzi, że wszystko wie”.

Herkules Poirot mówił dalej:

— Na tym polegało moje zadanie: włączyć jak gdyby tylny bieg, „cofnąć czas” i wyjaśnić, co zaszło w rzeczywistości.

— Wszyscy wiemy, co zaszło — przerwał mu Filip Blake. — Jeżeli ktoś udaje, że jest inaczej, popełnia oszustwo. Tak, ordynarne oszustwo. Pod fałszywymi pozorami wyłudza pieniądze

od tej dziewczyny.

Poirot nie dał się sprowokować. Powiedział:

— Pan twierdzi, że wszyscy wiemy, co zaszło. Ale mówi pan bez zastanowienia. Ogólnie przyjęta wersja pewnych wydarzeń niekoniecznie musi być prawdziwa. Sądząc z pozorów, na przykład, zdawałoby się, że nie lubił pan Karoliny Crale. I taka jest przyjęta wersja pańskiego do niej stosunku. Ale każdy, kto posiada elementarną znajomość psychologii, dostrzeże od razu, że rzecz miała się wręcz odwrotnie. Karolina Crale zawsze miała dla pana nieodparty urok. Gniewało to pana i starał się pan stłumić w sobie to

uczucie, rozmyślając ustawicznie o jej wadach i wmawiając sobie niechęć do niej. Podobnie jak Meredith Blake od wielu lat uchodził za oddanego wielbiciela Karoliny Crale. W swoim opisie tragedii usiłuje narzucić nam wrażenie, że potępiał postępowanie Amyasa Crale'a wyłącznie przez wzgląd na nią. Gdy jednak zaczniemy czytać uważnie między wierszami, przekonamy się, że dawna miłość z biegiem lat wygasła i że jego uczucia i myśli zaprzętała w owym czasie młoda i piękna Elza Greer.

Meredith zaczął coś bełkotać, a lady Dittisham lekko się uśmiechnęła.



— Wspominam o tych rzeczach tylko dla ilustracji, aczkolwiek mają one swój związek z tym, co się stało. Rozpocząłem tedy wędrówkę w przeszłość, aby zebrać jak najwięcej wiadomości o tragedii. Odwiedziłem adwokata, który bronił Karolinę Crale, pomocnika prokuratora, starego radcę prawnego, który od lat znał dobrze rodzinę Crale'ów, urzędnika w biurze prawnym, który był obecny na procesie, inspektora policji, który prowadził dochodzenie, aż wreszcie dotarłem do pięciorga naocznych świadków, z których każdy odegrał w tej sprawie pewną rolę. I ze wszystkich tych rozmów stworzyłem sobie syntetyczny portret kobiety. Stwierdziłem też

następujące fakty:

Karolina Crale nigdy nie twierdziła, że jest niewinna (z wyjątkiem owego jednego listu, pisanego do córki).

Karolina Crale nie zdradzała na ławie oskarżonych żadnego strachu. Sądząc z pozorów, wcale się nie interesowała wynikiem procesu i od początku przybrała postawę defetystyczną. W więzieniu była spokojna i pogodna. W liście pisanym do siostry bezpośrednio po zapadnięciu wyroku zapewniała o całkowitym pogodzeniu się z losem, który ją spotkał. I w opinii wszystkich osób, z którymi rozmawiałem (z jednym znamienym wyjątkiem), Karolina Crale była winna.

Filip Blake skinął głową:

— Oczywiście, że była winna!

Herkules Poirot mówił dalej:

— Moim celem nie było jednak proste przyjęcie opinii innych osób. Miałem wyrobić sobie własny pogląd, przestudiować fakty i upewnić się, czy zgadzają się one ze stroną psychologiczną sprawy. W tym celu przejrzałem dokładnie akta policyjne i zdołałem nakłonić pięć osób, które były wówczas obecne, do opisania tragedii ze swego indywidualnego punktu widzenia. Sprawozdania te były niezmiernie cenne, zawierały bowiem

pewne dane, których na próżno bym szukał w aktach policyjnych. Dane te dotyczą: a) pewnych rozmów i wypadków nie mających znaczenia z punktu widzenia policji; b) przypuszczeń wyżej wspomnianych osób na temat tego, co mogła myśleć i odczuwać Karolina Crale (czego podczas procesu sądowego nie wolno brać pod uwagę); c) pewnych faktów, rozmyślnie zatajonych przed policją.

Teraz już mogłem wyrobić sobie własne zdanie o sprawie. Nie ulega na pozór wątpliwości, że Karolina Crale miała dostateczne pobudki do popełnienia zbrodni. Kochała męża, ten oświadczył publicznie, że ma zamiar

porzucić ją dla innej kobiety, a według jej własnych słów była z natury bardzo zazdrosna.

Przechodząc od pobudek do środków działania, należy nadmienić, że w jednej z szuflad jej biurka znaleziono butelkę od perfum ze śladami cykuty. Na butelce nie znaleziono innych odcisków palców prócz jej własnych. Zapytana przez policję zeznała, iż zabrała cykutę z pokoju, w którym się obecnie znajdujemy. Na pozostałej tutaj butelce cykuty również znaleziono odciski jej palców. Pytałem pana Meredith'a Blake'a, w jakiej kolejności goście wychodzili z laboratorium owego popołudnia, wydawało mi się to

bowiem niemożliwe, aby ktokolwiek mógł niepostrzeżenie odlać cykutę z butelki w obecności pięciu innych osób. Goście wychodzili w następującej kolejności: Elza Greer, Meredith Blake, Angela Warren i Filip Blake, Amyas Crale, a na końcu Karolina Crale. Ponadto Meredith Blake, czekając na Karolinę, stał obrócony plecami do drzwi, nie mógł więc widzieć, co ona robi. Miała więc sposobność ulania trucizny. Upewniłem się więc, że to ona wzięła cykutę, tym bardziej, iż otrzymałem pośrednie potwierdzenie tego przypuszczenia. Pan Meredith Blake powiedział mi przed paru dniami: „Pamiętam, że stałem tu przy oknie, wciągając w nozdrza zapach jaśminu,

dolatujący przez otwarte okno”. Działo się to jednak we wrześniu i krzew jaśminu za oknem dawno już przekwitł. Jest to zwykły jaśmin, który kwitnie w czerwcu i w lipcu. Ale butelka od perfum, znaleziona w jej pokoju, a zawierająca resztki cykuty, zawierała pierwotnie perfumy o zapachu jaśminu. Upewniłem się zatem, że pani Crale postanowiła skraść cykutę i ukradkiem wylała za okno perfumy z buteleczki, którą miała w torebce. Sprawdziłem to jeszcze raz kilka dni temu, kiedy poprosiłem pana Blake’a, żeby zamknął oczy i postarał się przypomnieć sobie, w jakiej kolejności goście opuszczali pokój. Powiew perfum jaśminowych pobudził natychmiast jego pamięć —

wszyscy jesteśmy bardziej wrażliwi na zapachy, niż się nam zdaje.

Zbliżamy się więc do owego fatalnego dnia. Jak dotychczas fakty nie ulegają dyskusji. Panna Greer oznajmiła nagle, że ona i pan Crale zamierzają się pobrać. Amyas Crale ten fakt potwierdza. Wiadomość ta wtrąca Karolinę Crale w otchłań rozpacz. Każdy z tych faktów potwierdza zeznanie więcej niż jednego świadka.

Następnego dnia w bibliotece odbywa się gwałtowna scena między małżonkami. Pierwsze usłyszane słowa wypowiedziane były przez Karolinę Crale i brzmiały: „Ty i twoje baby!” — Powiedziała to z goryczą i dodała:



„Któregoś dnia cię zabiję!” Filip Blake słyszał to z holu, panna Greer zaś z tarasu. Potem słyszała, jak pan Crale perswadował żonie, aby była rozsądna, na co pani Crale odpowiedziała: „Raczej cię zabiję, niż cię oddam tej dziewczynie”. Po chwili Amyas Crale wychodzi na taras i szorstkim tonem rozkazuje Elzie, żeby szła pozować. Ta przynosi sweter i idzie razem z nim.

Jak dotychczas nie widzę tutaj nic, co by się wydawało psychologicznie nieprawidłowe. Każdy zachowywał się tak, jak się można było po nim spodziewać. Teraz jednak dochodzimy do czegoś, co jest niedorzeczne. Meredith Blake stwierdza kradzież

cykuty, telefonuje do brata. Spotykają się na przystani i idą ścieżką pod górę, przechodząc obok ogrodu, gdzie słyszą, jak Karolina Crale sprzecza się z mężem na temat wyjazdu Angeli do szkoły. Wydaje mi się to bardzo dziwne. Mąż i żona odbyli przed chwilą straszliwą scenę, zakończoną wyraźną pogrózką ze strony Karoliny, a jednak po upływie jakichś dwudziestu minut ona schodzi do ogrodu i rozpoczyna z nim najzwyczajniejszą drobną sprzeczkę domową.

Poirot zwrócił się do Mereditha Blake'a.

— W swoim opowiadaniu przytacza pan pewne słowa, wypowiedziane przez

Crale'a. Mianowicie: „Sprawa załatwiona. Każę jej pakować manatki” — czy tak?

— Tak, coś w tym rodzaju — odpowiedział Meredith Blake.

— A czy pana wspomnienia są identyczne? — zwrócił się Poirot do Filipa Blake'a.

— Nie pamiętałem, dopóki pan o tym nie wspomniał — odpowiedział, marszcząc brwi. — Teraz jednak dokładnie sobie przypominam. Rzeczywiście była mowa o pakowaniu.

— I to mówił pan Crale, a nie pani Crale?

— To powiedział Amyas. Karolina powiedziała tylko, że nie wolno tak z dziewczyną postępować. Ale co to wszystko ma do rzeczy? Wszyscy wiemy, że za dwa czy trzy dni Angela miała wyjechać do szkoły.

— Pan nie dostrzega istoty moich obiekcji. Dlaczego to właśnie Amyas Crale miał dopilnować pakowania Angeli? Przecież to absurd! Była przecież pani Crale, była panna Williams, wreszcie pokojówka. Pakowanie to domena kobiet, nie mężczyzn.

— Ale co za różnica? To nie ma żadnego związku ze zbrodnią.

— Tak pan sądzi? Dla mnie był to pierwszy punkt, który mi dał do myślenia. A po nim natychmiast był drugi. Pani Crale, kobieta zrozpaczona, ze złamanym sercem, która na krótko przedtem groziła mężowi śmiercią i z całą pewnością planowała samobójstwo lub zabójstwo — teraz w najbardziej przyjacielski sposób proponuje, że przyniesie mężowi mrożone piwo.

— Nie ma w tym nic dziwnego, jeżeli planowała zabójstwo, zrozumiałe, że tak właśnie by postąpiła. Symulacja!

— Czyżby? Postanowiła otruć męża i przygotowała już truciznę. Mąż jej trzyma w ogrodzie zapas piwa. Gdyby miała choć szczyptę inteligencji,

nalalaaby trucizny do jednej z tamtych butelek, wyczekawszy aż nikogo nie będzie.

— Nie, nie mogła tego zrobić. Przecież każdy inny mógłby napić się tego piwa — zaproponował Meredith Blake.

— Owszem, Elza Greer. Chce pan we mnie wmówić, że Karolina Crale, postanowiwszy otruć męża, miałaaby jednak skrupuły co do otrucia także i Elzy?

Ale nie będziemy się teraz o to spierać. Ograniczmy się do faktów. Karolina Crale mówi mężowi, że przyśle mu mrożone piwo z lodówki.

Idzie do domu, bierze piwo z oranżerii, w której się je przechowuje, i zanosz do ogrodu. Nalewa piwa do szklanki, podaje mężowi żeby wypić. Amyas Crale wypija duszkiem i mówi: „Wszystko dzisiaj ma wstrętny smak”.

Pani Crale wraca do domu. Przy lunchu zachowuje się najzupełniej normalnie. Wspominają, że była jakby trochę roztargniona i zatroskana. Niewiele to nam daje, gdyż nie mamy kryteriów, jeśli chodzi o zachowanie się morderców. Istnieją zbrodniarze spokojni i zbrodniarze podnieceni.

Po lunchu znowu idzie do „Baterii”. Znajduje męża martwego i postępuje jak najbardziej naturalnie. Jest wstrząśnięta

i wysłała guwernantkę po doktora. Ale teraz dochodzimy do faktu, o którym dotychczas nie było wiadomo.

— Czy pani pozwala? — Poirot spojrzał na pannę Williams.

Panna Williams pobladła.

— Nie zobowiązywałam pana do tajemnicy — rzekła.

Spokojnie, ale z odpowiednim naciskiem pan Poirot opowiedział, co widziała guwernantka.

Elza Dittisham poruszyła się na krześle. Spojrzała ze zdumieniem na drobną, ubogą ubraną kobietę,



zagłębioną w wielkim fotelu.

— Pani naprawdę widziała, jak to zrobiła? — zapytała tonem niedowierzania.

— Ależ to wszystko najzupełniej wyjaśnia sprawę! — krzyknął Filip Blake, zrywając się na nogi. — Wyjaśnia definitywnie!

— Niekoniecznie — odparł Herkules Poirot, patrząc na niego łagodnie.

— Nie wierzę — rzekła ostro Angela Warren. W jej szybkim spojrzeniu skierowanym na małą guwernantkę zabłysła iskra wrogości.

Meredith Blake szarpał wąsa z wyrazem konsternacji. Jedyne panna Williams pozostała niewzruszona. Siedziała wyprostowana, z wypiekami na twarzy.

— Powiedziałam tylko to, co widziałam — rzekła.

— Mamy na to, co prawda, wyłącznie pani oświadczenie — rzekł wolno Poirot.

— Tak, tylko moje oświadczenie. — Jej nieustraszony wzrok skrzyżował się z jego spojrzeniem. — Nie jestem przyzwyczajona, panie Poirot, aby ktoś podawał w wątpliwość moje słowa.

Herkules Poirot pochylił głowę w ukłonie.

— Nie podaję w wątpliwość pani słów, panno Williams. To, co pani widziała, odbyło się właśnie tak, jak pani twierdzi. I właśnie dzięki temu, co pani widziała, zrozumiałem, że Karolina Crale nie mogła być winna.

John Rattery, wysoki młodzieniec, na którego twarzy zastygł wyraz powściąganego niepokoju, odezwał się po raz pierwszy:

— Bardzo bym się chciał dowiedzieć, na jakiej podstawie pan tak twierdzi, panie Poirot.

— Zaraz to wytłumaczę. Cóż widziała panna Williams? Widziała, że Karolina Crale bardzo starannie i z wielkim pośpiechem starła z butelki od piwa ślady palców, a następnie odcisnęła na tej butelce palce swego nieżyjącego męża. Proszę sobie dobrze uprzytomnić: na butelce. Ale cykuta była przecież w szklance, a nie w butelce. Policja nie wykryła śladów trucizny w butelce, nigdy jej tam bowiem nie było. Ale Karolina Crale o tym nie wiedziała. Ona, która rzekomo otruła swego męża, nie wiedziała, w jaki sposób został otruty. Była przekonana, że trucizna znajdowała się w butelce.

— Ale dlaczego... — zaczął

Meredith.

— Tak jest, dlaczego — przerwał mu natychmiast Poirot. — Dlaczego Karolina Crale tak rozpaczliwie starała się podtrzymać teorię samobójstwa? Odpowiedź na to jest — i musi być — bardzo prosta. Ponieważ wiedziała, kto otruł jej męża, i była gotowa na wszystko, gotowa była raczej znieść najgorsze, niż pozwolić, żeby na tę osobę padło podejrzenie.

Teraz już zbliżamy się do celu. Kto to mógł być? Czy broniła w ten sposób Filipa Blake'a? Albo Mereditha? A może Elzy Greer? Cecylii Williams? Nie. Jest tylko jedna osoba, którą starałaby się osłonić za wszelką cenę.

Poirot przerwał na chwilę.

— Panno Warren, jeżeli pani ma przy sobie ostatni list siostry, chciałbym odczytać go na głos.

— Nie — odpowiedziała stanowczo Angela Warren.

— Ależ, panno Warren...

Angela wstała. Głos jej był zimny jak stal.

— Doskonale rozumiem, co pan chce zasugerować. Twierdzi pan, że to ja zabiłam Amyasa i że moja siostra o tym wiedziała. Otóż stanowczo zaprzeczam

temu oskarżeniu!

— Ten list... — zaczął Poirot.

— Ten list przeznaczony był wyłącznie dla mnie.

Poirot spojrział na stojącą obok siebie parę młodych ludzi.

Karla Lemarchant odezwała się:

— Proszę, ciociu Angelo, zrób to, o co cię prosi pan Poirot!

— Doprawdy, Karlo! — odpowiedziała Angela Warren z goryczą. — Czy nie masz poczucia przyzwoitości? To była twoja matka, a

ty...

Głos Karli zabrzmiał dźwięcznie i dobitnie:

— Tak jest, to była moja matka. I dlatego mam prawo cię o to prosić. Mówię w jej imieniu i żądam, żeby przeczytano ten list.

Angela Warren wyjęła powoli list z torebki i wręczyła panu Poirotowi.

— Żałuję, że go panu pokazałam — rzekła z goryczą.

Odwróciła się plecami do reszty zebranych i patrzyła w okno.



Gdy Herkules Poirot czytał na głos list Karoliny Crale, w kątach pokoju gromadził się już coraz głębszy cień. Karla poczuła nagle czyjąś obecność w pokoju, ktoś oblekał się w kształt, słuchał, oddychał, czekał...

„Ona tu jest — pomyślała Karla Lemarchant. — Moja matka jest tutaj. Karolina... Karolina Crale jest tutaj w tym pokoju”.

Herkules Poirot skończył czytanie.

— Wszyscy państwo zapewne przyznają, że ten list jest bardzo znamieny — rzekł. — Jest również bardzo piękny, ale przede wszystkim jest znamieny. Lecz opuszczono w nim

jedną rzecz: nie zawiera on żadnego zapewnienia o niewinności.

— To było całkiem zbyteczne — rzuciła Angela Warren, nie odwracając głowy.

— Tak jest, proszę pani. To było zbyteczne. Karolina Crale nie potrzebowała zapewniać swej siostry, że jest niewinna, ponieważ przypuszczała, że siostra sama wie o tym, wie lepiej niż ktokolwiek inny. Karolinie Crale chodziło tylko o to, żeby uspokoić, pocieszyć siostrę i odwieść ją od zamiaru wyznania prawdy. Powtarza przecież ciągle: „wszystko w porządku, kochanie, wszystko w porządku”.

— Czyż pan tego nie rozumie? —  
odpowiedziała Angela Warren. —  
Karolina chciała, żebym była  
szczęśliwa, to wszystko.

— Tak, chciała, żeby pani była  
szczęśliwa. Jest to aż nazbyt jasne. I o to  
wyłącznie się troszczy. Ma przecież  
dziecko, ale nie myśli o nim, to  
przyjdzie później. Nie, myśl jej zaprzęta  
wyłącznie siostra. Musi ją uspokoić,  
musi ją zachęcić do życia, do tego, by  
się czuła szczęśliwa i osiągnęła w życiu  
powodzenie. I aby ciężar przyjęcia  
ofiary nie był zbyt wielki, dodaje to  
pełne znaczenia zdanie: „Każdy musi  
płacić swoje długi”.

To jedno zdanie wszystko tłumaczy.

Stosuje się ono wyraźnie do owego ciężaru, który Karolina dźwigała tak długo, odkąd w przystępie niepohamowanej wściekłości rzuciła przyciskiem w małą siostrę i oszpeciła ją na całe życie. Teraz nareszcie nadarza się sposobność spłaty tego długu. I jeżeli może to być jakąś pociechą, powiem państwu i głęboko w to wierzę, że przez spłatę tego długu Karolina osiągnęła taki spokój i pogodę ducha, jakiego nie zaznała nigdy w życiu. Dzięki przeświadczeniu, że spłaca dług, udręka procesu i wyroku nie mogła jej dotknąć. Określenie to wyda się dziwne w zastosowaniu do morderczyni, skazanej na dożywotnie więzienie, ale nic jej nie brakowało do szczęścia. Tak,

była szczęśliwsza, aniżeli to sobie państwo wyobrażają i jak za chwilę państwu dowiodę. Proszę zwrócić uwagę, jak przy tym wyjaśnieniu wszystkie reakcje Karoliny stają się jasne i logiczne. Spójrzmy na ten łańcuch wydarzeń jej oczami. A więc na wstępie poprzedniego wieczora zdarza się coś, co przypomina jej boleśnie podobny wypadek z własnej nieopanowanej młodości. Angela rzuca przyciskiem w Amyasa Crale'a. To samo, pamiętajmy, zrobiła przed wielu laty Karolina. Angela krzyczy, że chciałyby, żeby Amyas nie żył. Nazajutrz Karolina wchodzi do oranżerii i widzi, że Angela majstruje coś przy butelkach z piwem. Przypomnijmy sobie słowa

panny Williams: „Angela stała przy lodówce zaczerwieniona i mocno zakłopotana”. Panna Williams sądziła, że dziewczynka poczuwa się do winy, bo uciekała od guwernantki, lecz dla Karoliny zakłopotana mina Angeli, przyłapanej w pobliżu lodówki, znaczyła zupełnie co innego. Pamiętajmy, że już raz co najmniej Angeli zdarzyło się dla figłów wrzucić coś czy też wsypać do tego, co miał wypić Amyas. Podobna myśl mogła jej znów przyjść do głowy.

Karolina bierze butelkę, którą jej podaje Angela, i schodzi do ogrodu. Tam nalewa z niej piwa do szklanki i podaje Amyasowi, który po wypiciu

krzywi się i wypowiada jakże znaczące słowa: „Wszystko ma dzisiaj wstrętny smak”. Karolina nic jeszcze na razie nie podejrzewa. Po lunchu jednak idzie do ogrodu i zastaje męża bez życia. Nie ma wątpliwości, że go otruto. Ona tego nie zrobiła, któż więc inny? I raptem wszystko jej się nagle przypomina: pogróżki Angeli, jej zakłopotana twarz pochylona nad butelką z piwem, gdy Karolina weszła nagle do oranżerii z panną Williams. Winna, winna, winna! Czemu dziewczynka to zrobiła? Przez zemstę, nie chcąc może zabić Amyasa, lecz przyprawić go tylko o mdłości lub wymioty? A może zrobiła to ze względu na Karolinę? Czyżby wiedziała o tym, że Amyas chce porzucić jej siostrę i miała

do niego o to żal? Karolina pamięta, nazbyt dobrze pamięta, jaka była porywcza i gwałtowna w wieku Angeli. I ma jedną tylko myśl: jak ma osłonić Angelę? Angela miała w ręku butelkę, będą więc na niej odciski jej palców. Szybko zatem wyciera butelkę. Jak wpoić wszystkim przekonanie, że Amyas popełnił samobójstwo? Jeżeli będą na butelce tylko odciski palców Amyasa. Usiłuje tedy zacisnąć palce zmarłego wokół butelki — spieszy się — nasłuchuje, czy ktoś nie nadchodzi...

Skoro raz przyjmujemy takie założenie, wszystko się zaczyna zgadzać... Ustawiczny niepokój Karoliny o Angelę, nalegania, aby dziewczynkę usunąć z



Alderbury i trzymać z dala od tego, co się tam dzieje. Obawa, aby policja nie przesłuchiwała jej zbyt szczegółowo. I wreszcie rozpaczliwe nakazy, żeby Angelę wysłano z Anglii, nim się zacznie proces. Karolina lęka się bowiem stale, że Angela może się załamać i wyznać prawdę.

# Rozdział czwarty

## Prawda

Angela Warren odwróciła się powoli od okna. Twardym, wzgardliwym spojrzeniem przesunęła po zwróconych ku niej twarzach. Powiedziała:

— Wszyscy jesteście ślepi! Wszyscy! Czy nie rozumiecie, że gdybym to zrobiła, byłabym się przyznała? Nie pozwoliłabym nigdy, żeby Karolina cierpiała za moje winy!

— Ale pani coś tam robiła z piwem?

— spytał Poirot.

— Ja? Z piwem?

Poirot zwrócił się do Mereditha Blake'a.

— Proszę pana, w swoim sprawozdaniu wspomina pan, że w dzień zbrodni słyszał pan jakieś szmery w tym pokoju, który znajduje się pod pańską sypialnią.

— Tak, ale to był tylko kot — potwierdził pan Blake.

— Skąd pan wie, że to kot?

— Nie... nie pamiętam. Ale to był

kot. Jestem zupełnie pewien, że to był kot. Okno było tyle tylko uchylone, że kot mógł się przedostać przez otwór.

— Ale nie tylko kot. Ramę łatwo można było podnieść.

Podniesiono ją może i ktoś mógł wejść i wyjść.

— Tak, ale ja wiem, że to był kot.

— Czy pan go widział?

— Nnnie... nie widziałem — odrzekł wolno Blake. Zastanawiał się chwilę, marszcząc brwi. — A jednak wiem.

— Powiem panu zaraz, skąd pan wie.

Tymczasem chcę zwrócić pańską uwagę na taką hipotezę. Ktoś mógł tego rana dostać się do laboratorium, wziąć coś z półki i znowu wyjść tak, że go pan nie widział. Otóż jeżeli osoba ta przybyła z Alderbury, to nie mógł to być ani Filip Blake, ani Elza Greer, ani Amyas Crale, ani Karolina Crale. Wiemy dobrze, co tych czworo robiło tego ranka. Pozostaje tylko Angela Warren i panna Williams. Panna Williams była tu, bo sam pan pamięta, że ją pan spotkał, wychodząc z domu. Powiedziała panu, że szuka swej uczennicy. Angela wyszła wcześniej do kąpieli, ale panna Williams nie znalazła jej ani w wodzie, ani na skałach. Mogła bez trudu przepłynąć na tę stronę, jak zresztą przepłynęła potem tego samego

rana podczas kąpieli w towarzystwie pana Filipa Blake'a; przypuszczam więc, że przepłynęła zatokę, weszła do laboratorium przez okno i zabrała coś z półki.

— Nie zrobiłam nic podobnego — zaprotestowała Angela Warren — przynajmniej nic...

— O! — Poirot wydał okrzyk triumfu. — Przypomniała pani sobie! Opowiadała mi przecież pani, że chcąc spleść figła Amyasowi, ukradła pani coś, co pani nazwała „kocimi kroplami” — tak pani to wtedy nazwała.

— Waleriana! Oczywiście Waleriana! — zawołał Meredith Blake.

— Otóż to. To właśnie upewniło pana, że w laboratorium był kot. Ma pan bardzo wrażliwe powonienie.

Poczuł pan lekki, nieprzyjemny zapach waleriany, może nawet całkiem podświadomie. I to od razu nasunęło panu skojarzenie: „kot”. Koty uwielbiają walerianę i pójdą za nią na koniec świata. Waleriana ma specjalnie nieprzyjemny smak i to pańskie opowiadanie poprzedniego dnia o jej właściwościach podsunęło psotnej pannie Angeli nowy pomysł. Postanowiła, że należy szwagrowi waleriany do piwa, wiedziała bowiem, że pije zawsze piwo duszkiem.

— Czy to było rzeczywiście tego

dnia? — zdziwiła się Angela. — Doskonale pamiętam, jak ją ukradłam. Przypominam sobie też, jak wyjęłam już butelkę piwa, ale Karolina weszła niespodzianie i omal nie złapała mnie na gorącym uczynku. Oczywiście, że sobie przypominam... Nigdy jednak nie kojarzyłam sobie tego z tym właśnie dniem.

— Oczywiście, że nie, ponieważ w pani mózgu nie było takiego skojarzenia. Te dwa wypadki nie miały dla pani żadnego związku. Pierwszy był jeszcze jednym psikusiem, drugi straszną tragedią, która spadła nagle jak piorun i usunęła w pani pamięci wszystko inne na drugi plan. Ale ja zapamiętałem



sobie, gdy pani o tym mówiła: „ukradłam...” i tak dalej, żeby „wlać Amyasowi do piwa”. Ale pani nie wspomniała, że pani w końcu wlała tę walerianę.

— Nie wspomniałam, bo nie zrobiłam tego. Karolina weszła właśnie w chwili, kiedy otwierałam butelkę. Och! — krzyknęła. — I Karolina pomyślała... pomyślała, że to ja!...

Angela umilkła i rozejrzała się dokoła. Po chwili powiedziała swoim normalnym chłodnym tonem:

— Wy wszyscy też pewnie tak myślicie. — Po pauzie ciągnęła dalej: — Nie otrułam Amyasa Crale’a ani na

skutek złośliwego figla, ani żadnym innym sposobem. Gdyby tak było, nic na świecie nie zmusiłoby mnie do zachowania milczenia.

— Rzecz prosta, że nie, moja droga — oznajmiła dobitnie panna Williams. Spojrzała na Herkulesa Poirota. — Tylko głupiec może tak myśleć.

— Nie jestem głupcem i tak nie myślę — rzekł łagodnie Poirot. — Dobrze wiem, kto zabił Amyasa Crale’a.

Milczał chwilę.

— Istnieje zawsze niebezpieczeństwo, że uzna się za dowiedziony jakiś fakt, który wcale dowiedziony nie jest.

Weźmy, na przykład, sytuację w Alderbury. Odwieczna sytuacja, zaiste. Dwie kobiety i jeden mężczyzna. Uznaliśmy za pewnik, że Amyas Crale postanowił porzucić żonę dla tej drugiej. Ale ja twierdzę, że Amyas Crale nie miał wcale takiego zamiaru. I przedtem nieraz tracił głowę dla kobiet. Pochłaniały go przez pewien czas, ale to rychło mijało. Zresztą kobiety, w których się dotychczas kochał, miały zazwyczaj pewne doświadczenie życiowe i nie spodziewały się po Amyasie zbyt wiele. Tym razem jednak było inaczej. Widzą państwo, to w ogóle nie była kobieta, to była młodziutka dziewczyna, a ze słów Karoliny Crale wiemy, że była przerażająco szczera. W

słowach była bardzo nowoczesna i wyzywająca, ale w miłości nieopisanie jednokierunkowa. Ponieważ sama żywiła głęboką, nieposkromioną namiętność do Amyasa Crale'a, przypuszczała, że on żywi taką samą namiętność do niej. Nie ulegało dla niej wątpliwości, że to namiętność na całe życie. Nie pytając go nawet, była pewna, że porzuci dla niej żonę.

Zapytają państwo, dlaczego Amyas nie wyprowadzał jej z błędu. Odpowiem na to: obraz. Chciał skończyć obraz.

Niektórym wyda się to niewiarygodne. Ale nie tym, co znają artystów. A w zasadzie przyjęliśmy już to wytłumaczenie. Rozmowa Crale'a z

Meredithem Blake'em staje się dla nas w tym świetle bardziej zrozumiała. Crale jest zakłopotany, klepie pana Blake'a po ramieniu i zapewnia go optymistycznie, że wszystko się ułoży. Dla Amyasa Crale'a bowiem wszystko jest bardzo proste. Maluje obraz, dokuczają mu trochę te dwie, jak mówi, zazdrosne histeryczne baby — żadnej jednak nie pozwoli przeszkodzić sobie w tym, co jest dla niego najważniejszą sprawą w życiu.

Gdyby powiedział Elzie prawdę, musiałby przerwać pracę nad obrazem. Być może w pierwszym porywie namiętności mówił o rozejściu się z Karoliną. Mężczyźni często mówią

podobne rzeczy, kiedy są zakochani. Może tylko nie wyprowadził jej z błędu. Obojętne mu było, co Elza myśli. Niech sobie myśli, co chce. Gotów jest na wszystko, byleby zatrzymać ją jeszcze na dzień lub dwa.

Potem powie jej prawdę — że wszystko między nimi skończone. Nigdy nie miał nadmiernych skrupułów.

Na początku, o ile się orientuję, dokładał pewnych wysiłków, żeby nie uwikłać się w romans z Elzą. Ostrzegł ją, jakim jest człowiekiem, ona jednak zlekceważyła ostrzeżenie. Pędziła ślepo ku swemu przeznaczeniu. A dla takiego mężczyzny jak Crale kobiety były łatwą zdobyczą, niewiele sobie z nich robił.

Gdyby go wówczas zapytano, odpowiedziałby beztrąsko, że Elza jest młoda i szybko się pocieszy. Taki był tok myśli Amyasa Crale'a.

Jego żona była jedyną kobietą, którą naprawdę kochał. Nie martwił się o nią zbyt. Karolina musi tylko wytrzymać jeszcze kilka dni. Wściekły był na Elzę, że nagadała Karolinie głupstw, ale wciąż jeszcze wierzył optymistycznie, że „wszystko się ułoży”. Karolina mu przebaczy, jak już przebaczała tyle razy przedtem, a Elza będzie musiała po prostu pogodzić się z losem. Tak jasno przedstawiały się problemy życiowe oczom takiego człowieka jak Amyas Crale.

Przypuszczam jednak, że ostatniego wieczora szczerze się zaniepokoił. I to o Karolinę, nie o Elżę. Być może poszedł do jej pokoju, a ona nie chciała z nim rozmawiać. W każdym razie po niespokojnie spędzonej nocy wziął ją po śniadaniu na bok i wyłożył jej całą prawdę. Owszem, był zakochany w Elzie, ale to już minęło. Musi tylko skończyć obraz, a potem nigdy jej więcej nie zobaczy.

I właśnie w odpowiedzi na to Karolina Crale zawołała: „Ty i twoje baby!” To zdanie, jak państwo widzą, postawiło Elżę w szeregu wszystkich innych kobiet, których rola już się skończyła. A potem dodała gwałtownie:



„Przyjdzie taki dzień, że cię zabiję!”

Była rozgniewana, oburzała ją jego gruboskórność i okrucieństwo w stosunku do tej dziewczyny. Kiedy Filip Blake zobaczył ją w holu i słyszał, jak mówiła do siebie: „To zbyt okrutne!”, miała na myśli Elzę.

Co się zaś tyczy Crale'a, to wyszedł on z biblioteki, zastał Elzę w towarzystwie Filipa Blake'a i szorstkim tonem kazał jej iść do pozwania. Nie wiedział jednak, że Elza siedziała przedtem na tarasie tuż pod otwartym oknem biblioteki i słyszała całą rozmowę. Jej sprawozdanie z tej rozmowy było nieprawdziwe, a proszę pamiętać, że polegano wyłącznie na jej

świadectwie.

Proszę sobie wyobrazić, jakim okropnym wstrząsem musiała być dla niej tak brutalnie wypowiedziana prawda!

Meredith Blake opowiedział nam, że podczas gdy poprzedniego popołudnia czekał, aż Karolina Crale opuści laboratorium, stał w drzwiach obrócony plecami i rozmawiał z Elza Greer. To znaczy innymi słowy, że ona stała twarzą do niego i zaglądając mu przez ramię, mogła widzieć, co robi Karolina. I że właśnie ona była jedyną osobą, która mogła to widzieć.

Widziała, że Karolina wzięła truciznę.

Nie powiedziała o tym nikomu, przypomniała sobie jednak o tym, siedząc pod oknem biblioteki.

Kiedy Amyas Crale wyszedł na taras, oświadczyła, że chce wziąć sweter, lecz udała się do pokoju Karoliny Crale, by poszukać owej trucizny. Kobiety orientują się, gdzie inna kobieta może coś schować. Znalazła ją, a nie chcąc pozostawić odcisków swoich palców ani zatrzeć innych, wciągnęła płyn pipetką do napełniania wiecznych piór. Potem znów zeszła na dół i poszła z Crale'em do ogrodu. I tutaj, niewątpliwie, naląła mu do szklanki piwa, które on, swoim zwyczajem, wypił jednym haustem.

Tymczasem Karolina Crale była poważnie zaniepokojona. Kiedy ujrzała, że Elza idzie w stronę domu (tym razem rzeczywiście po sweter), poszła do ogrodu i zaatakowała męża. To, co robi, jest haniebne! Ona na to nie pozwoli! Nie wolno traktować dziewczyny z takim okrucieństwem. Amyas, zirytowany, że mu przerywają pracę, oświadcza, że sprawa jest już załatwiona i natychmiast po skończeniu obrazu każe się dziewczynie pakować: „Sprawa załatwiona, każę jej pakować manatki, powiadam ci!”

Słyszają naraz kroki obu panów Blake. Karolina wychodzi więc nieco zmieszana, bąka coś o Angeli i o szkole,

i że ma mnóstwo roboty. Przez naturalne skojarzenie obaj bracia są pewni, że rozmowa słyszana przez nich stosuje się do Angeli i „każę jej pakować manatki” zamienia się w ich relacji w: „dopilnuję, żeby spakowała rzeczy”.

Tymczasem Elza ze swetrem w ręce schodzi ścieżką, spokojna i uśmiechnięta i przybiera pozę na balustradzie.

Bez wątpienia liczy na to, że podejrzenia padną na Karolinę i że butelka po cykucie zostanie znaleziona w jej pokoju. Ale postępowanie Karoliny jest dla niej jeszcze korzystniejsze, niż się spodziewała. Karolina przynosi zamrożone piwo i nalewa je mężowi.

Amyas wypija, krzywi się i powiada: „Wszystko ma dzisiaj wstrętny smak”.

Czy państwo nie widzą, jak znacząca jest ta uwaga? Wszystko ma ohydny smak? A więc było już coś przed tym piwem, co miało przykry smak, który został mu w ustach. I jeszcze jedno: Filip Blake wspomina, że Crale zataczał się lekko, i zastanawia się, czy nie był pijany. Ale ta niepewność ruchów była pierwszym objawem działania cykuty i oznacza, że zaaplikowano mu cykutę na pewien czas przedtem, zanim Karolina przyniosła mrożone piwo.

Elza Greer siedziała więc na szarym murze w ustalonej pozie, a chcąc

powstrzymać Amyasa od podejrzeń aż do chwili, kiedy będzie już za późno na ratunek, rozmawiała z nim wesoło i swobodnie. W pewnej chwili zobaczyła w górze na ławce Mereditha i pozdrowiła go ręką, po czym grała swą rolę jeszcze gorliwiej ze względu na świadka.

Amyas Crale, człowiek nie znoszący chorób i nie poddający się im, malował uparcie dalej, dopóki ręce nie odmówiły mu posłuszeństwa, a język nie zeszywniał. Wówczas rozparł się bezsilnie na ławce, chociaż jego umysł wciąż jeszcze jasno pracował.

Rozległ się gong na lunch i Meredith wstał z ławki, żeby zejść do ogrodu.

Przypuszczam, że w tej krótkiej właśnie chwili Elza zsunęła się z muru, podbiegła do stołu i wlała kilka ostatnich kropel trucizny do szklanki z której Amyas wypił ostatnią, nieszkodliwą zupełnie porcję piwa. Pipetki pozbyła się w drodze do domu, rozdeptując ją na miazgę. Potem spotkała się przy furtce z Meredithem. Wyszędłszy z głębokiego cienia na mocne słońce, Meredith nie widział zbyt dobrze. Dostrzegł tylko, że przyjaciel siedzi rozparty na ławce, jak to mu się często zdarzało, i zauważył, jak jego oczy odwróciły się od obrazu z wyrazem jakby niechęci.

Co Amyas już wiedział, czego się



domyślał? Co rozumiał swym przytomnym jeszcze mózgiem? Tego nie wiemy, ale rękę i oczy miał niezawodne.

Herkules Poirot wskazał ręką obraz wiszący na ścianie.

— Powinienem był to poznać od razu, kiedy pierwszy raz ujrzałem ten obraz. Bo jest to obraz niezwykły. To portret morderczyni, malowany przez jej ofiarę. To portret dziewczyny, która patrzy na to, jak umiera jej kochanek...

# Epilog

W ciszy, która zapadła, ciszy pełnej grozy i napięcia, słońce zaczęło powoli chować się za horyzont, a ostatnie jego promienie znikły z okna, przez które oświetlały dotychczas ciemną głowę i jasne futro siedzącej tam kobiety.

Elza Dittisham poruszyła się i przemówiła:

— Wyprowadź ich, Meredith. Zostaw mnie samą z panem Poirotem.

Siedziała bez ruchu, dopóki drzwi nie

zamknęły się za ostatnim wychodzącym.  
Wówczas rzekła:

— Pan jest bardzo mądry, co?

Poirot nie odpowiedział.

— Czego pan się teraz po mnie spodziewa? Wyznania?

Poirot nie odpowiedział.

— Bo tego się pan nie doczeka —  
rzekła Elza. — I do niczego się nie  
przyznam. Ale to, co mówimy tutaj we  
dwoje, nie liczy się, bo będzie to tylko  
sprawa pańskiego słowa przeciwko  
mojemu.

— Tak jest...

— Chcę wiedzieć, co pan zamierza teraz zrobić?

— Uczynię wszystko, co jest w mojej mocy, aby władze ułaskawiły pośmiertnie Karolinę Crale.

— Cóż za absurd! — roześmiała się Elza. — Otrzymać ułaskawienie za coś, czego się nie popełniło... No, a co będzie ze mną?

— Przedłożę moje wnioski właściwym czynnikom. Jeśli zdecydują, że istnieje możliwość wszczęcia postępowania przeciwko pani, mogą je wszcząć. Moim zdaniem jednak brak tu

dostatecznych dowodów winy. Istnieją tylko poszlaki, a nie fakty. Co więcej, nikt nie będzie się kwapił z wszczynaniem postępowania przeciwko osobie zajmującej taką pozycję jak pani, jeżeli nie będzie po temu dostatecznego uzasadnienia.

— To mi jest zupełnie obojętne — odpowiedziała Elza. — Gdybym stanęła przed trybunałem, walcząc o życie, mogłoby w tym być coś... coś żywego, podniecającego... Sprawiłoby mi to może przyjemność...

— Ale nie pani małżonkowi.

— Sądzi pan, że obchodzi mnie choć trochę, co może odczuwać mój mąż?

— Nie. Wątpię, czy panią kiedykolwiek w życiu obchodziło, co czuje ktoś inny. Gdyby było inaczej, byłaby pani może szczęśliwsza.

— Dlaczego pan się nade mną lituje?  
— zapytała ostro.

— Bo, drogie dziecko, pani musi się jeszcze w życiu nauczyć tylu rzeczy!

— Czego mianowicie?

— Wszystkich tych uczuć, których doznają ludzie dorośli: litości, współczucia, zrozumienia. Jedyne uczucia, które pani zna i w ogóle znała w życiu, to miłość i nienawiść.

— Widziałam, jak Karolina wzięła cykutę — rzekła Elza. — Myślałam, że chce popełnić samobójstwo. To by uprościło sytuację. Ale potem, nazajutrz, dowiedziałam się prawdy. Powiedział jej, że dba o mnie tyle, co o zeszłoroczny śnieg, że owszem, był we mnie zakochany, ale to wszystko już minęło. Kiedy skończy obraz, każe mi zaraz pakować manatki. Powiedział, że ona nie ma się o co martwić. A ona... ona mnie żałowała... Czy pan może pojąć, co to było dla mnie? Znalazłam truciznę i dałam mu, potem siedziałam, patrząc, jak umiera. Nigdy nie czułam się bardziej żywotna, bardziej triumfująca, bardziej pełna władzy. Patrzyłam, jak umiera...

Podniosła ręce gestem rozpaczny.

— Nie rozumiałam, że zabijam siebie, nie jego. Potem widziałam, jak ona wpadła w pułapkę, ale i to na nic się nie zdało. Nie mogłam jej zranić: jej to było obojętne. Wymykała się rzeczywistości... Była wciąż jakby nieobecna. Oboje — Amyas i ona, wymknęli się, uciekli dokądś, gdzie nie mogłam ich dosięgnąć... Ale oni nie umarli... to ja umarłam...

Elza Dittisham wstała i skierowała się ku drzwiom. Jeszcze raz powiedziała:

— To ja umarłam...

W holu minęła dwoje młodych ludzi,



których wspólne życie ledwie się rozpoczynało.

Szofer otworzył przed nią drzwiczki samochodu. Lady Dittisham usiadła, a szofer otulił jej kolana futrzaną derką.

---

[1] fr. Jednakże

[2] fr. Naprzód

[3] fr. Do tyłu

[4] Tłumaczyła Zofia Siwicka

[5] fr. Mój drogi

[6] fr. Prestiżowy sukces

[7] fr. Kobieta sukcesu

[8] fr. Tu: Ale przecież